

**MALCOLM MACKAY**



# Pożegnanie gangstera

**Najlepszy szkocki kryminał 2013 roku**

MALCOLM MACKAY

# Pożegnanie gangstera

Tytuł oryginału: ***How a Gunman says Goodbye***

Projekt okładki: *Andrzej Brzezicki*

Redakcja: *Marzena Cieśla*

Redakcja techniczna: *Karolina Bendykowska*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzkowski*

Korekta: *Zofia Smuga, Elżbieta Steglińska*

Copyright © Malcolm Mackay 2013

First published 2013 by Mantle an imprint of Pan Macmillan, a division of Macmillan Publishers Ltd.

Zdjęcia na okładce © Thinkstock/Nomadsoul1

© Thinkstock/AlexKuehni

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Marcin Wawrzyńczak

ISBN 978-83-7758-843-7

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2014

Wydanie I

*Moim Rodzicom*

# Spis treści

Postaci:

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

49

## Postaci:

**Calum MacLean** – młody cyngiel, wielki talent. Zabił Lewisa Wintera i Glena Davidsona. Świetnie się spisał. W efekcie jeszcze ściślej związał się z organizacją, której częścią nie chce być.

**Peter Jamieson** – wschodzące imperium, ale wrogowie nie próżnują. Hugh Francis sądzi, że jest w stanie przejąć to, co zbudował Jamieson. Jeśli nic nie będzie rozpraszać Francisa, Jamieson będzie mocno kontratakował.

**John Young** – kombinuje, knuje i robi wszystko, co w jego mocy, jako prawa ręka Jamiesona, by organizacja rosła w siłę.

**Frank MacLeod** – był najlepszym zabójcą do wynajęcia w mieście. Teraz wraca, z wszczepionym nowym biodrem, gotów do akcji. Trochę czasu minęło, od kiedy ostatnio pracował, ale pewnych umiejętności się nie zapomina.

**Emma Munro** – studentka, życie przed nią. Ma nowego chłopaka, Caluma, który jest dobrym chłopcem, tak sądzi Emma, ale mógłby się odrobinę bardziej otworzyć.

**Detektyw Michael Fisher** – w jego mieście coś się dzieje. Jest w stanie nakryć tych, którzy za tym stoją, ale potrzebuje właściwych kontaktów. Informacja jest najważniejsza.

**Hugh Francis zwany Słodasem** – jego pierwsza akcja przeciwko Jamiesonowi była porażką. Winter nie żyje; Davidson też wacha kwiatki od spodu. Odbudować zasoby, zaplanować, wykonać właściwie.

**Tommy Scott** – startuje z samego dołu, ale zamierza zejść na sam szczyt. Handlowanie prochami dla Słodasa to tylko początek.

**Andy McClure zwany Ciemniakiem** – gdzie Tommy, tam i Ciemniak; każdy o tym wie. Pomoże kumplowi zejść wysoko, jeżeli ten się tam wybiera.

**Kenny McBride** – kierowca Petera Jamiesona. Prawie na samym dole hierarchii, ale nawet ci na najniższych szczeblach mają powody do zmartwień, kiedy sprawy przybierają kiepski obrót.

**Shaun Hutton** – nowy cyngiel Słodasa, zastąpił Davidsona. Jest bystry, wie, że trzeba trzymać ze zwycięzcami.

**George Daly** – miłośnik Jamiesona, przyjaciel Caluma. Stara się nie starać. Wyznaje zasadę, że lepsze jest wrogiem dobrego.

**Nate Colgan** – budzący postrach, silny, inteligentny. Zatrudniany właśnie z tego powodu, głównie przez Jamiesona.



**William MacLean** – los młodszego brata nieodmiennie leży mu na sercu. Zrobi wszystko, by ochronić Caluma.

**Policjant Joseph Higgins** – pracuje ciężko, robi, co może, ale nie jest łatwo. Czasami nie wiadomo już, kto z kim trzyma.

**David Waters zwany Fizzym** – od zawsze prawa ręka Słodasa. Dumny ze swego przyjaciela, z chęcią pełni funkcję zderzaka pomiędzy Słodasem a resztą świata.

**Policjant Paul Greig** – rozmawia z przestępcami; ale czy to nie jest część policyjnej roboty? Jest w stanie usprawiedliwić to przed samym sobą, ale nie przed innymi.

**Detektyw Ian Davies** – jeżeli czegoś można się nauczyć, pracując z Fisherem, to tego, że trzymając głowę na kłódkę i nie rzucając mu się w oczy, ma się o wiele mniej roboty.

**Lewis Winter** – dwadzieścia pięć lat porażek, jedna za drugą. A potem Calum MacLean go zabił. Cóż, handlował narkotykami, więc tak naprawdę nikt specjalnie po nim nie płakał.

**Martin Jones zwany Martym** – gdyby tyle nie zarabiał, Jamieson nigdy nie pozwoliłby mu przesiadywać w klubie.

**Adam Jones** – menedżer klubu nocnego Heavenly i – podobnie jak jego brat Marty – wielki miłośnik pieniędzy.

**Glen Davidson** – był niezależnym cynglem do wynajęcia. Potem nożem próbował zabić Caluma. Dźgnął go, zranił, ale w końcu to on sam padł trupem, nie Calum.

**Mark Garvey** – handel bronią to niebezpieczna, brudna robota. Trzeba się dobrze chronić, a donoszenie mocnemu gliniarzowi to jeden ze sposobów na zapewnienie sobie bezpieczeństwa.

**Kirk Webster** – jest dobrze uplasowany, pracuje dla firmy telekomunikacyjnej. To go ratuje.

**Bobby Peterson** – prowadzi niewielką drukarnię. Jamieson ma w niej drobny udział. Ważne jest, by mieć dochody z legalnych źródeł.

**Ian Allen** – razem z kuzynem o imieniu Charlie prowadzą na przedmieściach grubszy handel prochami. Potrzebują jednak nowego dostawcy – kogoś solidnego.

**Charlie Allen** – jest kuzynem Iana, nie jego bratem. Ludzie często biorą go za tego drugiego. Nie żeby Allenowie się tym specjalnie przejmowali; w życiu chodzi im o pieniądze, nie o tożsamość.

**John Benson zwany Czytelnikiem** – minęło wiele czasu, od kiedy dał Frankowi pierwszą robotę, zatrudniając go jako ochroniarza. Czterdzieści cztery lata. Sporo się zmieniło.



- Barney McGovern** – kolejna postać z przeszłości Franka. W latach osiemdziesiątych Frank pracował dla McGoverna, a ten w dziewięćdziesiątych poszedł do piachu.
- Anna Milton** – najlepsza przyjaciółka Emmy Munro. Trzeba się przyzwyczaić do jej stylu, to prawda, ale w gruncie rzeczy dobra z niej dziewczyna.
- Colin Thomson** – życie go nie rozpieszczęło. Mieszka w norze, zdrowie mu szwankuje. A teraz jeszcze ta strzelanina piętro wyżej.
- Inspektor Anthony Reid** – wierzy w to, że detektywom trzeba zapewnić swobodę pracy. Dlatego stara się nie trzymać Fishera na krótkiej smyczy, mimo że śledztwo w sprawie zabójstwa Wintera nie posuwa się naprzód.
- Jamie Stamford** – osiłek pracujący dla Alexa MacArthura. Każdy ma jakąś słabość, w przypadku Jamiego jest to hazard. Nigdy nie powinno się pozwolić, by nasze słabości przeszkadzały nam w pracy.
- Neil Fraser** – osiłek pracujący dla Petera Jamiesona. Zapalczywość i brak pomysłu każdego wpędzą w kłopoty, bez względu na to, kto jest jego szefem.
- Alex MacArthur** – od dziesięcioleci jedna z grubych ryb kryminalnego półświatka. Kontroluje prawdopodobnie największą organizację w mieście.
- Elaine Francis** – jest żoną Słodasa od tak dawna, że nie ma wątpliwości, jak jej mąż zarabia na życie. Wie, kiedy odwrócić wzrok.
- Dennis Dunbar** – od dawna nie żyje, ale wcześniej wielu zdążyło posłać do piachu. Nauczył Franka podstaw zawodu płatnego zabójcy.
- Donnie Maskell** – minęło ponad trzydzieści lat od czasu, gdy był najważniejszym gangsterem i zatrudniał Franka. Gdy pozostaje się w biznesie tak długo jak Frank, nie narzeka się na brak pracy.
- Detektyw Douglas Chalmers** – dziś na emeryturze, ale całe lata poświęcił rozpracowywaniu Franka MacLeoda. W swoim czasie odpowiednik kogoś w rodzaju Fishera.
- Inspektor Richard Whyte** – dwadzieścia lat temu przeszedł na emeryturę, pięć lat temu zmarł. Zawsze chciał dopaść Franka. Nigdy mu się to nie udało.
- Derek Conner** – kiedyś w mieście prowadził drobny handel narkotykami. Potem dostąpił wątpliwego zaszczytu bycia pierwszą osobą zabitą na zlecenie Petera Jamiesona.
- Donall Tokely zwany Spikey** – był kiedyś w jednym młodzieżowym gangu z Tommym i Ciemniakiem. Teraz dorósł, więc przerzucił się na pokątny handel bronią.

# 1

Ostrożnie na tych schodach. To by dopiero był powrót, gdyby się wyłożył od razu pierwszego dnia. Choć nie była to pierwsza wizyta w klubie od rekonstrukcji biodra. Kręcił się tu od dwóch tygodni, by pokazać, że wraca. Nowe biodro, ten sam Frank. Ktoś zauważył. Dzisiaj rano zadzwonił do niego John Young. Zastępca Petera Jamiesona i jego prawa ręka. Gdy dzwoni Young i zaprasza cię do klubu, to zwykle dlatego, że chce się z tobą widzieć jego boss. Dla niektórych to może być bardzo nieprzyjemna wiadomość. Dla Franka wręcz przeciwnie. Rehabilitacja, rekonwalescencja – jasne, nie ma sprawy. Przez jakiś czas było to nawet przyjemne. Fajnie poleżeć do góry brzuchem i nawet nie myśleć o robocie. Tyle że doskwiera człowiekowi nuda. Jeśli praca jest twoim życiem, długa bezczynność staje się przekleństwem. Świerzbilo go, żeby wrócić do roboty. Znaleźć się znowu w obiegu. Przekonanie, kogo trzeba, zajęło dwa tygodnie, ale zdaje się, że się udało.

Przeszedł przez podwójne drzwi na końcu schodów i znalazł się w pomieszczeniu zwanym dzisiaj salą bilardową. Klub i parkiet są na dole, ale to pomieszczenia dla klientów. Zawodowcy, ludzie, którzy wiedzą, czym klub naprawdę jest, raczej spędzają czas na górze. Po prawej, gdy się wejdzie, jest bar. Pośrodku stoły do gry w bilard. Parę lat temu Jamieson dostał szajby na ich punkcie. Ma swoje różne drobne hobby. Nieszkodliwe zajęcia, by zapełnić czas i trochę się rozluźnić. W którymś momencie znudzi się bilardem i znajdzie sobie coś nowego. Pewnie golfa. Na dzisiaj są to wyścigi konne i bilard. O tej porze w sali bilardowej jest pustawo. Paru zatwardziałych pijaków przy barze. Kilka znajomych twarzy przy stolikach, znudzonych. Jedna z nich należy do lichwiarza, którego Frank widuje w klubie od paru tygodni. Zrobił się z niego stały bywalec. Jest też Kenny McBride, kierowca Jamiesona. Nie ma nikogo, kogo można by uznać za ważną postać.

Na drugim końcu pomieszczenia znajduje się krótki korytarz. Pokoje po obu stronach, gabinety, ale liczy się tylko jeden. Na końcu po lewej, biuro Petera Jamiesona. Gabinet, z którego zarządza organizacją. Prowadzi również rozmaite legalne interesy, takie jak klub, ale są one wyłącznie przykrywką dla działalności niezgodnej z prawem. Klub służy jako pralnia pieniędzy; ludzie tacy jak Frank są tu fikcyjnie zatrudnieni, by nikt nie zarzucił im lewych dochodów. On sam figuruje jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Idzie korytarzem, pilnując, żeby nie kuleć nawet odrobinę. Jest w formie, ale najpierw musi to wszystkim udowodnić. Jeżeli zobaczą, że utyka, choćby minimalnie, wezmą go za starego kalekę. Frank ma sześćdziesiąt dwa lata, czyli wystarczająco dużo. Ale nie jest kaleką. Jest zdeterminowany, by to udowodnić.

Puka i czeka na odpowiedź. Ktoś woła, żeby wszedł. Frank otwiera drzwi i widzi przed sobą znajomą scenę. Za biurkiem w głębi pomieszczenia twarzą do drzwi siedzi Jamieson. Za jego plecami dwa telewizory, zwykle pokazujące wyścigi konne. Ale nie dzisiaj. Dzisiaj oba są wyłączone. Na lewo od Jamiesona, na starej skórzanej kanapie siedzi John Young. Zawsze siedzi w tym miejscu. To taka sztuczka. Kiedy ktoś siada naprzeciw Jamiesona, nie widzi Younga, chociaż ten widzi jego. Ta dwójka to prawdziwe bystrzaki.

– Frank – mówi Jamieson i wstaje. – Dobrze cię znowu widzieć, przyjacielu. – To serdeczniejsze powitanie, niż się spodziewał. Był w klubie parę dni temu, widział się z Jamiesonem. Ale teraz jest inaczej i obaj o tym wiedzą. To jest powrót oficjalny.

Uścisnął dłoń zarówno Jamiesonowi, jak i Youngowi – bardzo nietypowo – i teraz siedzi na wprost biurka.

– Dobrze, że wróciłeś, Frank – mówi Jamieson. – Istna ulga, jeśli mam być szczerzy.

Frank uprzejmie potakuje. Lepiej nie wyglądać na zbyt zadowolonego z siebie. Lepiej pamiętać, co się wydarzyło w czasie jego nieobecności. Nawet w ciągu trzech miesięcy wiele potrafi się zmienić. Przede wszystkim zatrudnili Caluma MacLeana. Z polecenia Franka. Calum ma talent, jest inteligentny. Jest też młody; Frank nie pamięta, czy chłopak przekroczył już trzydziestkę. Jamieson nie powie tego głośno, ale Calum ma zastąpić Franka na dłużej. Obecnie chłopak jest jego wsparciem, ale nawet tej funkcji nie jest w stanie pełnić. Doznał obrażeń w trakcie roboty, obie ręce ma pochlastane nożem. Frank nie widział Caluma od jakiegoś czasu. W każdym razie od wyprawy do Hiszpanii. Wypadałoby złożyć mu wizytę. Dowiedzieć się, co słychać. Różne rzeczy się dzieją i trzeba być na bieżąco.

– Napijmy się whisky – mówi Jamieson. – Prowadzisz? Och, jedną kolejkę możesz wypić.

Napełnia eleganckie szklanki. Na cześć powrotu Franka MacLeoda.

– Wiesz, mam wrażenie, że opalenizna ci schodzi – mówi Jamieson z uśmiechem. Na parę tygodni wysłał Franka do swojej willi w Hiszpanii. Pierwsze zagraniczne wakacje Franka od dwudziestu lat. Świetny odpoczynek, jeżeli ktoś to lubi.

– I dobrze – odpowiada Frank. – Trudno wmieszać się w tłum, wyglądając jak jakiś Kunta Kinte.

Żarty na bok, czas przejść do spraw poważnych.

– Dobrze, że wróciłeś, bo jesteś potrzebny – mówi Jamieson. – Musimy coś komuś przekazać, i to jest robota dla ciebie. Być może wziąłbym Caluma, ale jest wyłączony z akcji. To nas trochę spowolniło. Sprawilo wrażenie, że osłabiliśmy.

– Jak Calum? – pyta Frank tonem mającym sugerować autentyczną troskę o chłopaka. W gruncie rzeczy interesuje go, jak się sprawy mają wewnątrz organizacji. Szanuje Caluma, ale w tej branży panuje ostra konkurencja. Ktoś tak utalentowany jak Calum nie będzie przez dłuższy czas grał drugich skrzypiec.

Jamieson nie odpowiada. Wydyma policzki i zerka na Younga. Frank obserwuje to uważnie. Wie, że Jamieson nie jest stuprocentowo przekonany co do lojalności Caluma. Dlatego przed Hiszpanią wysłał Franka, by się z nim spotkał. Frank spróbował uświadomić chłopakowi, że trzeba grać na organizację. Stary wyga przekonujący młodego wolnego strzelca. Niezbyt to podziałało.

– Szczerze? Myślę, że leseruje. Tylko jedna z ran była poważna. Miał ją zaszytą na tyle dawno temu, że powinien już zgłosić się do roboty. Przed paroma dniami wysłałem naszego doktora, żeby mu się przyjrzał. Nie chcę na niego za bardzo naciskać, ale doktor mówi, że chłopak jest zdatny do pracy.

Frank kiwa głową. To ma sens. Calum jest wolnym strzelcem. Nigdy wcześniej nie pracował dla organizacji. Ściągnięto go, żeby załatwić Lewisa Wintera, dilerę pracującego dla Słodasa. Robotę pod każdym względem wykonał dobrze. Słodas wydedukował, że to Calum zabił jego człowieka. Postanowił odpowiedzieć siłą, co było głupotą. Wysłał wielkiego Bena Davidsona, żeby załatwić Caluma. Nie wyszło. Davidson może i pochłastał Calumowi dłonie, ale w końcu skończył z nożem pod żebrami. Kolejny trup w drużynie Słodasa.

– Lepiej jednak nie stawiać go pod ścianą – mówi Frank. – Chłopak nie nawykł do pracy w organizacji. Wolni strzelcy lubią mieć swobodę. Dajmy mu czas.

Frank może nie chcieć być zastąpiony przez kogoś innego, ale wie, że kiedyś to się stanie. Wtedy najlepiej, żeby był to Calum. Dla dobra Jamiesona to musi być ktoś taki jak Calum. Ktoś, kto żyje robotą, szanuje ją i rozumie. Po świecie biega zbyt wielu gnojników, którym się wydaje, że są cynglami. Nie są. Są tylko facetami ze spluwą. Dużo rozmyślał nad tym podczas pobytu w Hiszpanii. O tym, że może być ostatnim ze swego pokolenia. Odchodzi Frank, Pat i Bob, przychodzą Kyle, Conner i Jordan. Małolaty biorące się do dorosłej roboty. Talenty takie jak Calum zdarzają się rzadko. Zawsze tak było, ale tym bardziej dzisiaj. Trzeba postępować z nim delikatnie, nie stracić go na rzecz kogoś innego.

– Jeżeli chcesz, pogadam z nim raz jeszcze – mówi Frank, mając nadzieję, że Jamieson ma dość rozumu, by odrzucić ofertę.

Boss krzywi się.

– Nie. Taką rozmowę można sprzedać jako przyjacielską pogawędkę tylko raz. Za drugim razem będzie wiedział, że wywieram na niego presję. – Jamieson jest bystry. – Ale nieważny chłopak – mówi. – To o tobie chciałem porozmawiać. Jak biodro?

– Super – odpowiada Frank z uśmiechem. – Dużo lepiej niż przedtem.

Jamieson kiwa głową. To właśnie chciał usłyszeć.

– Świetnie. Mam dla ciebie robotę. – Ścisza głos, przybierając poważniejszy ton. Zamierza wydać na kogoś wyrok śmierci, więc powaga pasuje. – Słodas usilnie pracuje nad rozwojem sieci dystrybucyjnej. Ma więcej niż jednego dostawcę. Myślę, że zaopatruje się na południu. Nie potrafię namierzyć nikogo stąd, kto dostarczałby mu towar. Kilka z jego siatek udało się zneutralizować, ale jedna z nich sprawia nam kłopoty.

Frank spodziewał się, że właśnie to usłyszy. Potwierdzają się pogłoski. Słodas jest cokolwiek zdesperowany. Mówi się, że Jamieson wynajął Nate'a Colgana, by dusił inicjatywy Słodasa w zarodku. Zastraszanie i bicie. By nikt nie stał się problemem na tyle, żeby trzeba go było usunąć. Ale najwyraźniej komuś się udało.

– Jest dzieciak, nazywa się Tommy Scott – mówi Jamieson. – Mały sukinsyn. Nie przejmowaliśmy się nim. Handlował. Uliczny towar. Woził się z gangiem, sprzedawał im, tego typu sprawy. Robi dostawy na rowerze. Na cholernym rowerze! Chyba go nie doceniłem. Dzieciak przejmuje nam rynek w okolicach Springburn. Próbowałem przesłać mu ostrzeżenie, ale gówniarz jest twardy. I zdeterminowany. Jeden z gangów chroni jego dilerów. Ma ich trzech czy czterech, ale parę miesięcy temu nie miał ani jednego. Szybko się rozwija i depta nam po piętach. Nie chcę słyszeć więcej skarg. Moi ludzie muszą wiedzieć, że będę ich chronił. A cholerny Słodas musi się dowiedzieć, że jego ludzie nie są bezpieczni.

Bez niespodzianek. Słodas próbuje szczęścia z ambitną młodzieżą. Jeden z młodzianów wyrasta ponad resztę. Teraz musi się nim zająć Frank. Ma dzieciak pecha.

Na koniec Young pokazuje zdjęcie Scotta. Podaje adres. Wieżowiec, przedostatnie piętro. No tak, pięknie, cholera. Mało jest gorszych miejsc. W bloku ewakuacja zawsze jest problemem, bo jest się daleko od wyjścia. Ale poza tym to łatwa robota. Oszczędzają Franka na początek. Jamieson będzie przygotowywał większą operację przeciwko Słodasowi Francisowi. Musi. Już powinien. Słodas wziął na celownik interesy Jamiesona, więc ten musi odpowiedzieć siłą, bo zostanie uznany za słabego. To może być pierwszy cios w tym pojedynku. Scott wygląda na typowego blokera. Tłuste włosy, dres, zapewne parę głupich tatuaży na ramieniu. Powinno pójść gładko. Według Younga Scott przesiaduje ze swoim kumplem, niejakim Andym McClure'em zwanym Ciemniakiem.

Frank opuszcza klub. Czuje lekką treść. Minęły trzy miesiące. Ostatnią robotę miał parę miesięcy wcześniej. To sporo czasu, zwłaszcza w jego wieku. Wychodząc, kiwa głową kilku znajomym twarzom. Siada za kierownicą. Ci, którzy wiedzą, czym

się zajmuje, rozumieją, że wrócił. Wizyta w klubie bez odwiedzenia baru oznacza zlecenie. Jamieson powiedział, że czuje ulgę. Nawet sobie nie wyobraża, jak wielką. Kiedy człowiek żyje pracą, zdaje sobie sprawę, jak puste może być życie bez niej. Te trzy miesiące zaczynały się wlec. Hiszpania była w porządku, ale to nie w stylu Franka. Emerytura w ciepłych krajach to nie dla niego. On tęsknił za dżdżystym Glasgow. Za napięciem w robocie. Za dreszczykiem. To jest jego życie. Ach, jak dobrze jest wrócić.



## 2

Typowy dzień w życiu Tommy'ego Scotta. Pobudka około dziesiątej. Kiedyś wstawał późno, bo po nocach pił i imprezował. Teraz z powodu pracy. Hop z łóżka i prosto pod prysznic. Kiedyś nie brał prysznic codziennie, ale teraz trzeba. Prezencja się liczy. Nauczyli go tego na jednym ze szkoleń w urzędzie pracy jakieś pół roku temu. Wtedy go to nie obchodziło, nie słuchał. Siedział zamknięty w sali z bandą ćpunów i niedojdów. Wstyd i męka. Przypomniał sobie, jak prawa ręka Słodasa, niejaki Fizzy, powiedział mu, że wygląda jak typowy koleś z blokowiska. Była to prawda. A chodziło o to, że nie powinien. Teraz więc codzienny prysznic i nowe ciuchy. Nic nadzwyczajnego, tyle że nowe i czyste. Potem śniadanie. A potem praca.

Kiedyś nienawidził swojej pracy. Włóczenie się po ulicach, konkurowanie z innymi dilerami. Przerąbane. Ale musiał to robić. Dla zaoszczędzenia czasu objeżdżał osiedla na rowerze. Nie można wyglądać wiarygodnie na rowerze. Z perspektywy czasu widział, że to było kompromitujące. Teraz rozumiał wszystko lepiej. Koniec z rowerem. Koniec z drobną robotą. Wszystkie błędy przeszłości zostają w przeszłości. A było ich wiele. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, a już parę razy zdążyła powinąć mu się noga. Ofiara stylu życia. Zaczynał jako nastolatek lubiący imprezować, potem stał się nastolatkiem żyjącym po to, by imprezować. Weekendy. Potem długi tydzień. Narkotyki. Dziewczyny. Gdy miał dziewiętnaście lat, zmajstrował dzieciaka, którego widział dwa razy w życiu. Następnego zmajstrował dwa lata później. Tego nigdy nie widział. Matkę spotkał pół roku po tym, jak się wyprowadziła. Błędy przeszłości. Nie da się ich dźwigać na dłuższą metę – za duży ciężar. Od paru miesięcy nie miał dziewczyny; zbyt zajęty był robotą.

Śniadanie. Miska płatków ze szczyptą cukru i mlekiem, które jest prawie skwaśniałe. Przełknął pospiesznie; ma ważniejsze sprawy na głowie. Spotkanie. W interesach. Kto by pomyślał trzy miesiące temu, kiedy Tommy Scott zbijał baki na rowerze, próbując sprzedawać kiepskiej jakości kokę i wszelkie inne gówno, jakie wpadło mu w ręce, że ten chłopak będzie miał spotkanie w interesach. Wtedy były to domówki w tygodniu, balangi w klubach w weekendy. Teraz tylko praca. Tylko praca. Wszystko inne nieważne, w każdym razie aż zdobędzie to, czego pragnie. A pragnie pieniędzy. Prawdziwych pieniędzy. Nie tylko na przeżycie. Nie tylko na szalone weekendy i zapłacenie rachunków. Tyle, żeby kupić samochód. Żeby kupić dom. Do tego też dojdzie, jest o tym przekonany.

Szczerze mówiąc, to był po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności. Ale zazwyczaj tak jest, nieprawdaż? Słyszał wcześniej to i owo na ulicy o Słodasie Francisie. O tym,



że próbuje wejść na rynek. Podebrać teren Peterowi Jamiesonowi. Tommy handlował wcześniej dla Jamiesona. Ale nie utrzymał się. Kutasowi szefującemu siatce Jamiesona nie podobał się styl Tommy'ego. A Słodas potrzebował dilerów. Dystrybutorów. Łatwo było znaleźć półgłówka, który stałby na rogu i rozdawał łakocie za pieniądze. Ale Słodas potrzebował kogoś lepszego. Kogoś stojącego wyżej w hierarchii. Kto potrafiłby zbudować i prowadzić siatkę, a nie tylko być jej częścią. Teraz mówi się, że Jamieson kazał sprzątnąć Lewisa Wintera. Inne źródła twierdzą wprawdzie, że to była sprawka dziewczyny Wintera, ale to zbyt śmieszne, żeby mogło być prawdą. Śmierć Wintera odstraszyła ludzi. Jeżeli to właśnie przytrafiło się ostatniemu szefowi siatki pracującemu dla Słodasa. Kolejnego pobito do nieprzytomności. Podobno sprawcą był Nate Colgan. Niebezpieczny sukinsyn, bez dwóch zdań. Dwóch innych koleśków kupiono; teraz pracują dla Jamiesona.

Słodasowi brakuje więc ludzi. Zaczyna wyglądać na to, że jego ofensywa ugrzęźnie jak wiele innych. A potem Tommy natyka się na stacji benzynowej na Fizzy'ego Watersa. Zupełnie przypadkowo. Fizzy tankował; Tommy obstawiał totka. Nie wolno porzucać marzeń, prawda? Fizzy wychodził. Tommy porzucił liczby i pobiegł za nim. Fizzy nie znał Tommy'ego, ale ten się przedstawił. Kiedy znowu nadarzy się taka okazja? Powiedział Fizzy'emu, że chce pomóc Słodasowi. Że dobrze zna miasto, co było prawdą. Że ma dobre kontakty, co nie było do końca prawdą. Dał mu numer do siebie, z prośbą, żeby zadzwonił. Mijały tygodnie i nic, cisza. A potem nagle – telefon. Parę drobnych, nieważnych zleceń – handel, dostawa – żeby pokazał, co jest wart. Potem podnieśli poprzeczkę.

Inicjatywa. Tego szukali. Kogoś, kto będzie samodzielnie myśleć. Komu nie trzeba będzie cały czas mówić, co ma robić. Ci na górze nie lubią, kiedy biegasz do nich z byle głupstwem. Tommy zaczął więc działać. Zdobył nowe kontakty, korzystając z efektu, jaki wywierało nazwisko Słodasa. W krótkim czasie stał się tym, za kogo na początku się podawał. A teraz był kimś o wiele więcej. Miał listę dobrych klientów. Miał ludzi, którzy dla niego pracowali – dilerów i kurierów. W ciągu paru miesięcy stworzył lokalną siatkę, o jakiej myślał Słodas. Temu ostatniemu spokojnie zajęłoby to pół roku. A on, Tommy, zarabia wreszcie grubszą forszę.

Z początku mu nie ufali. Nie mówili tego, ale nie jest głupi, widział to. Myśleli, że jest kolejnym półgłówkiem z blokowiska. Ulicznym handlarzem i nikim więcej. W gruncie rzeczy przeszłe doświadczenia mu się przydały. Lata balang, zadawania się z ulicznymi gangami, marnowania czasu i możliwości. Przydały się, bo dzisiaj zna odpowiednich ludzi. Jest na tyle blisko jednego z gangów, że może korzystać z ich usług. Dali wycisk paru osobom. Trochę pohandlowali. Przeważnie na małą skalę, ale to pomaga, kiedy ludzie wiedzą, że masz wsparcie. Trzeba postępować z nimi ostrożnie, bywają zmienni i nieodpowiedzialni, ale są dobrą reklamą. Twój własny

mały batalion osiłków. Bardzo użyteczne.

Kiedyś Tommy trzymał się z najlepszym kumplem z dzieciństwa, Andym McClure'em. Tylko oni dwaj. Tommy i Ciemniak, by użyć jego niefortunnego, lecz trafnego przydomka. Razem imprezowali, razem pracowali, a kiedy brakowało pieniędzy, razem mieszkali. Dzielili się wszystkim. Pieniędzmi, igłami, kobietami. Wciąż to robią. Tommy rozumie, że musi mieć kogoś, komu będzie mógł zaufać. Wszyscy ci nowi znajomi, nowi koledzy, interesują się nim wyłącznie z powodu pieniędzy. Z tego samego powodu, z jakiego on zainteresował się Słodasem. Sprzedaliby go przy pierwszej lepszej okazji. Ale nie Andy – on będzie stał przy nim do końca. Każdy potrzebuje kogoś takiego. Kogoś, do kogo zawsze może się zwrócić. Ale nie zabiera Ciemniaka na ważne spotkania, bo ten i tak nie powiedziałby nic mądrego.

Myśli o tym, zamykając drzwi i wychodząc z bloku. Ciemniak będzie wkurzony, że kolejne spotkanie odbywa się bez niego. Sądzi, że powinien tam być. Widzi siebie jako prawą rękę, kluczowego gracza. Ale to nie tak. Jest za mało bystry na dobrego przybocznego. Poza tym Tommy nie jest jeszcze na tyle rybą grubą, by potrzebować przybocznego. Wciąż jest dilerem na stosunkowo małą skalę, tyle że szybko pnie się do góry. Ma swoich dystrybutorów; penetruje nowe ciekawe obszary. Puszczą odpowiedni przekaz. Nie jest jednak dużym graczem. Jest ważny dla Słodasa, ale dla nikogo więcej. To spotkanie może pomóc to zmienić. Dwaj kolesie, którzy kontrolują kilka dużych osiedli w Lanarkshire. Duży obszar z dużym zapotrzebowaniem. Są znani, ale dla dużych organizacji są bez znaczenia. Mają też ambicje. To ich łączy. Ludzie ambitni powinni trzymać się razem.

Taksują go wzrokiem, gdy wchodzi do pubu. Chcą stwierdzić, na ile poważny z niego gość. Słyszeli, że jest wschodzącą gwiazdą. Oni potrzebują nowego dostawcy. Wschodząca gwiazda z dobrymi koneksjami byłaby idealna. Wygląda na to, że są kuzynami. Ian i Charlie Allenowie, chociaż Tommy nie wie, który jest który. Gdy do nich podchodzi, nie czuje między nimi powinowactwa. Obaj w średnim wieku. Jeden wysoki, z blond czupryną i dziobatymi policzkami. Drugi niski i korpulentny, z wygoloną czaszką i w okularach. Nic z tego nie ma znaczenia, chociaż wiek może się okazać przeszkodą. Tommy jest młody i wygląda młodo, a tego faceci w średnim wieku nie lubią. Chcą kogoś zbliżonego do nich doświadczeniem. Wtedy czują się komfortowo, myśląc, że pracują z kimś podobnym do siebie. Ale przeżyją dyskomfort, jeżeli zaproponuje im się korzystny układ.

Podaje im rękę. Uśmiecha się do obu. Przedstawia się i siada naprzeciwko. Tchnie pewnością siebie. Jest zdenerwowany, ale nauczył się to ukrywać.

– Słyszałem, że szukacie nowego dostawcy – mówi cicho, nie owijając w bawełnę. Tacy ludzie nie lubią bicia piany. Prosto do sedna; oni to szanują. – Prowadząc

operację taką jak wasza, potrzebujecie kogoś niezawodnego, sumiennego i mogącego zaproponować szeroki wachlarz produktów. Ja mogę to zaoferować. Mogę zaspokoić wasze potrzeby. – W drodze przećwiczył te słowa. Brzmiały dobrze. Brzmiały jak to, co Allenowie chcą usłyszeć.

– Ostatni dostawca zawiódł nas – mówi ten pulchny. Ale nie powie nic więcej, żadnych szczegółów. Nie krytykuje się dostawcy publicznie, nawet jeżeli nawalił. Jeśli dowie się, że go oczerniliście, może postanowić coś z tym zrobić. A dostawcy to ludzie niebezpieczni. – Jak duża jest twoja operacja?

– Większa, niż potrzebujecie – odpowiada Tommy.

To prawda. Słodas ma układ z dużym dostawcą, ale dostawca się niecierpliwi. Słodas ma jeszcze zbyt niską sprzedaż, a taka transakcja zaimponuje bossowi. Tommy oficjalnie nic nie wie o tym, że Słodas próbuje rozszerzyć skalę działania, ale to oczywiste. Duży dostawca nie będzie się zadawał z płótką. Słodas musi zwiększyć sprzedaż albo straci źródło towaru.

– Mamy wszystko, czego potrzebujecie – mówi Tommy tym dwóm – a nawet więcej. Z łatwością zaspokoimy wasze zapotrzebowanie. Jeżeli wasze zapotrzebowanie wzrośnie, a jestem pewny, że tak będzie, to również nie będziemy mieli z tym problemu. Dostarczamy wyłącznie towar dobrej jakości. Wasi klienci będą z niego zadowoleni. – To dobra marketingowa gadka. Przypochlebna. Trochę drażniąca.

– Dobrze wiedzieć – mówi pulchny i kiwa głową. – Odezwiemy się w ciągu kilku dni. – Wstają i wychodzą. Spotkanie biznesowe zakończone.

Poszło dobrze. I tak nie zdeklarowałiby się na tym etapie. Chcieli go poznać, wysłuchać, co ma do powiedzenia. Przekonać się, czy zasługuje na zaufanie. Usłyszeli to, co chcieli usłyszeć. Rozmawiać o pieniądzach nie było sensu. Obie strony doskonale wiedzą, jaka jest cena rynkowa. Przy każdej transakcji będzie inna. Tommy jest przekonany, że zadzwonią i dobiją targu. Lepszej oferty nie dostaną. To będzie spory krok naprzód dla Słodasa. Taka rzadka okazja. Słodas ma trudności z zapełnieniem braków kadrowych. Tommy może być jego najważniejszym handlowcem. Może zająć wysoko. Nie tylko dobrze zarabiać, lecz także zostać kimś autentycznie bogatym. I potężnym. O tym właśnie myśli, wracając na piechotę do domu. Coś zjeść. Sprawdzić, jak chłopaki stoją z towarem. Większość powinna mieć jeszcze zapas. Jest środa, niewielki popyt. Zaopatrzy ich jutro, przed weekendowym szczytem. Niech interes się kręci. Jego interes.

Czeka w aucie pod blokiem, obserwując krople deszczu ściekające po przedniej szybie. Czeka i obserwuje. Nie wychyla się. Nudna, lecz konieczna część roboty. Najnudniejsza część tej roboty i tak jest ciekawsza od najciekawszej części normalnej pracy. Ktoś mógłby pomyśleć, że to dziwne, że tak siedzi. Każdy przechodzień mógłby go zobaczyć i zapamiętać jego twarz. Spisać numer rejestracyjny. Parę dni później dowiadują się, że w sąsiedztwie kogoś zamordowano; spełniają obywatelski obowiązek i dzwonią na policję. Frank zna te wszystkie opowieści. Wszystkie rodzaje wpadek. Płaczliwe opowieści setki idiotów, którzy dali się zamknąć przez jeden błąd.

Frank już dawno nauczył się postępować ostrożnie. Siedzisz, obserwujesz i czekasz. Jesteś cierpliwy. Należycie rozpoznajesz teren. Potem działasz szybko. Szybkość działania – od zlecenia do realizacji – zawsze była znakiem firmowym Franka. To jedna z rzeczy, które odróżniają go od Caluma. Calum jest dobry, ale powolny. Zastanawia się. Działa po kunktatorsku. Tymczasem ludzie tacy jak Jamieson lubią, kiedy sprawy załatwiane są szybko. Wiedzą wtedy, że wszystko poszło gładko.

Frank patrzy na zegarek. Obserwuje wejście do bloku. Nie wie, czy to ta klatka. Nie wie nawet, czy jest po właściwej stronie budynku. Może Scott jest już dawno w środku. A może jest z nim banda jego kumpli – gołowąsów. Lepiej poczekać, nie ryzykować. Frankowi przychodzi do głowy, że Calum mógł zaparkować dalej od budynku. Wzrok ma już nie ten co kiedyś, zwłaszcza w tym deszczu. Lepiej być na tyle blisko, żeby widzieć drzwi. I nie musieć się za wiele nachodzić. Blok wygląda na zapuszczony, windy mogą nie działać. To może być ponad jego siły. Wspiąć się na samą górę, a potem zejść na dół. Nie, bez szans. Nawet gdyby był młody i w pełni formy, oznaczałoby to zbyt długą ewakuację po robocie. Kolejny problem. Ale cóż, po to właśnie są rekonesansy.

Jest prawie druga w nocy. Dość czekania. Nikt nie wszedł wejściem, które obserwuje. Nie pali się ani jedno światło. Frank wie, że wiele mieszkań to pustostany. Stopniowo burzą te potwory. I dobrze. Musi się tu strasznie mieszkać. Nie mówiąc o tym, że to kiepskie miejsce na robotę. Gdy ludzie się wyprowadzają, zostawiają puste mieszkania. Gdy zamieszkanym pomieszczeń jest już tylko garstka, gmina przenosi pozostałych lokatorów gdzie indziej. Im mniej lokatorów w danym budynku, tym gorsza jakość życia. Ludzie z zewnątrz zaczynają wykorzystywać pustostany do własnych celów. Bezdomni. Narkomani. Zostawiają po sobie wszelkiego rodzaju syf. To nie może być przyjemne miejsce do życia dla chłopaka takiego jak Scott. Nic dziwnego, że ryzykuje, pracując dla Słodasa. Idzie w ślady Lewisa Wintera. Żyjąc

w ten sposób, ma prawo być zdesperowany.

Frank wysiada z samochodu, zamyka go pilotem. Biodro minimalnie sztywne. Siedzenie w aucie mu nie służy. Lekarz tak powiedział. I że musi na nie uważać przez jakiś czas. Nie forsować, podkreślił. Frank powiedział, że pracuje jako konsultant do spraw bezpieczeństwa. Lekarz zaśmiał się i mruknął, że praca biurowa to dobra rzecz. Frank przytaknął. Teraz idzie w stronę wejścia do budynku, naciągając kaptur na głowę. Pada, ale może też być kamera. Większość kamer i tak nie działa, ale ostrożności nigdy za wiele. A poza tym pada.

Wchodzi. W rogu wisi kamera, ale na pierwszy rzut oka widać, że nie działa. Prawdopodobnie jakiś mały gnojek uznał, że nie chce być podglądany, i ją roztrzaskał. To oznacza, że wejście jest w porządku. Cenna informacja. Klatka schodowa, dwie windy. Żadna nie wydaje się zepsuta. Kolejna dobra wiadomość. Nikogo w zasięgu wzroku. Naciska guzik, by przywołać windę. Winda przyjeżdża pusta. Wsiada i naciska guzik przedostatniego piętra. To długa droga, a winda jedzie powoli. Patrzy na zapalające się kolejno światełka, modląc się, żeby nie zatrzymali się na innym piętrze. Ludzie wsiadają i wysiadają, potrącając go. Winda zatrzymuje się na przedostatnim, trzynastym piętrze. Zimny korytarz. Pusty i cichy, tak jak lubi. Teraz patrzy na numery mieszkań. Próbuje znaleźć mieszkanie Scotta, żeby móc tam błyskawicznie dotrzeć w dniu roboty. Próbuje zorientować się, po której stronie budynku się mieści, by uważać na światła.

Na końcu korytarza, po prawej, znajduje to, czego szuka. Numer 34B. Drzwi zamknięte, w środku cisza. Sprawdza dookoła. Nic godnego uwagi, z wyjątkiem mieszkania naprzeciwko. Numer 35A. Drzwi dokładnie na wprost drzwi Scotta. Dobrze byłoby wiedzieć, czy ktoś tam mieszka. Być może będzie musiał sprawdzić to nazajutrz rano. Dowiedzieć się, kim są lokatorzy i kto usłyszy dziwne hałasy. Frank nie jest na tyle głupi, żeby stać na wprost drzwi z wizjerem. Stoi przy ścianie i rzuca kuse spojrzenia. Szuka zabezpieczeń. Na pewno nie ma kamery. Drzwi też nie wyglądają, jakby miały jakieś dodatkowe zamki. To się może okazać ważne, ale miejmy nadzieję, że nie. Na tę chwilę zobaczył już wystarczająco dużo. Uśmiecha się w duchu, zdążając z powrotem do windy. Wszystko wygląda tak prosto, jak pragnął. W drzwiach windy odwraca się i obrzuca korytarz ostatnim spojrzeniem. Na podłodze widnieją ślady mokrych butów. Musi o tym pamiętać, jeżeli będzie padało.

Robota zostanie wykonana następnej nocy. Tak postanawia, zjeżdżając windą na parter. Prosta robota bez komplikacji. Nie ma potrzeby tego przeciągać. Wysiąd z windy i kieruje się ku wyjściu. Potem idzie w stronę samochodu. Deszcz wciąż pada. Deszcz ma swoje plusy i minusy. Oznacza większe prawdopodobieństwo zostawienia śladów. Większe prawdopodobieństwo poślizgnięcia się, jeżeli trzeba będzie poruszać się szybko. Ale daje pretekst, żeby założyć kaptur. No i w deszcz

ludzie raczej siedzą w domu. To ważne. Zapuszcza silnik i odjeżdża. Jedzie przez nocne miasto, jak tyle razy wcześniej. Ale miasto się zmienia – z przemysłowej przeszłości niezgrabnym susem skacze w błyszczącą przyszłość. Trzeba je znać. Każdy zaułek i każdy zakamarek, jak powiedzieliby starzy wyjadacze. Trwa sekundę, zanim Frankowi przypomina się, że to on jest starym wyjadaczem.

Jest przed swoim domem. Cicho zamyka drzwi samochodu i idzie żwirową ścieżką. Jutro weźmie inne auto. Wyjdzie też wcześniej z domu. Nabiera się jednak nawyku ostrożności. Wchodzi, delikatnie zamyka drzwi, rygluje. Nie zapali światła. Wie, gdzie co jest. Może równie dobrze poruszać się w ciemności. Ale nie musi już być cicho. Nikogo nie obudzi. Przed nikim nie musi się kryć. Nigdy z nikim nie był. W każdym razie nie na tyle blisko, by z tą osobą mieszkać. Parę kobiet przez te wszystkie lata, ale nic poważnego; nie pozwoliłyby sobie. W Hiszpanii poznał pewną Angielkę. Czterdzieści parę lat, zabawna, szykowna. Odwiedzała syna. Powtarzała, jakie to głupie, że ludzie w ich wieku mają wakacyjny romans. Co nie przeszkadzało jej cieszyć się nim. Przez całe życie Frank miał tylko przelotne romanse. Wakacyjne romanse, tak powinno się je nazywać. Wakacje od życia, które sobie wybrał.



## 4

Nie da się ukryć, że Ciemniak jest głupkiem. Kompletnym pacanem, szczerze powiedziawszy. Tommy Scott wie to od zawsze, ale Ciemniak jest lojalnym kumplem i stara się, jak może. Czasem jednak jego zachowanie sugeruje, że czegoś się nauczył. Jak na przykład teraz. Przeszkuje przez próg. Scott posłał go do pustego mieszkania naprzeciwko, żeby zaniósł tam torbę towaru. Bunkrują go pod klepkami podłogi. Mniejsza szansa, że ktoś coś zwęszy. Scott nie trzyma dużych ilości w pobliżu przez dłuższy czas – jest na to za sprytny. Odbiera towar od dostawcy Słodasa i błyskawicznie rozprowadza wśród swoich dilerów. Zdrowy rozsądek podpowiada, że towar nie powinien zalegać w magazynie. W każdym razie taki mają system. Ciemniak poszedł naprzeciwko schować towar. Coś długo nie wraca. Wreszcie się pojawia, a na jego twarzy gości dziwny wyraz. Zazwyczaj minę ma zupełnie obojętną. Ale nie tym razem.

Starannie zamyka za sobą drzwi.

– Przed chwilą widziałem jakiegoś faceta na korytarzu – mówi.

– Tak? – Scott mógłby udąć zainteresowanie, ale zwykle lepiej nie dawać Ciemniakowi zachęty do rozgadania się.

– Tak. Przed wyjściem zerknąłem przez wizjer, tak jak mi kazałeś. I zobaczyłem go. Starszy gość. W każdym razie tak wyglądał. Długa kurtka. Kaptur na głowie. Stał pod ścianą w taki sposób – pokazał – i obserwował twoje drzwi.

Tak, to ciekawe.

– Powaga? I co, poszedł sobie?

– Tak jest. Poczekalem, aż wsiądzie do windy, i dopiero wtedy wyszedłem.

Jedynym źródłem światła w mieszkaniu w tym momencie jest telewizor w rogu. Głos ściszony prawie na zero. Scott stoi przy oknie, wygląda przez szparę w zasłonie, obserwuje parking.

– Wyłącz telewizor – mówi do Ciemniaka. Czeka, aż zrobi się zupełnie ciemno, i obserwuje postać idącą przez parking. Mężczyzna kieruje się w stronę ulicy i wsiada do samochodu.

Odjechał, to dobrze. Dzisiaj zapewne nie będzie już nic próbował. Stary głupiec. Ale to oznacza szansę. Dużą szansę.

– Kim właściwie był ten facet? – pyta Ciemniak. – Powinienem być coś zrobić?

– Nie, postąpiłeś słusznie. – Wahanie. Ile ma powiedzieć przyjacielowi? Będzie go potrzebował, więc musi powiedzieć mu wszystko. – Myślę, że on pracuje dla Petera



Jamiesona.

– Dla Jamiesona? O cholera. Myślisz, że chodziło mu o nas?

– Domyślam się, że tak. I domyślam się, że jeszcze tu wróci. Jeżeli się nie mylę, był tu dlatego, że zamierza nas zabić. Tyle że kiedy się zjawi się ponownie, będziemy na niego czekali.

– Tak? – Ciemniak milczy, myśli. Trwa to chwilę. – Czy nie jest to coś, o czym powinniśmy zawiadomić Słodasa? Żeby on się tym zajął?

– Nie – odpowiada Tommy. To byłoby najprostsze, ale nie o to chodzi. Inicjatywa. Tego oczekują. Żeby wykazywał inicjatywę. Zajmie się tym sam i naprawdę im zaimponuje.

Dziś i tak już nie zaśnie. Nie ze świadomością, że Frank MacLeod może wrócić. Nie ma pewności, że to był on, ale któż by inny? Fizy, przyboczny Słodasa, ostrzegał Tommy'ego. Powiedział, że Jamieson to twardy sukinsyn, ma zabójców na swoich usługach. A najgroźniejszym z nich jest Frank MacLeod. Starszy gość, który ma na koncie masę mokrych robót i nigdy nie wpadł. Właściwie legenda. Dla Jamiesona byłoby sporym ciosem, gdyby został zlikwidowany. I wielkim sukcesem dla Słodasa, gdyby zrobił to jego człowiek. Ależ szansa! Coś takiego zdarza się raz w życiu. Muszą ją wykorzystać. Zabić gościa. Zabić go. Kurde, nigdy wcześniej tego nie robił. Nawet o tym nie myślał. To oznacza przekroczenie jakiejś granicy. Ale musi to zrobić. Nie ma wyboru. Zabić albo zostać zabitym. A poza tym to taka wielka szansa.

Na dwór zatem, w poszukiwaniu spluwy. Jakiegokolwiek. Byle zdatnej do użytku. Są takie miejsca, zawodowi handlarze bronią. Muszą cię znać, wiedzieć, że mogą ci zaufać. Nie sprzedadzą komuś takiemu jak on, a Tommy Scott wie o tym. Któregoś dnia sami będą zabiegać o jego względy, ustawią się w kolejce, ale jeszcze nie dzisiaj. Poza tym są drodzy, a on nie ma przy sobie zbyt wiele gotówki. Zatem opcja ekonomiczna. Nie dostaną nic specjalnego, ale co z tego? Jeżeli tylko spluwa wystrzeli, a Frank MacLeod padnie na ziemię i nie podniesie się, to wystarczy. Może też nie być czysta. Scott zna slang. „Czysta” spluwa to taka, za pomocą której nie popełniono dotąd żadnego przestępstwa, które potem mogłoby być tobie przypisane. Nie dostaną broni z taką gwarancją. Cena i dostępność – to się liczy.

Gość nazywa się Donall Tokely. Mówią na niego Spikey, czyli „nastroszony”, z powodów, których prawie nikt już dzisiaj nie pamięta. Zdaje się, że chodziło o jego dziecięcą fryzurę. Kiedy Tommy i Ciemniak zadawali się z okolicznym gangiem, Spikey też tam był. O jakiś rok młodszy od nich, ale twardy sukinsyn. On i paru innych członków gangu wpadło i poszło do pudła. Dostali trzy lata za rozbój. W dniu, w którym go wypuścili, ukradł kioskarzowi puszkę z datkami. W zeszłym roku zbliżył się do ludzi poważniejszego kalibru. I to za pośrednictwem własnej matki, kto

by pomyślał. Teraz sprzedaje u niej w domu podrobione ciuchy. Zakumplował się z kimś z jej dostawców i zaczął się piąć w górę. Plotka głosi, że handluje bronią. Ktoś przywozi stary towar z Irlandii Północnej, a Spikey to żeni. Parę miesięcy wcześniej pokazał Tommy'emu pistolet. Powiedział, że jeżeli na poważnie myśli o założeniu siatki, to powinien coś takiego posiadać. Ale Tommy odmówił. Przynajmniej na razie. Ale teraz sytuacja się zmieniła i Tommy chce tamtą spluwę.

Wala do drzwi, niecierpliwą się. No to co, że śpi? Muszą to szybko załatwić. Chodzi o życie, śmierć i biznes. Tommy chce mieć czas na przygotowanie się. Do końca nie wie, co musi zrobić, ale wydaje się oczywiste, że będzie potrzebował czasu. Muszą być ostrożni. Frank MacLeod to piekielnie niebezpieczny gość. Znowu wala do drzwi. Tommy próbuje sobie przypomnieć, czy Spikey wciąż mieszka z matką. O wiele bardziej boi się tej tłustej czarownicy niż jego. Słyszał o niej parę rzeczy, od których zrobiło mu się niedobrze. Szczęk odsuwanej zasuw, drzwi się otwierają.

– Tommy. Cholera. Tommy! Wiesz, która godzina? Odwaliło ci czy co? – Spikey gapi się na niego zaspanym wzrokiem. Tommy Scott zawsze lubił Spikeya. Zdawali się mieć podobne ambicje. Zawsze myślał o Spikeyu jako o kimś wyrastającym ponad średnią. Ale teraz coś się zmieniło. Tommy to rozumie. Ambicjami przerósł Spikeya. Przechodzi na wyższy poziom, miernoty takie jak Spikey zostawiając w tyle.

– Posłuchaj, stary – mówi, pamiętając, by dodać przyjacielski zwrot. – Potrzebuję spluwy. Teraz, od razu. Nie musi być nic nadzwyczajnego, byle działała. Nie mam przy sobie za wiele kasy, dam ci, ile mam, a resztę przy najbliższej okazji. Wiesz, że zwrócę. Mogę zapłacić gotówką albo w towarze, twój wybór. W tej sytuacji moglibyśmy zrobić dobrą cenę na towar.

Spikey przygląda mu się, zdziwiony. Zbyt wiele informacji do przetrawienia o tej porze.

– Chcesz spluwę? Wcześniej mówiłeś, że nie chcesz.

– Ale teraz tak.

– Aha. Ale ja nic nie mam. Nie w tej chwili. Mogę załatwić, jeżeli chcesz, ale to zajmie parę dni. Powinieneś być wtedy powiedzieć. Kiedy miałem.

– Jak to nie masz? – pyta Scott. W jego głosie pobrzmiwa gniewny ton, który zauważyli i Ciemniak, i Spikey. – Przecież z tego żyjesz.

– Dobra, wyluzuj trochę, okej? Tak, sprzedaję. Sprzedałem całą masę parę tygodni temu. Dobrze zarobiłem. Wszystko jednemu kupcowi. Tym samym zresztą gościom, od których kupiłem. Chcieli towar z powrotem. Dopłacili, a jakże. Wpadło trochę siana za nic. Ale jeżeli poczekasz, to spodziewam się nowej dostawy.

To był najlepszy kontakt Tommy'ego Scotta. Co teraz? Jedyni inni goście

handlujący bronią, których Tommy zna, zapewne mu jej nie sprzedadzą. Spikey to taki dureń. Tommy zorientował się, gdy tylko Spikey wspomniał o odkupionej broni. On nie kuma. Goście sprzedają mu towar, a potem odkupują go po wyższej cenie. Jest tylko jeden powód, dla którego mogą tak szastać pieniędzmi. Bo ktoś zaoferował im jeszcze wyższą cenę. Gdyby Spikey nie miał sieczki zamiast mózgu, odrzuciłby propozycję i sam poszukał lepszej oferty. Ale nie, połasił się na szybki pieniądź. Brak ambicji. Brak inicjatywy. Dlatego nie zajdzie daleko.

– Musimy mieć spluwę? – pyta Ciemniak.

– Jeżeli on ma, a my nie, to już po nas. Nawet jeśli jest dwóch na jednego. Ten facet to zawodowiec, a my nie. Musimy zrobić to porządnie. Pokazać Słodasowi, że wiemy jak.

Mark Garvey. Paskudna postać. Ale sprzedaje żelazo, każdy to wie. Sprzedaje różnym, między innymi tym najgorszym. Jakoś udaje mu się unikać zainteresowania glin. Bóg jeden wie jak. Musi mieć niemożliwego farta, bo siedzi w tym po same uszy. Złodzieje, cyngle, dilerzy, alfonsi – wszyscy od niego biorą. Niektórzy gadają, że załatwił paru własnych dostawców, zanim zdążyli na niego donieść. Ale to mogą być tylko plotki. Sporo się tego słyszy. Tommy wie, gdzie Garvey mieszka, a w każdym razie, gdzie mieszkał. Jeżeli się przeprowadził, to obudzą nie tego, co trzeba.

Pukają. Tym razem okolica jest porządniejsza. Drzwi się otwierają. Atrakcyjna kobieta, po trzydziestce, krótki peniuar.

– Szukamy Marka Garveya – mówi Tommy. Z tyłu gaśnie światło. Hm, może jednak nie aż tak atrakcyjna. Włosy tlenione, kurze łapki pod oczami, nie najlepsza skóra. Ale w odrobinie makijażu wyglądałaby w porządku.

Kobieta znika. Garvey staje w drzwiach, marszcząc czoło. Lekko po pięćdziesiątce, włosy tlenione na ciemno, bez dwóch zdań próbuje się odmłodzić ze względu na partnerkę. Drugie małżeństwo to niełatwa sprawa.

– Czego chcecie? – pyta Garvey. Patrzy na Tommy’ego, nie zwracając uwagi na Ciemniaka. Od razu wie, który z nich się liczy.

– Potrzebujemy spluwy – mówi Tommy cicho. Może Garvey nie wtajemnicza żony we wszystko. – Jakiegokolwiek, byleby działała.

– Tak? To ciekawe. Chyba pomyliliście adres. – Chce zamknąć drzwi.

– Nie, nie pomyliliśmy – mówi Tommy, wsadzając nogę w szparę. – Wiem, że nie sprzedajesz nieznanym. To zrozumiałe. Ale ja reprezentuję organizację. Mogę zapłacić gotówką albo w towarze. Twój wybór. To może być początek stałej współpracy.

– Nie, nie może – mówi Garvey. – A teraz zabieraj tę nogę, zanim stracę cierpliwość.

– Sprawa jest gardłowa. Odwdzięczymy się, jeżeli nam pomożesz.

– Posłuchaj mnie – mówi Garvey, pochylając się gwałtownie naprzód. Jest raczej drobnej budowy ciała, ale sztuczka działa. Tommy cofa nogę. – Jeżeli na gwałt potrzebujesz klamki, a stoi za tobą organizacja, to masz zwrócić się do niej. Po to jest. A nie budzić mnie w środku nocy, zrozumiano? – Zamyka drzwi. Nie zatrzaskuje, to mogłoby obudzić sąsiadów, a ktoś taki jak Garvey nie chce, by sąsiedzi wiedzieli, że miał gości.

Znowu na ulicy. Próbują jeszcze u dwóch handlarzy. Jeden nie otwiera, drugi zatrzaskuje im drzwi przed nosem. Tommy nie zna już więcej adresów. Chłopaki z gangu pewnie coś mają, ale nie jest z nimi na tyle blisko, żeby się podzielili. Zazdrośnie strzegą aktywów. Mógłby pójść do Słodasa. Pewnie dostałby to, czego potrzebuje. Ale wtedy cała sprawa nie miałaby sensu. Słodas niemal na pewno przysłałby kogoś innego, żeby rozwiązał problem. Ich rola ograniczyłaby się do powiadomienia Słodasa. A to niewiele.

Wracają do domu. Ciemniak narzeka. Na nic się nie przydał. Nie posunęli się ani o krok naprzód, ale Tommy usilnie myśli. Próbuje wymyślić, jak zlikwidować mordercę takiego jak Frank MacLeod. Jak dwóch ludzi ma załatwić jednego człowieka z pistoletem. Oto inicjatywa, która się liczy.

Obchód. Nic specjalnego, głównie chodzi o pozory. To ważne. Żeby ludzie wiedzieli, że jesteś aktywny, że masz ich na oku. Że są pod presją. John Young miał już dzisiaj jedno spotkanie. Rozmawiał z jednym z dwóch głównych dostawców. Musiał przy tym uważać. Dostawcy to drażliwi ludzie. Ale mają ku temu powody. Policyjne operacje przeciwko dużym importerom są lepiej finansowane, lepiej prowadzone niż te przeciwko płotkom. Im lepiej, tym trudniej negocjuje się z dostawcami. To było luźne spotkanie. Drobną sprawą, głównie chodziło o przekazanie subtelnej aluzji. Do uszu Younga dotarły plotki o ważnych osobach zmieniających dostawców. Kłócących się niczym przekupki. To niebezpieczne dla wszystkich. Teraz jest już spokojniejszy. Dostawca mówi, że to nic wielkiego. Już załatwione. Parę osób pożarło się o pieniądze. Krew się o to nie poleje. Grubszej afery z tego nie będzie.

Zatem pierwsza sprawa załatwiona. Teraz druga. Zawsze jest ich sporo. Ta bardziej dotyczy biznesu. Ludzie naprawdę nie są zbyt inteligentni. Younga codziennie zaskakuje, jakimi idiotami potrafią być. Ludzie, którzy naprawdę powinni dużo wiedzieć. Pieniądze to z nimi robią. Chciwość ich ogłupia. Do tego stopnia, że są gotowi zaryzykować o wiele więcej, niż potencjalnie mogą zyskać. Marty Jones prowadzi mały brudny interesik, który przynosi mu zyski. Zasadniczo jest alfonsem. Nikt go za bardzo nie lubi, ale facet robi swoją robotę i zarabia forszę. Działkę odpala organizacji, w zamian za co ma dostęp do korzyści wynikających z faktu bycia częścią grupy Jamiesona. Marty dostarcza towar, na który jest zapotrzebowanie, i dobrze na tym zarabia. Ale to nigdy nie wystarcza ludziom takim jak on. Zwyczajnie nie są oni w stanie zadowolić się tym, co mają. Dopóki nie dostaną nauczki.

Young kazał obserwować Marty'ego dziś rano. Właśnie dostał informację, że udał się on do klubu nocnego, który prowadzi jego brat. Idealnie. Miejsce zbrodni. Young parkuje przed klubem i wysiada. Sapiąc i dysząc. Zdaje sobie sprawę, że mógłby zrzucić parę kilo. Wchodzi do środka. Nieznajomo. Pyta kobietę sprząającą hol, gdzie znajdzie menedżera. Ta wskazuje w głąb korytarza. Śmiały się z braków w dziedzinie bezpieczeństwa, gdyby nie martwiły go jego własne. Idzie korytarzem, dociera do drzwi z napisem „Menedżer”. Nie puka, po prostu wchodzi. Ciasno. Ciemno. Marty siedzi na fotelu przed biurkiem, na wprost swojego brata Adama. Obaj patrzą na Younga i nie wiedzą, co powiedzieć. O to mu właśnie chodziło.

Pod ścianą stoi stare krzesło. Young siada na nim.

– Myślę, że obaj wiecie, dlaczego tu jestem – mówi. Żadnych uśmiechów, żarcików, odgrywania cwaniaka. Tu chodzi o biznes i obaj muszą zrozumieć, jak

poważna jest ich sytuacja.

– Nie jestem pewien... – mówi Marty i urywa. Zapomniał języka w gębie.

– Wiem, że organizujecie tu prywatne imprezy. Wiem, że wykorzystujecie przy tym towar od nas. Wiem, że ładnie na tym zarabiacie, ale się nie dzielicie. Nie powiem wam, żebyście przestali je organizować. Przyszedłem tu sam na znak dobrej woli. Wy zarabiacie forszę. To dobrze. Odpalcie nam działkę. Dzięki tym imprezom nawiązujecie kontakty z innymi organizacjami. Też dobrze. Wszyscy możemy na tym skorzystać. – Patrzy teraz na Marty'ego. – W ciągu kilku najbliższych dni podjedziesz do klubu i pokażesz mi rachunki związane z tymi imprezami. Uregulujesz to, co nam wisisz. Dogadamy się tak, żeby obie strony były zadowolone. W przeciwnym razie pojawię się tu znowu i nie będę sam.

Wstaje i wychodzi. Tamci milczą. Zostali przyłapani na gorącym uczynku. Marty jest przynajmniej na tyle inteligentny, by wiedzieć, że musi zagrać z nimi w otwarte karty. Odpali działkę. Wie, jaką cenę przyszłoby mu zapłacić, gdyby tego nie zrobił. Groźby brzmią trochę standardowo, ale przynajmniej wiadomo, o co chodzi. Young nie jest typem człowieka, który zaczynałby od przemocy. To przekreśliłoby perspektywę zarobku. Z drugiej strony nie można być zbyt subtelnym. Tamci muszą wiedzieć, co będzie, jeżeli nie wypiją piwa, które sami nawarzyli. Pieniądze, o które chodzi, nie są wielkie, ale warte osobistej wizyty. Muszą wiedzieć, że nie wolno ignorować organizacji. Każdy musi to wiedzieć. Ale chodzi też o coś więcej. Te imprezy mają potencjał. Najbardziej zainteresowało go, kto na nich gości. Szychy z dużych organizacji. Ludzie, których warto znać. Ludzie posiadający informacje – ulubioną broń Younga.

Jeszcze jedno krótkie spotkanie przed lunchem, a potem z powrotem do klubu. Nie ma nic ważniejszego od obrony przed nieprzyjaciółmi. By móc skutecznie z nimi walczyć, trzeba wiedzieć, co knują. Jest w mieszkaniu, którego często używa. Nieduże, ale bezpieczne i tak zlokalizowane, że zewnętrzny obserwator nie wie, kto do którego mieszkania wchodzi i z którego wychodzi. Dobre miejsce na spotkania z ludźmi, z którymi nie chce się być widzianym. Używa go jednak od dłuższego czasu. Rozgląda się za odpowiednią alternatywą. Człowiek, z którym ma się spotkać, już przybył. To długoletni informator, nie do końca godny zaufania. Dlatego musi czekać. Young przyjdzie ostatni i wyjdzie pierwszy. Informator poczeka na jego przybycie, a potem da mu czas na wyjście.

– Czyli pracujesz na noc? – mówi Young, siadając przy kuchennym stole. Mieszkanie jest skąpo umeblowane, zawsze zimne.

– W tym tygodniu i w następnym – kiwa głową Greig. Policjant Paul Greig. Informator nieco zbyt entuzjastyczny. Young zna go od lat. Gliniarz po trzydziestce,



który nigdy nie zrobi kariery. Sprawia wrażenie utalentowanego gliny. Ma też opinię. Tak kiepską, że nawet przestępcy mu nie wierzą. Ale czasami przynosi coś ciekawego.

– Powiedz mi, co powinienem wiedzieć – mówi Young.

– Myślę, że śledztwo w sprawie śmierci Lewisa Wintera jest równie martwe, jak on sam. Praktycznie jeszcze tylko Fisher nad tym siedzi, ale i on ma inne rzeczy na głowie. Zainteresowanie sprawą wygasło.

Young kiwa głową. Próbuje nie zdradzić, że już to wie. Dać się gościowi wygadać. Nie straszyć go, nie irytować.

– Problem Fishera polega na tym, że nie potrafi poskładać do kupy poszczególnych fragmentów układanki – mówi Greig. Wie, na czym zależy Youngowi. – Ma wszystkie nazwiska, tylko nie potrafi ułożyć ich w odpowiedniej kolejności. Wie, że coś jest na rzeczy pomiędzy Słodasem a Jamiesonem. Wie, że Glen Davidson był w to zamieszany i że zniknął. Wie, że Lewis Winter był zamieszany i nie żyje. Wie, że Davidson przed zniknięciem zadzwonił do niejakiego MacLeana. Wie, że nazajutrz MacLean zmienił miejsce zamieszkania. Nie trzeba geniusza, by dojść, o co tu chodzi, ale potrzeba dowodów. Nie sądzę, by je znalazł. Zbyt wielu zawodowców brało w tym udział.

Young spogląda na niego. Wzmianka o Calumie zawsze go niepokoi. Próbowali trzymać go pod kloszem, ile się dało, ale nic nie trwa wiecznie. Takie życie.

– Zatem Fisher próbuje zebrać to wszystko do kupy, co? – pyta. Takim tonem, jakby było mu to właściwie obojętne. Ale nikogo nie zwiedzie.

Greig wzrusza ramionami.

– Ma w ręku poszczególne elementy, ale do zrobienia z tego aktu oskarżenia daleka droga. Może lepszy gliniarz dałby radę. Miałby przebłysk natchnienia. Ale Fisher nie jest typem takiego gliniarza. Nie popuści, to jasne, ale daleko z tym nie zajdzie. – Kolejne wzruszenie ramionami.

Young kiwa głową, ale nie wierzy. Fisher jest niebezpieczny. Zlekceważenie kogoś tak zawziętego byłoby grubym błędem. Szanuj nieprzyjaciela.

Wsiada do auta i jedzie przez miasto. Wraca do klubu, ale okrężną drogą. Ma dwadzieścia minut do domu Fishera. Warto nadłożyć. Nie po to, by cokolwiek zrobić. Z gliniarzami tak się nie postępuje. Ale po to, by wiedzieć, z kim ma się do czynienia. Dowiedzieć się czegoś o nich i ich rodzinie. O ich przyjaciółach. Stylu życia. Każdy szczegół może się kiedyś okazać przydatny. Wszystko z myślą o obronie, nie ataku. Nie musi jechać koło domu Fishera, ale łatwiej mu się pracuje, kiedy ma przed sobą jasny obraz. Zobaczyć dom, wyobrazić sobie jego mieszkańca. Facet nie ma żadnej



bliskiej rodziny. Paru przyjaciół. Musi mieć jakąś słabość. Musi. Sprawdzili jego pocztę elektroniczną i telefon, ale nic nie znaleźli. Mogą też zrobić inne rzeczy. Zdobyć klucz do drzwi. Zajrzeć do środka. Sprawdzić historię w przeglądarce. Informacja. Jeżeli nie znajdą nic ciekawego, mogą stworzyć to sami. To ostateczność. Bez względu na to, ile krwi psuje im Fisher, wciąż jest gliną. A glin się nie prowokuje.

## 6

Frank jest wyspany. Kiedyś, raczej dawno temu, denerwowałby się przed robotą. Teraz już nie. Rutyna daje spokój. Człowiek wie, co robi, i sprawia mu to radość. Przygotowania stają się mniej męczące. A gdy robota już się zacznie, jest łatwo. Poczucie celu staje się głównym uczuciem. Nie ma miejsca na troski. Wstaje, bierze prysznic, je śniadanie, przegląda gazetę. Musi dowiedzieć się czegoś o lokatorach sąsiednich mieszkań, ale to nie problem. Jeden poranny telefon do znajomego. Informację otrzyma od osoby trzeciej. Nawet więcej, czwartej lub piątej. W każdym razie, na końcu łańcuszka jest starsza wiekiem urzędniczka w biurze meldunkowym. Nigdy nie pozna nazwiska Franka, nie dowie się, że informacja będzie wykorzystana w niecnym celu. W zamian za niewielką sumę pieniędzy podzieli się informacją, kto zajmuje sąsiednie mieszkania. W tym momencie na nic lepszego Frank nie może liczyć. Niezbyt pewne źródło informacji. Możliwe, że ktoś będzie próbował wejść do tego czy innego pustego mieszkania. Ale to nieuniknione ryzyko. Pracuje się na podstawie tych informacji, które się posiada.

Czyta gazetę, wychodzi do sklepu. Codziennie robi mały spacer. Ćwiczy biodro, buduje sprawność. Poza tym pokazuje się w dzielnicy. Frank od lat udziela się w sąsiedztwie. Gra nieco smutnego starzejącego się jegomościa, który mieszka sam. Nigdy nie zaprzyjaźnił się z sąsiadami, ale żyje na tyle otwarcie, by nie zrobili się wścibscy. Idzie do sklepu na rogu w dole ulicy. To niedaleko, ale oznacza, że w dniu roboty będzie widziany, jak zachowuje się najnormalniej pod słońcem. O to mu chodzi. Nie potrzebuje butelki mleka i paczki herbatników, które kupi. Chce po prostu, by widziano go, jak idzie do sklepu, zwyczajny, taki jak zawsze. Jeżeli ktoś w okolicy wie, z czego żyje, to nigdy się z tym nie zdradził. Nawet nie zasugerował, że wie. Może po prostu mają dość oleju w głowie, by trzymać głębę na kłódkę.

Widział go sklepikarz. W sklepie było też parę osób. Teraz jest z powrotem w domu i zabija czas pozostały do wieczora. To jedyna wada tej pracy. Gdy się pracuje, trzeba się trzymać z dala od współpracowników. Dziwne. Z wiekiem Frank coraz bardziej lubi wybrać się do klubu i spotkać z ludźmi. Pograć w bilard, przetrwonić parę godzin. Chodzi dwa czy trzy razy w tygodniu, kiedy nie ma akurat roboty. Oficjalnie po to, by grać rolę konsultanta do spraw bezpieczeństwa, by przykrywką wyglądała przekonująco. Tak naprawdę dla towarzystwa. Od osoby, która zleca mu robotę, trzyma się z dala. Przynajmniej przez kilka dni, czasem nawet tydzień. W zależności od tego, jak gruba jest afera. W przypadku kogoś takiego jak Tommy Scott nie powinno być problemu. Śmierć pójdzie na karb wojny gangów. W mediach nie powinno być zbyt wielkiego szumu, chyba że będzie panował zupełny

sezon ogórkowy. Policja też nie nada sprawie rozgłosu. Lepiej nie straszyć ludności opowieściami o krwawych porachunkach.

Popołudnie minęło. Frank gotuje sobie obiad. Nic ciężkiego, nic egzotycznego. Nie chce przecież, żeby kiszki odmówiły mu posłuszeństwa. Będzie trochę nerwów. Niezbyt wiele, to kwestia doświadczenia, ale trochę może być. Nerwowość może pojawić się nieoczekiwanie. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, bez niespodzianek, to nic mu nie będzie. Kiedy wszystko dzieje się szybko i dokładnie po jego myśli, potrafi wykonać robotę bez jakiegokolwiek tremy. Wie, że to niezdrowe. Każdy powinien się trochę denerwować. To wzmacnia koncentrację. Gdy pojawia się jakaś niespodzianka, nerwy idą z nią w parze. Nerwowość przychodzi nagle, falą, i ogarnia człowieka. Najważniejsze jest, jak ten sobie z nią radzi. Doświadczenie pomaga, ale to nie wszystko. Można nie mieć doświadczenia, ale mieć wewnętrzny spokój. Można mieć masę doświadczenia, jak Frank, a mimo to nerwy mogą człowieka sparaliżować. To się zdarza. Coś ludzi zaskakuje i nagle zamierają. Frankowi nigdy się to nie przydarzyło.

Na dworze jest już ciemno. Zaczyna się przygotowywać. Przebiera się w zwyczajne ciuchy. Czerń byłaby odrobinę zbyt stereotypowa. Kolor nie ma znaczenia, ale kiedy pracuje się nocą, zdrowy rozsądek podpowiada coś ciemnego. Najważniejsze, żeby ubranie nie miało znaków szczególnych. Nic, co da się dokładnie opisać. Czego bliźniaczą kopię policja mogłaby znaleźć i pokazać światu. Kompletnie zwyczajne, założone tylko raz i zaraz potem zniszczone. Twarz zakryje. Nie robi tego przy każdej robocie. Jeżeli i tak nie będzie świadków ani kamer, to po co? Czasem, żeby kogoś podejść, trzeba wykazać się wyjątkową ostrożnością. Wtedy zakrycie twarzy nie ma sensu, bo oznaczałoby wyróżnianie się z tłumu. Dzisiaj coraz częściej w użyciu są kominiarki. Ach, stare, dobre czasy sprzed wynalezienia monitoringu. Gdyby to było wtedy, nie zakładałby jej.

Wychodzi z domu dziesięć po dziesiątej. Pod blokiem będzie o jedenastej, ale trochę czasu zajmie mu obserwacja. Nie ma się co spieszyć. Niech wszyscy pójną spać. To wielce ułatwia sprawę. Nie pada, to dobrze. Zaparkował trochę dalej od bloku niż poprzednim razem. Wie mniej więcej, które okna obserwować. W mieszkaniu, które wedle jego obliczeń należy do Scotta, jest ciemno. Trzy piętra niżej palą się dwa światła, ale to nie martwi Franka. Podstawą jego spokoju są informacje zawarte w liście, który wrzucono dziś po południu do jego skrzynki. Mieszkanie naprzeciwko jest puste. Podobnie sąsiednie. Na całym piętrze jest tylko jeszcze jeden lokator, ale na drugim końcu korytarza. Bezpośrednio poniżej Scotta ktoś mieszka i to jest jedyne zmartwienie. Ten ktoś może usłyszeć strzał. Może też być pogrążony we śnie i nie usłyszeć. Albo może usłyszeć i nie zorientować się co to. Tak czy owak, to inne piętro, więc nie powinno być problemu. Frank zniknie, zanim

ktokolwiek, kto usłyszy strzał, zdąży wygrzebać się z łóżka.

Siedzi i obserwuje drzwi. Biodro zaczyna lekko pobolewać. W chwilach takich jak ta żałuje, że rzucił palenie. Kiedyś palił. Po trzydzieści dniennie. Do dnia, gdy Peter Jamieson powiedział mu, że tani tytoń, jakiego używa, paskudnie śmierdzi. To nie miało znaczenia. Ale potem Jamieson zauważył, że zawsze jest w stanie rozpoznać zapach, którym przesiąknięte są ubrania Franka. To miało znaczenie. Zabójca nie może mieć charakterystycznego zapachu. Tak jak nie może mieć charakterystycznego wyglądu, manieri czy głosu. Wiele dzieciaków z branży nosi dzisiaj tatuaże. Głupki, wszyscy co do jednego. Znaczą sobie ciała w wybitnie charakterystyczny sposób. Idiotyzm. Kwestia tytoniowego zapachu niepokoiła Franka, zwłaszcza że coraz mniej ludzi pali. Kiedyś wszyscy palili. Teraz już nie. Rzucił więc nałóg i przeszedł na mocne miętówki. Zapewne pomogło to jego płucom, ale niewiele poprawiło w kwestii zapachu. Cyngiel pachnący mentolem i eukaliptusem. Było to wciąż zbyt charakterystyczne, więc rzucił i miętówki.

Nic i wciąż nic. Ostatnie światła w budynku gasną. Jest dwadzieścia minut po północy, kiedy drzwi się otwierają i ktoś wychodzi. Młody człowiek. Trudno cokolwiek dostrzec z tej odległości. Z pewnością za niski na Scotta. Ale może to jego kumpel. Wygląda na małego niezdare, jakim bez wątplenia jest Ciemniak McClure. Idzie wzdłuż budynku i skręca za róg. Znika z widoku. Wraca do domu na noc. Frank uśmiecha się w duchu. Jedno zmartwienie mniej. Scott będzie sam, a to jest coś, z czym potrafi sobie poradzić. Jest na tyle szczery wobec samego siebie, by przyznać, że robota nie jest szczególnie chwalebna. Gdy jego nie było, Calum gładko załatwił Wintera. Potem poradził sobie z Davidsonem. To było chwalebne. Mogą gadać, że teraz się dekuje, ale podziwiają to, co zrobił. Postąpił dzielnie i mądrze, wszyscy to przyznają. Nie stracił zimnej krwi. To jest co innego. Prosta robota z przesłaniem. Przez cały ten czas, kiedy nie było Franka, w tyle głowy kołatała mu się pewna myśl. Ludzie zapominają o tobie. Zapominają, że ty też potrafisz wykonać zadanie. Cała uwaga skupia się na numerze jeden danego miesiąca. Trzeba coś zrobić, by ją odzyskać. Nawet coś prostego, takiego jak to.

Odczekał kolejne pół godziny w ciemności. Czeka na jakiś ruch. Zapalenie światła. Jeszcze trochę czasu. Jest pierwsza. Dość czekania. Wysiada z samochodu. Nieduże autko, jakim nigdy wcześniej nie jeździł. Żwawe, ale bezpłciowe. Po tej robocie od razu wróci do swojego. Tego użyje tylko ten jeden raz. Nikt nie będzie w stanie go z nim powiązać. Zakłada kominiarkę i idzie przez parking. Nikogo w zasięgu wzroku. Zimno, ale nie pada. Podchodzi szybkim krokiem do drzwi. Pilnuje, żeby nie kuleć ani trochę. To cecha charakterystyczna. Przesłępuje przez próg, pamiętając, że kamera nie działa. Przywołuje windę, wsiada. Ukłucie zdenerwowania w dole brzucha. Ktoś inny może wsiąść do windy. Może powinien był odczekać jeszcze godzinę. Ale teraz

za późno już na te rozważania. Uspokoić nerwy i się skupić. Stąd nie ma już odwrotu.

Winda zatrzymuje się na piętrze Scotta. Frank wysiada powoli, rozglądając się na lewo i prawo. W korytarzu całą noc pali się światło, ale nie ma żadnych oznak życia. Wszystkie drzwi są zamknięte. Panuje cisza. Kieruje się w lewo i skrada wzdłuż ściany. Sięga do kieszeni kurtki po pistolet. Niewielki kaliber, który wybrał u jednego z dostawców. Ma ich trzech, wykorzystywanych naprzemiennie, by żaden się nie zorientował, ile Frank wykonuje robót. Współpracuje z nimi od dawna. Ufają sobie. Ale i tak lepiej, żeby nie znali jego harmonogramu. Pistolet nie ma zbyt wielkiej mocy rażenia, widać to. Ale gwarantuje efekt z bliskiej odległości. To wystarczy. Frank rozgląda się, podchodząc do drzwi. Puka dwa razy. Na tyle głośno, by Scott się obudził, ale nie na tyle, by się przestraszył. Stoi trochę z boku. Tak żeby nie było go widać przez wizjer. Facet w kominiarce z pistoletem w ręce to nie ktoś, komu otwiera się drzwi. Czeka. Gotów zapukać raz jeszcze. Wtedy dzieje się coś dziwnego. Jakby tąpnięcie w oddali. Robi się białło. Czuje, że nogi uginają się pod nim. Czy to biodro? Nie, zdaje sobie sprawę, że to coś gorszego, i wali się prosto na drzwi mieszkania Tommy'ego Scotta.

Wszystko zamazane. Ciemne obwódki wokół pola widzenia, nieprzyjemne światło w środku. Zamyka oczy, tak jest łatwiej. Mija kilka sekund, zanim w tej bolesnej nieostrości przypomni sobie, gdzie jest. Oczy jednak trzyma zamknięte. Im szybciej je otworzy, tym prędzej będzie musiał stawić czoło sytuacji. Lepiej milczeć. Słuchać.

– Tommy, on się chyba poruszył. Poważnie ci mówię, widziałem.

Nosowy okrzyk. Tyle na temat leżenia i słuchania. Nie ruszaj się. Jeszcze nie umarłeś. Jeszcze możesz sobie z tym poradzić. Dopóki oddychasz, jeszcze twoje może być na wierzchu. Słyszysz, jak chodzą w tę i we w tę po przedpokoju. Nic nie robią. Chodzą tylko, zastanawiając się, co zrobić ze swoim trofeum. Zastawili udaną pułapkę na Franka MacLeoda. Nie wiedzą tylko co dalej.

Otwiera oczy, spogląda na nich. Szuka istotnych szczegółów. Tommy Scott ma pistolet. Trzyma go przy boku. Mina mało radosna. Wygląda, jakby się nad czymś usilnie zastanawiał. Mina dzieciaka, który siedzi w jego głowie. Korytarz jest słabo oświetlony. To chyba blask ulicznej latarni. Mały kumpel Scotta, Andy McClure zwany Ciemniakiem, stoi obok niego. Wygląda na podekscytowanego, pochłoniętego tym, co się dzieje. Adrenalina triumfuje nad inteligencją. Nie żeby było specjalnie o czym gadać. Od początku to Scott był mózgiem tej operacji. Ale nie Frankowi o tym sądzić. W końcu to on leży na podłodze pod drzwiami wejściowymi. W tym momencie to on tu jest najgłupszy. Obskurny korytarz, w którym leży, otwiera się na kuchnię. Po prawej i po lewej zamknięte drzwi. Drzwi wejściowe za plecami. Jedyna droga ewakuacji.

Nawet nie pamięta, co się właściwie stało. Pamięta, że pukał do drzwi. Zaraz po pierwszej w nocy. Z odbezpieczoną spluwą w ręce, stojąc nieco z boku. Gotów wejść do środka i strzelić. Szybka robota, wejść i wyjść, ciało zostawić. Proste. A teraz budzi się w środku, w mieszkaniu. Drzwi się nie otworzyły, tego jest pewien. Ktoś trafił go od tyłu. Musieli wyskoczyć z mieszkania naprzeciwko – dwa kroki i byli za jego plecami. Unieruchomili go, wciągnęli do środka. Nie słyszał ich, nie spodziewał się. A teraz Tommy Scott chodzi po przedpokoju tam i z powrotem z jego pistoletem w ręce. Co za katastrofa! Upokorzenie! Czterdzieści cztery lata w branży od dnia, gdy John Czytelnik Benson zapłacił mu grosze za pobicie nieuczciwego bukmachera na wyścigach. Od tego czasu bywał w trudnych sytuacjach. Ale nigdy w tak trudnej jak ta. Nawet nie może się ruszyć.

Tommy właśnie zauważył, że Frank odzyskał przytomność i może chcieć usiąść. Odwraca się w przedpokoju w jego stronę. Dwadzieścia sześć lat, chudy,

ciemnowłosa i zawsze wyglądający na zmęczonego. Kiedyś był ulicznym handlarzem. Sprzedawał szuwaks dzieciakom, objeżdżając osiedla na rowerze. Na rowerze, na miłość boską! Oczywiście, nikt nie brał Tommy'ego na poważnie. Co Słodas w nim zobaczył, pozostanie zagadką. A jednak coś zobaczył. Może desperację. Każdy chętny był mile widziany, bez względu na umiejętności. Jamieson krzyżował Słodasowi szyki na wszystkich pozostałych frontach. Słodas ściągnął Tommy'ego. Solidnie go zaopatrywał. Tommy rozwinął się i stworzył własną sieć dystrybucji. Frank go nie docenił. Teraz to widzi. Oceniał chłopaka po tym, co było, a nie po tym, co jest. Wciąż widział w nim umorusanego dzieciaka na rowerze. A teraz Tommy Scott stoi nad nim i celuje do niego z jego własnego pistoletu.

– Nie odzywaj się, słyszysz? Trzymaj gębę na kłódkę. – W jego głosie jest zdenerwowanie. I nic dziwnego. Tommy odchodzi, zastanawia się. Nie wie, co zrobić z Frankiem. Frank jest świadom, że gdyby to zależało od jego zblizowanego koleżki, to już by nie żył. Ale Tommy ma dość rozumu w głowie, by zdawać sobie sprawę, że rzecz wymaga głębszego namysłu. Nadarzyła mu się okazja i chce ją jak najlepiej wykorzystać. Szansa, by zaimponować Słodasowi i wspiąć się o jeden szczebel w hierarchii. Wykorzystuj okazję, dzieciaku, nieczęsto gołąbki będą ci same wpadać do gąbki. Tommy nie zdaje sobie z tego sprawy, ale drugi raz szansa taka jak ta może mu się już nigdy nie trafić. Frank potrząsa głową. Nie myśl o tym jak zawodowiec, myśl jak ofiara. Tym właśnie teraz jesteś. Stał się kimś w rodzaju tych, których zawsze likwidował. Jak się stąd wydostać? Nie ma odpowiedzi. Czterdzieści cztery lata w branży. Przez ostatnie trzydzieści zapewne najlepszy płatny zabójca w mieście. A jednak nie ma odpowiedzi.

Tommy jest pod presją jak jeszcze nigdy dotąd. Ciemniak stoi w korytarzu i mu się przygląda. Jeżeli zdoła się powstrzymać, to nic nie powie ani nie zrobi. Zna swoje miejsce. Stać na straży. Jeżeli gośćiu będzie próbował wstać, znokautować go. Jeżeli Tommy każe mu coś zrobić, zrobić to. To jego poziom. Są najlepszymi kumplami od dzieciństwa. Tommy zawsze był bystrzejszy, miał silniejszą osobowość. Zawsze miał oko na Ciemniaka, chronił go. Pilnował, żeby dzielił jego sukcesy. A teraz ciągnie go na szczyt, i to jest świetne. Ekscytujące. Czekanie na faceta. Czajenie się za niezamkniętymi na klucz drzwiami mieszkania naprzeciwko. Otwarcie ich powoli, gdy stary pierdziel zapukał. Jeden długi krok i zamach. Uderzenie w tył głowy gazurką. Po to się żyje, dla właśnie takich emocji.

Stary Frank MacLeod nie wygląda szczególnie imponująco. Niski, siwy, o twarzy pooranej zmarszczkami. Stary pierdziel, który według Tommy'ego chce ich zabić. Cyngiel Petera Jamiesona. Fajnie byłoby mieć spluwę na taką robotę. Ale Tommy sprytnie to wymyślił. Wiedział dokładnie, co stary robi. Przeczytał go jak książkę. Mieszkanie naprzeciwko stoi puste od wielu miesięcy. Używają go cały czas: jako



skrytki, jako śmietnika. Nikt się tam i tak nie wprowadzi – wilgoć, ściany czarne od grzyba. Stary pierdziel ułatwił im sprawę. Ciemniak wyszedł na zewnątrz i zaczął się oddalać, by Frank go zobaczył. Potem skręcił za róg i wrócił do mieszkania. Bardzo ekscytujące. Wyprowadzić w pole zawodowca. Tyle że teraz Tommy nie wie co dalej. To niepokojące, ale Ciemniak wierzy, że Tommy coś wymyśli.

Tommy przez cały dzień myślał o tej chwili. To jego szansa. Spogląda na Franka, obserwuje obserwującego go starszego mężczyznę. Trzyma w ręce jego pistolet. Sprawa wydaje się oczywista. Zlikwidować gościa, pozbyć się ciała. Tak z pewnością podpowiadałby zdrowy rozsądek. A co, jeżeli to nie wszystko? Jeżeli lepiej byłoby powiadomić Słodasa, że mają Franka? Może Słodas mógłby wyciągnąć od niego ważne informacje? Ale może wolałby, żeby Tommy sam to załatwił? Zadaje się pytania, otrzymuje się odpowiedzi. Zrób to, nie powiadamiając nikogo. Zdobądź informacje i zabij go. Potem idź do Słodasa z tym, czego się dowiesz. Wykaż inicjatywę. Oni to lubią. Słodas będzie pod wrażeniem. Poza tym spodoba mu się, że nie został wmieszany w sprawę, zanim niebezpieczeństwo minęło.

Frank obserwuje. Dzieciak nie wie, co zrobić. Załatwili go ładnie, to trzeba im przyznać. Tylko nie planowali aż tak daleko naprzód. Nie obmyślić akcji do końca to niewybaczalne. Nieprofesjonalne. Dzieciak może sobie główkować do woli; Frank wie, na czym polega jego problem. Teraz muszą go zabić, a Tommy Scott jeszcze nigdy nikogo nie zabił. Pomiędzy byciem dilerem a byciem zabójcą jest spora różnica. Podobnie jak między rąbnięciem go czymś ciężkim w potylicę a wsadzeniem mu tam kulki. To najpoważniejsza decyzja w tej branży. Jeżeli robi się to raz, ludzie będą chcieli, żebyś robił to dalej. Nie ma odwrotu. Tommy wie, że musi zabić Franka, ale nie ma dość charakteru, żeby to zrobić. W każdym razie jak dotąd.

– Pospiesz się, chłopcze, i zrób to – mówi do niego Frank. Sam jest zdziwiony; nie miał zamiaru go prowokować. – Stajesz się śmieszny.

Tommy odwraca się i piorunuje go wzrokiem. Frank miał dwa wyjścia. Mógł próbować być miły w nadziei, że uratuje skórę, ale to wydawało się bezcelowe. Być może odwlekłoby wyrok śmierci, ale nie odwołałoby go. Mógł też spróbować zmusić małolata do popełnienia błędu. To właśnie teraz robi.

– Ma rację, powinniśmy sukinsyna zastrzelić – mówi nagle Ciemniak. Wygłasza niechcianą opinię.

– Zamknij się – warczy Tommy. – Zrobimy to wtedy, kiedy ja powiem, nie on. Ty, dziadu, zamknij mordę. Nie będę tego powtarzał. – Podejmij decyzję. Musisz podjąć decyzję. Zadzwoń.

## 8

David Waters zwany Fizzym leży w łóżku i śpi jak każdy cywilizowany człowiek o tej porze. Coś jednak wpycha się Fizzy'emu w świadomość. Jakiś dźwięk. Słaby. Otwiera oczy, siada. Dzwoni komórka leżąca w dolnej szufladzie nocnej szafki. Są tam dwa telefony. Oba na kartę, oba tylko dla kontaktów z branży. Otwiera szufladę, sięga po telefon – stary model – z jasnym ekranem. Numer, którego nie rozpoznaje. Zwykle nie oznacza to dobrych wieści. Wstaje z łóżka, po cichu opuszcza sypialnię. Nie chce, jeżeli to możliwe, obudzić partnerki. W przedpokoju odbiera. Na drugim końcu linii może być każdy. W dzisiejszych czasach nigdy nic nie wiadomo. Od czasu gdy Słodas postanowił wdrzeć się na rynek narkotykowy, w życiu Fizzy'ego wciąż pojawiają się jakieś podejrzane typy.

– Słucham.

– Cześć, Fizzy, znaczy panie Waters. To ja, Tommy Scott.

No właśnie, podejrzane typy. Diler z ambicjami. Jeden z niewielu, którzy byli gotowi podjąć próbę zbudowania sieci dystrybucji dla Słodasa. Po tym, jak Lewis Winter zarobił kulkę w łeb, wszystkich generalnie obleciał strach. Ale nie Tommy'ego Scotta. On wykazywał entuzjazm. Ambicja chłopaka była silniejsza od lęku i zdrowego rozsądku. No i dobrze. Okazuje się, że się sprawdził. Wbrew oczekiwaniom nie popełnił żadnego błędu. Jak dotąd. Prowadzi siatkę dilerów i zarabia forszę. A teraz dzwoni do Fizzy'ego dziesięć po pierwszej w nocy, co może oznaczać, że Scottowi właśnie odbiło.

– Mam problem, ale to może być dobry problem. – Tommy jest trochę zdyszany. Mówi ściszym głosem. Fizzy przymyka oczy. Nie słyszał jeszcze o dobrym problemie.

Kiedyś były to samochody. Nic innego. Słodas ma w mieście sieć salonów, prowadzi solidny, legalny biznes. Zarabia tyle, by czuć się komfortowo. Ale najwyraźniej komfortowo już mu nie wystarcza. Zaczął kraść samochody. Dzisiaj istnieje cała szajka, jedyna znaczniejsza, która ostała się w mieście. Może nawet ostatnia w kraju. Zabezpieczenia są coraz lepsze, trzeba się sporo narobić, żeby zarobić. Ktoś kradnie auto, ktoś je przemalowuje i przebija numery, ktoś unieszkodliwia lokalizator GPS, ktoś dostarcza fałszywe papiery, ktoś wiezie auto na południe i ktoś inny je sprzedaje. To wiele osób do zapłacenia. Gdyby była choć jedna więcej, nie starczyłoby dla Słodasa. Samochody z najwyższej półki, gdzie zysk byłby większy, nie wchodzą w grę. Zbyt się wyróżniają. Można by je sprzedać za granicę, ale to bardzo specjalistyczny rynek, którego Słodasowi nie udało się jakoś rozgryźć.

Dlatego narkotyki stały się atrakcyjną opcją. Handluje już autami, czemu by czegoś w nich nie przewozić? Ale nie jest łatwo. Samo wejście na rynek, zdobycie zaufania, jest piekielnie trudne. W twoim życiu pojawiają się całe zastępy dziwnych postaci. Takich jak Tommy Scott.

– Na czym polega problem, Tommy? – pyta Fizzy szeptem.

– Frank MacLeod. Zna pan Franka MacLeoda? Cóż, chciał mnie załatwić, ale zasadziliśmy się na niego z Ciemniakiem i mamy go. Jest tutaj. W moim mieszkaniu. Leży na korytarzu.

– Martwy? – pyta Fizzy z nadzieją w głosie.

– Nie, nie martwy. Żywy. Walnęliśmy go w łeb. Pomyślałem, że może pan albo Słodas chcielibyście go zobaczyć. Pogadać z nim. Można by wyciągnąć od niego informacje.

I to ma być dobry problem? Co niby miałyby im powiedzieć Frank MacLeod? Jak mieliby ufać choćby jednemu jego słowu? To stary wyga i cokolwiek powie, będzie bezużyteczne. Facet taki jak on jest lojalny do końca. Fizzy ma już coś powiedzieć, ale nagle zdaje sobie z czegoś sprawę. Scott nie dzwoni do niego, bo sądzi, że mógłby chcieć pogadać z Frankiem. Dzwoni, bo chce, żeby ktoś inny przyszedł i go zabił.

Fizzy powinien być wściekły, ale nie jest. Nie wini chłopaka za to, że chce, by ktoś go wyręczył. Brudna robota dla brudnych dusz. Myśli o Glenie Davidsonie, o nocy, kiedy miał zabić Caluma MacLeana. Fizzy go tam zawiózł, czekał na zewnątrz. Davidson nigdy nie wrócił. W zamian pojawił się jeden z karków Jamiesona z furgonetką. Razem z MacLeanem wywieźli ciało Davidsona. Być może, chcąc się zachować jak profesjonalista, Scott powinien jednak wziąć odpowiedzialność za los Franka. Może powinien sam pociągnąć za spust, udowodnić, że potrafi. On go schwytał, niech on go zabije. Fizzy tego nie robi i nikogo nie będzie do tego zmuszał.

– Posłuchaj, dzieciaku, dobrze zrobiłeś. Jest w twoim mieszkaniu?

– Tak.

– Dobrze. Ktoś do ciebie podjedzie. Ale nie ja i nie Słodas. Ktoś, kto się nim zajmie. Kto się go pozbędzie. Ty czekaj. Pilnuj go.

Myśli teraz, że mógł bardziej chłopaka pochwalić. Ale za późno – rozłączył się. Pozbyć się Franka MacLeoda, oto zadanie. Cyngiel Jamiesona. Jeden z najbliższych mu ludzi. Jeżeli Frank był tam, żeby ich zabić, a oni go przechytrzyli, to udała im się nie lada sztuka. Coś, czego wielu próbowało, ale nikt nie dokonał. Musi im to potem powiedzieć. Pierwsi, którzy nie dali się Frankowi MacLeodowi. W każdym razie pierwsi, o których słyszał. Gdyby ktokolwiek przechytrzył Franka, już by nie żył.

Taka natura jego pracy. Byłoby dobrze móc załatwić tę sprawę bez zawiadamiania Słodasa. Dlatego właśnie Fizzy powinien wiedzieć więcej o biznesie. Zwłaszcza o tym, kto dla nich pracuje. Wie, że Słodas ma teraz na swoich usługach Shauna Huttona, ale jeszcze nie zlecił mu żadnej roboty. Fizzy lubi Huttona, wydaje mu się lepszą propozycją niż Davidson. Na pewno z czysto ludzkiego punktu widzenia. Nie ocenia się w ten sposób płatnego zabójcy, ale zawsze. Słodas zna numer Huttona, Fizzy nie. Dzisiaj Słodas ma przed nim o wiele więcej tajemnic niż kiedyś.

Telefon dzwoni. Chwilę potrwa, zanim Słodas odbierze. Najpierw obudzi się jego żona, potem obudzi jego. Potem będzie klął przez dłuższą chwilę. Dopiero wtedy odbierze. Są już na to za starzy. Po raz pierwszy dociera to do Fizzy'ego. Trzeba było to wszystko robić dziesięć lat temu. Mieli po dwadzieścia parę lat, mniej zobowiązań, a rynek był łatwiejszy. Mieli energię i zdolność podejmowania ryzyka. Zaczynanie po trzydziestce ma więcej wad niż zalet. Ma się więcej pieniędzy na start, ale mniej wszystkiego innego.

– Fizzy, Jezu, spoglądałeś ostatnio na zegarek? – mówi, jeszcze zaspany, niezadowolony, że musiał się obudzić. Słodas nie ma gniewnego usposobienia, nie chowa urazy, ale potrafi być drażliwy.

– Mamy problem.

– Jakiego rodzaju?

– Z małym plusem, ale wciąż to problem.

Fizzy wyjaśnia Słodasowi, co się stało. Mówi mu o Franku MacLeodzie leżącym na podłodze w mieszkaniu Tommy'ego Scotta, czekającym na kulkę. Ktoś musi mu ją wpakować. Słodas słucha w milczeniu.

– A Scott? – pyta wreszcie. – Ma przecież pistolet MacLeoda.

– Scott nie jest zabójcą – odpowiada Fizzy, ratując chłopakowi skórę. – Mamy niepowtarzalną okazję pozbyć się MacLeoda i osłabić Jamiesona. Likwidujemy jego najlepszego człowieka. Pomyśl, jak to będzie wyglądać. Jeżeli zostawimy to Scottowi i jego przygłupiemu kumplowi, Bóg wie, co się może zdarzyć. Potrzebujemy zawodowca. Kogoś, kto wykona robotę i bezpiecznie pozbędzie się ciała. Zróbmy to dobrze, a załatwimy gościa tak, że nikt się nie zorientuje.

Cisza. Słodas myśli. Fizzy słyszy jego szuranie. Wyszedł już z sypialni, jest w swoim gabinecie. Nie chce obudzić Elaine.

– W porządku. Masz rację. Zadzwoń.

Słodas rozłącza się; zadzwoni do Huttona. Straszne. Fizzy siedzi w salonie z telefonem w ręce i nie wie, co robić. Nic. Nic nie może zrobić. Jego rola dobiegła końca. Niezbyt była wielka. Hutton pojedzie tam i zrobi, co trzeba. Koniec

dzwonienia do siebie, żeby nie ułatwiać roboty glinom. Profesjonalizm w tym momencie oznacza nierobienie niczego. Kiedyś tak nie było. Kiedy zaczynali. Byli najlepszymi kumplami, prowadzili działalność gospodarczą, zarabiali trochę na boku handlowaniem kradzionymi wozami. Parę razy zostali przyłapani przez ich właścicieli. Musieli się bić. Jeden został dość poważnie ranny. To było nieprzyjemne. Ale nikt nigdy nie zginął. Nigdy nie przekroczyli tej granicy. A teraz to robią.

Telefony budzą tej nocy wiele osób; Shaun Hutton nie jest ostatni. Jak wielu w branży, ma kilka telefonów. Teraz szuka jednego ze służbowych. Ma ich trzy. Same tanie modele na kartę. Żadne smartfony. Hutton przyjmuje tylko niektóre roboty. To jeden z powodów, dla których nie cieszy się specjalnym szacunkiem w branży. Ludzie myślą, że pracuje jedynie wtedy, kiedy ma na to ochotę. Że nie jest godny zaufania, bo nie jest na każde wezwanie. Postrzegają go jako kogoś będącego częściowo w branży, a częściowo poza nią. To niebezpieczne wrażenie. Chcą, żeby zaangażował się w pełni. To by ich uspokoiło. Hutton pracuje tyle, że wystarcza mu na życie. Nie mniej i nie więcej. Ma ładny mały domek, w którym mieszka sam. Ładny mały samochodek. Ładną małą wersję wszystkiego, czego potrzebuje. I tak zostanie. Nie ma sensu gonić za kasą. Wreszcie znajduje telefon.

Dzwoni Słodas Francis. O tej porze oznacza to albo ostrzeżenie, albo robotę. Hutton ma nadzieję, że to drugie; ostrzeżenie oznacza zwykle pracę o konsekwencjach niemożliwych do przewidzenia i za niewielkie pieniądze.

– Halo, tu Shaun.

– Witaj, Shaun, tu Słodas, jak leci?

Wciąż tego nie pojmuje. Gadka szmatka, kiedy najpewniej gdzieś jest do ugaszenia jakiś pożar w burdelu. Zbyt uprzejme. Wciąż za bardzo w cywilnym stylu.

– W porządku. Co jest?

– Mam robotę dla ciebie. Natychmiast. Znasz Franka MacLeoda?

Głupie pytanie.

– Znam.

– Znasz Tommy’ego Scotta?

– Nie. A powinienem? – mówi, choć coś tam wie. Gra na czas, by móc pomyśleć. Wie, że Scott to diler pracujący dla Słodasa. Słyszał, że Scott nastąpił na odcisk paru osobom. Niewłaściwym osobom.

Słodas wyjaśnia, co zaszło. Hutton słucha, trawi informacje, w myślach analizując sprawę z różnych stron, próbując znaleźć właściwy punkt widzenia. Stary Frank MacLeod. Długo trwało, zanim ponieśli i wilka. Trochę szkoda, że dokonał tego taki gnojek jak Scott, ale tak właśnie jest. Dzieciaki przychodzą z ulicznych gangów i zamieniają się w zawodowców. Są twardzi, zanim jeszcze zaczną. Może Frank go nie docenił. Może się zestarzał. Robota dla młodych i tak dalej. Słodas wciąż papie. Podaje adres, który Hutton instynktownie zapamiętuje. Górne piętro wysokościowca



– no tak, idealnie. Trudno sobie wyobrazić gorszą sytuację. Do tego dwóch ludzi. Dwóch nieznanym, na których nie wiadomo, czy można polegać. Coraz lepiej. Do tego Słodas nazywa jednego z nich Ciemniakiem, bo takie tamten najwyraźniej ma przydomko. Chłopak będzie musiał znaleźć sobie nową ksywkę. Ta w ogóle nie jest inspirująca.

– I co myślisz? – pyta Słodas.

Nie powinien pytać. Sam powinien mówić. To on jest szefem. On wydaje rozkazy; cyngiel je wykonuje. Wciąż się jeszcze nie nauczył, co to znaczy być przywódcą.

– Myślę, że najtrudniejsze będzie zabranie stamtąd ciała. To może być koszmar. I że będą konsekwencje. Które spadną głównie na Tommy'ego Scotta.

– Poradzi sobie – mówi Słodas.

– Aha – odpowiada Hutton, nieprzekonany. Scott będzie musiał na dłuższy czas zniknąć z widoku. Są niedoświadczeni, on i jego kumpel. Istnieje duża szansa, że któryś z nich popełni błąd i zapłaci za to. – Będę musiał iść po samochód; nie używam własnego. Jeżeli mają pistolet Franka, to będę mógł z niego skorzystać. Będę też potrzebował paru rzeczy, żeby pozbyć się ciała. To zajmie mi – Hutton urywa, udając, że patrzy na zegarek – do godziny. Co daje dwadzieścia po drugiej. Czy twój człowiek przypilnuje go do tego czasu?

– Tak. Spotkajmy się jutro, kiedy będzie po wszystkim.

– Nie, lepiej odczekajmy dłużej. Jeżeli nic nieprzewidzianego się nie zdarzy, odezwę się za tydzień.

Minęły trzy minuty, od kiedy odłożył słuchawkę, a wciąż się zastanawia, co zrobić. W tej branży trzeba wybierać, z kim się trzyma. Nie trzeba lubić polityki, ale wykonanie roboty dla jednego oznacza zależenie za skórę innemu. Zlecenia wybiera się bardziej pod kątem tego, komu można bezpiecznie zależeć za skórę, niż tego, dla kogo chce się pracować. Nie ma problemu, kiedy jest się członkiem organizacji; wtedy sprawa jest z góry przesądzona. Pracujesz dla organizacji i robisz to, co chce szef. Ale jeżeli jesteś wolnym strzelcem, to musisz postępować ostrożnie. Musisz się upewnić, że w przyszłości będziesz miał dla kogo pracować. Hutton odkłada telefon i idzie do szafki w sypialni. Tam ma kolejny. Nie włączał go od paru miesięcy. Bateria pewnie padła. Ekran się świeci – trochę baterii jeszcze zostało. Jedna kreska. Wystarczy. To krótka rozmowa. Wystukuje numer, który od dawna zna na pamięć. Nie ma poczucia winy. To biznes. Trzeba wybierać. Trzeba zarabiać na życie.

– Halo? – odezwał się w ogóle niezaspany głos. To dlatego, że John Young jest nocnym markiem. Nie spał, kiedy telefon zadzwonił.

– John, tu Shaun Hutton.

– Shaun, o co chodzi? – W jego głosie pobrzmiwa niepokój. Young wie, że Hutton nie zadzwoniłby, gdyby się coś nie wydarzyło. Zna zasady panujące w branży. Z Huttonem znają się od sześciu lat. W tym czasie kilka razy dawał mu zlecenia, ale nic poważnego. Podrzucił mu parę robót, żeby podtrzymać kontakt. Pchnął mu też trochę kasy, żeby kupić jego lojalność. Potem Słodas zaczął zabiegać, by Hutton został jego nowym cynglem. Dla Younga to był dar niebios. Sześć lat inwestowania przyniosło efekt. A teraz ten telefon w środku nocy. Hutton zastanawia się, czy Young powiązał już sprawę z Frankiem MacLeodem. Musi wiedzieć, że Frank jest na robocie będącej częścią wojny ze Słodasem. Będzie wiedział, czego oczekiwać.

– Posłuchaj, John, macie problem. Frank MacLeod pojechał załatwić Tommy’ego Scotta, ale dzieciak wystrychnął go na dudka. Dowiedziałem się, że Frank leży po nokaucie u niego w mieszkaniu. Chcą, żebym tam pojechał, stuknął go i pozbył się ciała. Powiedziałem im, że muszę wziąć samochód i rzeczy, co zajmie mi godzinę. Masz godzinę, by kogoś posłać i wyciągnąć Franka stamtąd. Jeżeli wciąż tam będzie, gdy dotrę na miejsce, będę musiał go sprzątnąć. Nie mogę się wycofać. Masz godzinę.

Wyłącza telefon i chowa go z powrotem do szafki. Young zawsze był wobec niego w porządku, dawał mu zarobić. Pożądany przyszły pracodawca. Hutton winien mu jest ostrzeżenie, ale nic więcej. Wycofanie się oznaczałoby śmiertelne ryzyko dla niego samego. Tego nie robi. Najważniejsze to przeżyć. Young był wobec niego na tyle w porządku, że zarobił godzinę. Dostajesz robotę i idziesz ją wykonać. Jeżeli ktoś cię ubiegnie, cóż począć.

Jak można sobie wyobrazić, Youngowi przez głowę przelatują rozmaite myśli. Pierwsza jest zawsze instynktowna podejrzliwość. Czy to podstęp? Czy Hutton próbuje zwabić jeszcze kogoś od Jamiesona do mieszkania Scotta, żeby podwoić swoje honorarium? To miałyby sens. Ambitny cyngiel może się pokusić o coś takiego. Upiec dla Słodasa dwie pieczenie przy jednym ogniu. Ale nie sposób tego stwierdzić. Chyba to jednak nie podstęp. Mało który rewolwerowiec by tak zaryzykował. W każdym razie z tych lepszych.

Jest teraz wkurzony na Franka. Jak można dać się podejść gołowąsowi takiemu jak Tommy Scott? I to taki doświadczony człowiek! Jego pierwsza robota po powrocie z operacji biodra. Może przesadził. Może niewłaściwie rozłożył siły, sądząc, że jest gotowy. Young jest wściekły, ale Peter Jamieson nie spisze Franka na straty. Zawsze uważał go za kogoś w rodzaju życzliwego wujka. Troszczył się o niego. Wysłał go do willi w Hiszpanii, żeby wydobrzeł po operacji. Stary weteran, bardziej utalentowany niż cała reszta, który pomógł Peterowi stworzyć organizację. Frank dawał im wiarygodność, kiedy Jamieson był tylko pretendentem, a Young – jego prawą ręką niesprawdzoną w boju. Ludzie wiedzą, że Peter i Frank są blisko. Nie mogą stracić Franka. To by poważnie zaszkodziło ich opinii.

Musi zadzwonić do Jamiesona. Ma godzinę. Jeżeli mają to zrobić, to każda chwila jest na wagę złota. Czy godzina wystarczy? Nie w normalnych okolicznościach. To może być proszenie się o dodatkowe kłopoty – wysyłanie drugiego zabójcy, by spróbował uratować życie pierwszemu.

– Peter, nie śpisz? – Dzwoni do Jamiesona pod jego zwykły numer, szukając jednocześnie kluczyków od samochodu.

– No nie – brzmi niepewna odpowiedź.

– Posłuchaj, mamy problem. Słuchasz? Chodzi o Franka. Ten mały gnojek Scott go wykiwał. Frank leży u niego na podłodze w mieszkaniu. Scott i jego kumpel zadzwonili po Shauna Huttona, żeby dokończył robotę. Mamy godzinę, zanim Shaun tam dotrze. Co robimy?

Czasami widzi się człowieka takiego jak Jamieson, jak bawi się w obstawianie na wyścigach albo gra godzinami w bilard, i wątpi się w jego zdolności przywódcze. Taki ktoś może sprawiać wrażenie, że jest zbyt wyluzowany, że nie traktuje roboty poważnie. Że nie jest prawdziwym liderem. A potem przychodzi chwila taka jak ta.

Jamieson odpowiada bez najmniejszego wahania:

– Zadzwonię po Caluma MacLeana. Ty jedź do klubu, weź pistolet dla niego; nie

będzie miał nic przy sobie. Zawiadomię też Kenny'ego. Podrzuci Caluma na miejsce; Calum i Frank wrócą autem Franka. Ja też ruszam do klubu; tam się spotkamy. Pospieszmy się.

Rozłącza się. Ani chwili niepewności. W pewnym sensie nie ma nawet znaczenia, czy decyzja jest słuszna, czy nie; nie zwlekając, Jamieson daje im szansę. Ale ryzyko jest cholerne. Calum wystawi się na śmiertelne niebezpieczeństwo, by uratować Franka. Mogą zginąć obaj. Calum jest dobry. Lepiej radzi sobie z nieprzewidywalnym niż ktokolwiek inny – dowiódł tego incydent z Davidsonem. Young nie wątpi w umiejętności Caluma, jedynie w sens wysyłania go. Całe to ryzyko dla Franka, i po co? Jak będą mogli na nim polegać po czymś takim?

Wychodzi i wsiada do samochodu. Noc zrobiła się zimna. Szyby zaszronione. Odjeżdża, ogrzewanie ma włączone na cały regulator. Musi się spieszyć, choć nie na tyle, by sfotografował go radar. Samo jeżdżenie po mieście o tej porze może zwrócić czyjąś uwagę. Wszystko tu jest nie tak. Wszystko. Spogląda na zegar na desce rozdzielczej: za dwie wpół do drugiej. Zostało im może pięćdziesiąt pięć minut, żeby zdążyć przed Huttonem. To znaczy, jeżeli Hutton rzeczywiście da im pełną godzinę, czego nie da się zagwarantować. Young nie zamierza kajać się za Huttona. Gdyby trzymał go bliżej siebie, dawał mu więcej roboty i więcej pieniędzy, być może Shaun byłby gotowy odmówić Słodasowi. Wtedy mogliby wszystko załatwić po swojemu. Na spokojnie. To wciąż możliwe. Wolny strzelec nie chce mieć opinii kogoś, kto wbija własnym mocodawcom nóż w plecy. Ale może Hutton nie chce być wolnym strzelcem. Może chce się związać z organizacją o ugruntowanej pozycji. Jako wsparcie dla rewolwerowca o ustalonej renomie. Gdyby Young zaoferował mu to przez telefon... Nie, nie ma sensu gdybać. Wątpliwości hamują postęp. Nie da się przewidzieć czegoś takiego. Nie da się być blisko z każdym. Nie ma na to miejsca. Gdyby Słodas zaangażował kogoś innego jako swojego człowieka od mokrej roboty, nie mieliby nawet tej godziny.

Jedzie po pistolet. Jest parę miejsc, do których można się udać, jeżeli zna się odpowiednich ludzi. Rewolwerowcy korzystają zwykle z usług handlarzy, których znają i którym ufają. Young nie ma takich koneksji. Nigdy w życiu nie strzelał z pistoletu, ale wie, gdzie parę jest schowanych. Wie, bo sam je tam schował. Jest jedynym, który ma tę wiedzę. Tyle da się zaplanować. Jedzie do budynku, którego właścicielem od kilku lat jest Jamieson. Na parterze mieści się podrzędne biuro podróży, a na górze są dwa mieszkania. Budynek wydzierżawili, ale Young wciąż ma klucze. Jakiś rok temu Jamieson zlecił jednemu ze swoich ludzi zakup czterech spluw, które pojawiły się na rynku. Były czyste. Young schował trzy na zaś. W środku nocy ukrył jedną za deskami w magazynku, który kiedyś był piwnicą na węgiel, pod biurem podróży.

Tego aspektu roboty nie lubi. Skradanie się po nocy. Nie ma do tego drygu. Są ludzie, którzy z tego żyją, włamywacze. Ale niewielu już zostało prawdziwych zawodowców. Większość to ćpuny. Young musi wejść do budynku, wydobyć pistolet i wycofać się niepostrzeżenie. Sądzi, że ma do tego prawo, ale któryś z lokatorów i tak może wpaść w panikę i zadzwonić po gliny. Wtedy musiałby się tłumaczyć, co tam robił w środku nocy. Rozmowa z gliną, kiedy dzierży się spluwę w garści, to ciężka sprawa. Dwie pozostałe schowane są w miejscach bardziej dostępnych, ale odleglejszych, a czas liczy się teraz bardziej niż wygoda.

Jest przy tylnych drzwiach, wbija kod do domofonu. Ten pewnie i tak nie działa. Parka prowadząca biuro podróży to oszuści, i to nie najlepsi. Na pewno nie płacą za ochronę. Korytarzykiem i na dół po betonowych schodach do magazynku. Ciemno choć oko wykol. Maca ręką, robi krok naprzód. Znalazł deskę. Jest sztywniejsza, niż sądził. Ciągnie; deska szoruje po murze. Hałas. Paskudny hałas. Wsadza dłoń. Plastikowa torebka z czymś ciężkim w środku. Po to tu przyszedł.

Teraz przyspiesza. Cicho zamyka za sobą drzwi, przechodzi przez ulicę i wsiada do samochodu. Otwiera torebkę i odwija płótno, spoglądając na pistolet i niewielkie tekturowe pudełko z nabojami. Dokładnie tak, jak je zostawił. Czuje ukłucie niepokoju. A jeżeli odmówi posłuszeństwa? Jeżeli nie wystrzeli i Calum zginie z tego powodu? Nie myśl o tym. Po prostu jedź do klubu. Pistolet wygląda w porządku. Każdy płatny morderca, udając się na robotę, bierze na siebie ryzyko związane z bronią. To leży w naturze ich zawodu. Ryzyko, które muszą podjąć. Twój błąd, ich konsekwencje. Zapuszcza silnik, odjeżdża. Jeszcze rzuca okiem na okna nad biurem podróży, by się upewnić, że nie zapaliło się w nich żadne światło. Ale nie.

Zajeżdżając przed klub, spogląda na zegarek. Cztery po wpół do drugiej. Minęła już jedna czwarta czasu, który mają. Wszystko może pójść na marne. Calum może się pojawić, kiedy będzie już za późno na ratowanie kogokolwiek. Albo wpaść prosto na Huttona. To byłoby jeszcze gorsze. Ale Calum jest inteligentny, nie wda się w strzelaninę bez potrzeby. Hutton też nie. On również zna się na robocie. Young wysiada z auta, idzie szybkim krokiem do tylnego wejścia do klubu, torebkę trzymając z boku. Nikogo nie widać. Nagranie z monitoringu podmienią na to z jakiejś innej nocy. Trzeba myśleć o wszystkim.

Ani Jamiesona, ani Caluma jeszcze nie ma. Young otwiera kluczem tylne drzwi i wchodzi do środka. Znowu mrok. Poruszanie się w ciemności – coś, w czym cyngle mają być dobrzy. Young pracuje zwykle przy świetle. Ostrożnie posuwa się w głąb korytarza, który powinien być pusty, ale nigdy nic nie wiadomo. Ekipa sprzątająca wyszła niecałą godzinę wcześniej. Wilgotne podłogi i zapach detergentu. Dociera do schodów i szybko się po nich wspina. Dziwne schody, każdy stopień niższy niż można by się spodziewać. Wielu się na nich wywraca, ale Young zna je wystarczająco

dobrze. Przez salę bilardową, korytarzem, do biura Jamiesona. Zaciąga zasłony i włącza lampkę przy biurku. Daje niewiele światła, ale wystarczy. Kładzie torebkę na blacie i wyciąga płótno. Długi, wąski kawałek, nie będzie z nim ryzykował. Spali je razem z torebką. Samego pistoletu nie dotykał i nie dotknie. Mając na uwadze to, do czego ma zostać wykorzystany, nie zostawi na nim odcisków palców.

Siada na kanapie w swojej typowej pozycji. Od kiedy tu dotarł, minęły kolejne dwie minuty. To zaczyna wyglądać beznadziejnie. Co robi teraz Frank? Może już nie żyje? Jeżeli próbował coś zrobić, próbował uciec, to pewnie go zastrzelili. Nie jest wykluczone, że Frank potrafiłby poradzić sobie sam. Jeżeli Scott jest uzbrojony, a mimo to potrzebują Huttona, żeby wykonał robotę, to znaczy, że Scott nie ma odwagi pociągnąć za spust. To może oznaczać szansę dla Franka. Ale niewielką. Prawdopodobnie Frank nadal żyje, ale nie zostało mu wiele czasu. Powinni go tam zostawić na śmierć. Young nie czuje się komfortowo w klubie o tej godzinie. Chodzi o ciszę. Czuje się odsłonięty. Za ludźmi można się schować. Za ich zgiełkiem. Teraz jedyną osłoną jest ciemność, a on siedzi w świetle. Trzaśnięcie drzwi samochodu. Ktoś przyjechał. W normalnych okolicznościach by tego nie usłyszał. Teraz jest tak bardzo odsłonięty.



Gdy tylko Young mówi mu, że mają problem, Jamieson jest w pełni rozbudzony. Wie, że Young nie przesadza. To jedna z jego zalet. Większość spraw potrafi załatwić sam. Pod tym względem to idealna prawa ręka. Szefa niepokoi tylko wtedy, gdy sprawa jest grubszego kalibru. Tak jak teraz. Frank. Jeden z niewielu, których szanuje. Którym naprawdę ufa. Poczul wielką ulgę, gdy Frank stwierdził, że jest gotów wrócić do pracy. Przyjemnie było dać mu robotę. Powitać z powrotem w szeregach. Nie straci Franka. Szefa ocenia się po tym, jak chroni swoich ludzi. Ludzi, na których mu zależy. Dla Franka zrobi wszystko, co konieczne. Nie tylko dlatego, żeby zaimponować innym. Również po to, żeby zaimponować sobie. Udowodnić samemu sobie, że prowadzi organizację, która potrafi ratować własnych ludzi. Bez względu na to, na czym polega problem, jesteśmy dość silni, by sobie z nim poradzić. Wymierzmy kolejny cios cholernemu Słodasowi Francisowi.

Te problemy ze Słodasem trwają już zdecydowanie zbyt długo. Ludzie gadają. Słyszysz plotki, o których nikt nie chce mu powiedzieć. Myślą, że jest słaby. Że Słodas może być górą. On sam tak nie uważa. Jamieson wie to, i Słodas pewnie też. Słodas chwycił kęs większy, niż jest w stanie przełknąć. Ledwie się trzyma. Cholernie niewdzięczny cel. Szkodnik trudny do zlikwidowania właśnie dlatego, że jest mały. Większość forsy ma z legalnych źródeł. Zatrudnia głównie ludzi spoza branży. Wzięcie ich na cel oznaczałoby zwiększone zainteresowanie policji, a tego chce uniknąć. Musi uderzyć w jego nielegalne interesy. Musi tego dopilnować. Tommy Scott. Twarz publiczna. Dla przykładu. To wciąż możliwe.

Jamieson schodzi na dół, trzyma telefon w ręce. Żona mogła się obudzić, ale nie da tego po sobie poznać. Nic nie powie. Nawet go rano nie zapyta. Zbyt długo żyje tym życiem, by nie wiedzieć, ile jest warte milczenie. I z dala z tym od dziecięcych sypialni. One nie znają wartości ciszy. Są na tyle duże, że rozumieją, czym zajmuje się ich ojciec, ale nie muszą słyszeć rzeczy, których nie powinny. Rzeczy, które mogłyby powtórzyć. Trudna dola ojca. Wchodzi do salonu, zamyka drzwi, siada na kanapie. Jako pierwszy odszukuje numer Kenny'ego McBride'a. Kenny od kilku lat jest jego kierowcą. Dobry chłopak. Odrobinę nerwowy przy grubszych rybach, odrobinę pyskawy przy chudszych. Wciąż musi się jeszcze niemało nauczyć. Ale można na nim polegać, oto klucz.

– Kenny – mówi cicho. – Przyjedź po mnie teraz do domu, zawieziesz mnie gdzieś.

Mija chwila, gdy Kenny trawi rozkaz. Obudzony jako ostatni. Nawet w szczytowej formie jego umysł pracuje w delikatnym tempie.

– Tak, już jadę.

I już. Cała rozmowa. Jamieson wydaje rozkaz, a Kenny przyjmuje go bez szemrania. Jamieson nigdy nie musi się tłumaczyć. Kenny nigdy nie potrzebuje znać szczegółów. Inni mogliby zadawać więcej pytań. Ludzie jak Frank albo Calum. To dlatego, że to, co robią, ma znaczenie. Dlatego, że stać ich na to, by zapytać. Zapracowali sobie na ten przywilej. Ale kierowca to blotka. Jest ich na pęczki. Tych dobrych nie ma aż tak wielu, ale Kenny rzadko musi się sprawdzać. Praca szofera i kuriera nie jest szczególnie wymagająca. Ale tej nocy Kenny być może będzie musiał się sprawdzić. To też powód do troski.

Gdy tylko Young powiedział mu, co się stało, Jamieson wiedział dokładnie, co trzeba zrobić. Umiał to sobie wyobrazić. Od początku do końca. Dostarczają Calumowi broń, żeby nie musiał sam za tym chodzić. Kenny zawozi go pod blok. Zostawia tam. Calum jest zdany na siebie. Wchodzi do mieszkania i robi to, w czym jest tak dobry, ze Scottem i jego kumplem. Ewakuuje Franka i odjeżdżają autem tego ostatniego. Jamieson bezwiednie klepie dłonią o kanapę. Ta robota to niezły koszmar. Zaciska powieki. Uzasadnij to samemu sobie. No już. Znajdź uzasadnienie. Cokolwiek. Odwróć role. Czy wysłałbyś Franka, żeby uratował Caluma? Czy ryzykowałbyś życie przyjaciela, żeby ratował pracownika? Nie, ty cholerny hipokryto, nie ryzykowałbyś. Ale dla przyjaciela zaryzykujesz pracownika. Nawet jeżeli pracownik jest wartościowszy.

Podnosi się, stoi w ciemnościach. Co by było, gdyby stracił Franka? Nie, to wciąż nie uzasadnia wysłania Caluma. Frank ma swoje lata. Koniec zbliża się od dłuższego czasu. Ale nie zasługuje na to, by ginąć w ten sposób. Ale to też nie jest usprawiedliwienie. Większość ludzi zasługuje na lepszą śmierć, a dostaje gorszą. W każdym razie w tej branży. Bardzo niewielu samodzielnie wybiera, którymi drzwiami wyjdzie. Myśl o tym, że Frank leży w jakimś zasranym mieszkaniu, a te dwa skurwiele stoją nad nim. Dwa małe gnojki, nabijające się z niego, myślące, że go wykiwali. Myśl o Huttonie zabijającym Franka. Wynoszącym ciało z budynku i pozbywającym się go gdzieś. Gdyby to był Calum, Jamieson by nie interweniował. Ryzyko zawodowca. Jeżeli spieprzy sprawę, nie oczekuje, że ktoś przyjdzie i mu pomoże. Nie oczekuje, że ludzie będą dla niego nadstawiać karku. Na pewno nie powinni.

Znów siada. Kolejna minuta stracona. Jeszcze jest czas się wycofać. Niech Franka spotka pisany mu widać los. Cena za spartolenie roboty. To się odnosi do każdego, dlaczego jego przypadek miałby być inny? To beznadziejna misja. Calum musiałby wejść do budynku, a potem dostać się do mieszkania. Wysoko. Scott mieszka prawie na samej górze; Jamieson zapamiętał tę informację. Wejść do środka. Jak to się robi? To będzie jego główne zmartwienie. Wejść do środka. Zabić ich. Obu. Jeden będzie

miał pistolet Franka. Tego najpierw. Potem drugiego. On jest świadkiem. Stanowi zagrożenie. Musi zginąć. Czyli podwójna robota.

To rzadkie. Zwraca uwagę glin. Intryguje ich. To proszenie się o kłopoty. Potem Calum musi pomóc Frankowi wydostać się z budynku. A jeżeli Frank jest ranny? Jeżeli biodro znowu odmówi mu posłuszeństwa? Frank może być zbędnym balastem. Jak Calum ma niepostrzeżenie wyprowadzić go z budynku? Gówniana robota, jeżeli ma się wysłać na nią swojego człowieka.

Mimo to wyśle Caluma. Już to wie. Od początku wiedział. Teraz siedzi na kanapie i traci czas. To też wie. Wie, że utrudnia Calumowi robotę swoim jałowym dzieleniem włosa na czworo. Czasu jest i tak mało. A on marnotrawi cenne minuty. Po prostu zadzwoń do Caluma. Nic mu jeszcze nie mów. Ściągnij go do klubu. Gdy już tam dotrze i dostanie broń, będzie za późno na wymówki. Jest zawodowcem. Wykona robotę. Jest jednym z niewielu zdolnych zrobić to dobrze. Jamieson potrząsa głową. Calum postara się wykonać robotę. Postara się wykonać ją dobrze. Kolejny cholerny inwalida. Frank z biodrem, ten z pociętymi dłońmi. Zaatakowany nożem przez Glena Davidsona, obecnie już trupa. Calum dobrze sobie z nim poradził. Ale od tamtego czasu nic nie robił, a minęło parę miesięcy. Calum nie chce pracować na pełny etat – to było jasne od początku. Jamieson podejrzewa od paru tygodni, że Calum się obja. Czas to zmienić.

Calum odbiera po pierwszym sygnale. Ostatni obudzony w tę nieprzespaną noc. Zawsze miał lekki sen. Nie dlatego, że czeka na telefon – nigdy nie pracował na tyle często, by dzwoniło do niego regularnie. Taką po prostu ma naturę. Ostrożny, niespokojny, starający się kontrolować swoje życie. Teraz śpi jeszcze lżej niż kiedykolwiek. Od jakiegoś czasu czeka na telefon taki jak ten. Wie, że w końcu nadejdzie. Boi się go. Ma być zawodowcem. Ma sam wyznaczać sobie standardy. Rezygnować z pewnych rzeczy. A Calum zachował się nieprofesjonalnie. Błąd ten leży obok niego. Śpi. Calum wyciąga rękę i chwyta telefon leżący na nocnym stoliku. Na pierwszy rzut oka widzi, że to nie numer Younga. Young dzwoni, kiedy chodzi o robotę. To lokalny numer, którego nie rozpoznaje. To może być dobrze albo niedobrze.

Jest już na nogach, gdy telefon dzwoni po raz trzeci. Odbiera, ale nie mówi nic, dopóki nie wyjdzie z pokoju.

– Halo – odzywa się w końcu. Próbuje nie szeptać. W mieszkaniu nie powinno być nikogo, przed kim miałby się kryć. Dobry cyngiel jest w stanie rozmawiać bez względu na to, kiedy zadzwoni telefon. Calum czuje się niezręcznie, próbuje zatuszować swój błąd. Idzie korytarzem i wchodzi do kuchni.

– Calum, tu Peter. Chcę, żebyś przyjechał do klubu. Zaraz. Dosłownie już.

Milczenie. Jamieson nie oczekuje, że Calum cokolwiek powie. Po prostu mówi mu, że ma przyjechać. Peter Jamieson jest szefem; to jego organizacja. Robi się, co mówi, albo ponosi konsekwencje. Mówi, że masz przyjechać, to przyjeżdżasz. Nie masz prawa odmowy.

– Jadę.

– Dobrze – mówi Jamieson odrobinę przygnębionym głosem i się rozłącza.

Calum ma powody, by niepokoić się o tę robotę. Żadna inna myśl nie powinna go rozpraszać w tym momencie. Nagła akcja w środku nocy. Prawie o tym nie myśli. Nie wydało mu się dziwne, że to Jamieson dzwonił. W normalnych okolicznościach od razu by o tym pomyślał. Dlaczego Jamieson, a nie Young? Zawsze dzwoni Young. To część jego pracy. Najwyraźniej są powody do obaw. Gdyby myślał logicznie, mógłby uznać, że sam Young ma kłopoty. Poza tym nienawidzi nagłych akcji. Zawsze jest się w niedoczasie. Łatwo o błąd, a czasem nie da się go nie popełnić. Calum lubi mieć wszystko zaplanowane. Jest drobiazgowy i cierpliwy. Powolny, powiedzieliby niektórzy. Niech mówią. Jakość jego pracy jest efektem tej właśnie cierpliwości. Ale teraz nawet o tym nie myśli. Myśli o niej.

Na imię jej Emma. Emma Munro. W pewnym sensie jest błędem popełnionym przez Jamiesona. Nie śpi już. Włączyła lampkę i siedzi na łóżku. On stoi w drzwiach sypialni. Ona jest raczej drobna, lecz ładnie się z tym nosi. Krótkie czarne włosy, okrągła twarz, kolczyk w nosie, który się podoba Calumowi, a na nadgarstku tatuaż, którego nie znosi. Nie powiedział jej jeszcze, że tatuaże wydają mu się pospolite. Nie nadeszła jeszcze ta chwila. By się pokłócić. To nietypowe dla Caluma. Cała historia jest nietypowa. Emma jest jego pierwszą dziewczyną na stałe od blisko dziesięciu lat. Zawsze trzymał kobiety na dystans. Nieczęsto za nim gonią; w najlepszym razie jest gościem o wyglądzie poniżej przeciętnego. Za każdym razem, gdy któraś próbowała się do niego zbliżyć, znajdował sposób, by ją odepchnąć. Na przykład przez powiedzenie, że jej tatuaże są wulgarne i nieatrakcyjne. Wszczęcie drobnej kłótni, która wymyka się spod kontroli. I dziewczyna odchodzi z powodu jego nierozsądnego zachowania. Trzeba to jednak zrobić na wczesnym etapie związku, zanim zaczną wybaczać. Powinien zrobić to teraz. Zrób to. Wywołaj kłótnię.

Mieszkanko jest przytulne, ciepłe; ona odkrywa kołdrę. Ma na sobie za małą koszulkę i majtki. Ziewa. Już drugi raz w tym tygodniu została u niego na noc. Podoba mu się to – nie ukrywajmy. Bardzo mu się podoba. Wydaje mu się takie normalne. Tak według niego powinien wyglądać każdy związek. Ale normalność nie jest mu pisana. Nie przy jego zawodzie. Dziewczyna stanowi obciążenie. Nie da się pracować tak, by nie zdała sobie sprawy, co knuje. A w każdym razie, że w ogóle coś knuje. Na to nie może sobie pozwolić. Żaden dobry cyngiel nie może wziąć na siebie takiego ryzyka. To dlatego większość z tych dobrych żyje samotnie. To dlatego nie spieszy im się zrywać z kawalerstwem. Głupotą było dopuścić ją tak blisko. Słabością jest jej nie odepchnąć. Oddałby jej przysługę. Nie powinien wplątywać jej w swoje życie. Jest tutaj wyłącznie przez Jamiesona. Cóż, częściowo też przez George'a.

George Daly to dobry chłop, dobry przyjaciel. To niepodobne do niego pojawiać się ni stąd, ni zowąd i próbować odgrywać najlepszego kumpla. Calum starannie zaprojektował sobie życie bez niespodziewanych gości. Życie solidne, rzetelne. A tu raptem zjawia się George. Calum właśnie przeprowadził się z bezpiecznego domu do nowego mieszkania. Jamieson mu to załatwił; ładne małe mieszkanko w porządnej dzielnicy. Nic ostentacyjnego, żeby się nie wyróżniać. Jamieson robił wszystko, by przekonać Caluma do siebie. Metoda żelaznej pięści w jedwabnej rękawiczce. Robienie różnego rodzaju miłych rzeczy, by chciało się dla niego pracować, a jednocześnie przebąkiwanie raz na jakiś czas, że nie ma się wyboru. Sprawianie, by Calum poczuł, że jest częścią organizacji. Jamieson lubi Franka MacLeoda, ale wie, że ten nie będzie żył wiecznie. Dlatego potrzebuje jego następcy, wsparcia. To rola Caluma. Ale Jamieson najwyraźniej uświadomił sobie, że Calum jej nie chce, więc wywiera presję. Wysłał George'a, żeby zakumplował się z Calumem, by ten poczuł

się bliżej organizacji. George też pracuje dla Jamiesona – jest jego najlepszym karkiem. Związać Caluma ze światem Jamiesona. Stworzyć więź emocjonalną.

Przyjaźnili się już wcześniej. Wykonywali wspólnie zadania. Lewis Winter i Glen Davidson. Dwóch, jeden zaraz po drugim. George to świetny kompan, więc Calum zgodził się pójść z nim do klubu. Nie po to, żeby tańczyć. Nigdy nie tańczy. Duszne, nieprzyjemne miejsca, pełne spoconych, nieprzyjemnych ludzi. George szalał na parkiecie, zwracając na siebie uwagę, a Calum trzymał się baru. Dwie młode dziewczyny, w typie studentek. Blondynka, ładna, ale o nudnej urodzie, i intrygująca brunetka. Siedziały zaraz obok, ale Calum milczał. Pociągał tylko sok pomarańczowy. Nigdy żadnego alkoholu. Nie tracić kontroli. Chociaż teraz – ze względu na nowe mieszkanie, na bycie częścią organizacji – czuł się trochę inaczej. Chciał coś zmienić, ale nie za bardzo. Żadnego upijania się i zaczepiania kobiet przy barze. Potem wrócił George.

– Ach, mam nadzieję, że Calum nie każe się wam nudzić. – Wyszczrzył zęby, podając rękę najpierw blondynce. – Jestem George.

George'owi nie przyszło do głowy, że Calum mógł w ogóle z nimi nie rozmawiać, ale nikt go nie poprawił. Resztę wieczoru spędzili we czwórkę. George i blondynka – Anna czy Annie jakaś tam – zniknęli razem pod koniec wieczoru. Calum niczego nie próbował. Kiedy się żegnał, Emma dała mu swój numer i poprosiła o jego.

– Prawdziwy z ciebie milczący twardziel – powiedziała z kpiącym uśmiechem. Było to słodkie.

– Głównie po prostu milczący. – Wzruszył ramionami. Podał jej numer. Nie chciał być niegrzeczny. Zadzwoiła nazajutrz. Odebrał. A teraz proszę. Minęły trzy tygodnie, a oni zachowują się jak normalna para. Jest po prostu fajnie. Dobrze, niewinnie, niebezpiecznie fajnie. Niewinnie dla niej. Niebezpiecznie dla niego. Może niebezpiecznie dla niej też, jeżeli o jej istnieniu dowiedzą się niewłaściwi ludzie. Wiedział, że zbliża się moment powrotu do pracy. Pracujący dla Jamiesona rzeźnik z dyplomem lekarskim i problemem z pigułkami badał Caluma kilka dni temu. Niewątpliwie przysłany przez Jamiesona. Powiedział, że rany na dłoniach i na prawym ramieniu ładnie się zagoiły. Lewa ręka potrzebowała jeszcze trochę czasu, ale poza tym nic jej nie było. Nóż Davidsona nie powinien zostawić trwałych uszkodzeń. Od tamtej pory Calum czekał na telefon.

Ona ma dwadzieścia jeden lat. Dziewięć lat młodsza od niego. Studiuje. Ostatni rok nauk politycznych na Uniwersytecie Strathclyde. Kończy za trzy miesiące. Mówi, że pewnie zatrudni się w Edynburgu albo w Londynie. Jakiś instytut badawczy podobno chce ją przyjąć na staż. Mało prawdopodobne, by została w Glasgow. To by rozwiązało sprawę. Przelotny związek, fajny, dopóki trwa. Trzy miesiące to jednak za



długo, by ukrywać taki sekret. O ile ona już nie wie. Jest inteligentna; mogła go przejrzeć. Nie jest tak poważna jak Calum, ale równie bystra. Opowiedział jej bajeczkę o swoich dłoniach. Że pracuje w drukarni i miał wypadek przy maszynie. I że nie jest pewien, czy ma tam po co wracać. Ona kiwała głową i więcej nie poruszyła tematu.

Siedząc tak, wygląda zachwycająco. Musi coś wiedzieć. Musi przynajmniej wiedzieć, że kłamał o pracy w drukarni. Jej przyjaciółka spędziła noc z George'em, od tego czasu jej nie widział. Ile zdołała wyciągnąć od George'a? Nie powiedziała by jej nic kompromitującego, nie jest taki głupi, ale coś mógł wypaplać. Jeżeli ona wie i przymyka na to oko, to świetnie. O tym, że jest zabójcą, nigdy się nie dowie. Jeżeli nie przeszkadza jej, że jest przestępcą, to wydawałoby się to pozytywne. Ale wcale nie jest. Calum nie obawia się tego, że ona może się dowiedzieć i go rzucić. Jego obawa jest o wiele bardziej egoistyczna. Boi się, że ona może dowiedzieć się czegoś, co wpędziłoby go w kłopoty. Że może utrudnić mu pracę. Że może okazać się dokładnie tym, na czym się potknął.

Wystarczająco trudno jest wykonywać niechcianą robotę bez jej obecności. Bez konieczności myślenia o niej, uwzględniania jej w każdej decyzji. Myślenia o tym, jak nie zdradzić jej czegoś, czego nie powinna wiedzieć. Powiedz jej, żeby sobie poszła. Że to już koniec. Dobrze się bawili, ale wszystko ma swój kres. Patrzy na nią i nienawidzi sam siebie. Jest za słaby, żeby jej to powiedzieć. Za bardzo mu się podoba. To nieprofesjonalne. Wstyd przyznać, ale pragnął tego. Pragnął jej. Nie konkretnie jej, ale dziewczyny, kogoś, z kim się jest. Dopadło go poczucie samotności. Dlatego pozwolił, by to się zdarzyło. Ona nie jest tu ani przez Jamiesona, ani przez George'a. Jest tu przez Caluma. Mógł pewne sprawy powstrzymać, ale nie zrobił tego. Rok wcześniej by zrobił. Teraz nie odprawił jej. Wstyd przyznać, ale zachowuje się nieprofesjonalnie. Pierwszy raz coś takiego mu się przydarzyło.

– No i – pyta Emma, patrząc na niego rozbawionym wzrokiem – kto dzwonił?

Calum stoi w drzwiach, przyglądając jej się przez blisko dwadzieścia sekund. Wciąż trzyma w dłoni telefon.

– Och, to William – mówi, mając na myśli swojego brata. To kłamstwo, które od jakiegoś czasu przygotowuje. Od momentu, gdy zdał sobie sprawę, że pozwoli jej spędzić noc u siebie w mieszkaniu. Kłamstwo jest cienkie, ale wystarczająco prawdopodobne. – Utknął w mieście bez wozu. Jest trochę wkurzony. Nie ma forsy na taksówkę. Powiedziałem, że po niego podjadę. Zawsze jest dla mnie dobry. – Nie rozgaduj się, to byłoby nienaturalne. Powiedz jej tylko tyle, ile musi wiedzieć. Bądź lekko zirytowany, ale wyrozumiały wobec brata. Nie na tyle zdenerwowany, żeby zaczęła coś podejrzywać.

– Aha. Mam nadzieję, że dasz mu, na co zasłużył, za to, że wyciąga cię z łóżka w ten sposób.

Calum uśmiecha się i kiwa głową, naciągając zwyczajną bluzę z kapturem. Ktoś istotnie dostanie to, na co zasłużył.

Czy ona wie? Czy w kącikach jej ust nie czaił się kpiący uśmieszek, kiedy mówiła o Williamie? Calum wychodzi na ulicę, wsiada do swego niepozornego samochodu. Samochodu niezdolnego przyciągnąć czyjąkolwiek uwagę. Wie, co teraz będzie. Dotrze do klubu, będzie tam jakaś sytuacja nadzwyczajna, i wyślą go na robotę. Ona musi wiedzieć. Jest zbyt inteligentna, by się jeszcze nie zorientować, że on coś kombinuje. Dopóki tylko podejrzewa go o to, że pracuje w półświatku, dopóki nie wie, że jest cynglem do wynajęcia, to uważa go najwyżej za łobuziaka i może dalej mylić z porządnym człowiekiem. Calum odjeżdża spod bloku. W lewej dłoni czuje lekkie napięcie, kiedy coś chwyta. Na przykład kierownicę. Z pistoletem będzie pewnie tak samo, chociaż ostatni raz miał broń w ręku, kiedy zabił Lewisa Wintera. Ponad dwa miesiące temu. Wydaje się, że o wiele dawniej.

Siedzi w ich starym mieszkaniu. Na kaloryferze w salonie. W mieszkaniu jest ciemno – elektryczność odcięto. Ale w oknach nie ma zasłon; przez szyby wpada blask ulicznych latarni i księżyca. Detektyw Michael Fisher jest tu po raz drugi. Calum MacLean ma z tym miejscem coś wspólnego. Detektyw jest tego pewien. Ma tylko billingi telefoniczne. To jego śledztwo, ale nie jest w stanie pchnąć go naprzód. Billingi pokazują, że Glen Davidson dzwonił do Caluma MacLeana. Z domu Słodasa Francisa. Dwadzieścia cztery godziny później Davidson znika, a MacLean pospiesznie się wyprowadza. A teraz pozbieraj to do kupy i zbuduj porządne śledztwo. Nic z tego.

Zabójstwo Lewisa Wintera. Niech Glen Davidson będzie głównym podejrzanym. Fisher wie, że Davidson jest człowiekiem od mokrej roboty. Dzwonił z domu Słodasa. Powiedzmy więc, że to Słodas zlecił Davidsonowi zabójstwo Wintera. Coś poszło nie tak. Jak dotąd wszystko ma sens. Przypuszczenia, ale prawdopodobne. Ale kim, do cholery, jest MacLean? I gdzie, u diaska, podziewa się Davidson? Na pierwsze pytanie Fisher jest w stanie do pewnego stopnia odpowiedzieć. MacLean ma niecałe trzydzieści lat, czystą kartotekę, pochodzi z Glasgow. Żadnych danych o zatrudnieniu. Fisher nie ustalił jeszcze nowego adresu Caluma, ale to tylko kwestia czasu. Dowiedział się, że ma brata i owdowiałą matkę. Na tym etapie nie ma jeszcze sensu ich przesłuchiwać. Niech MacLean nie wie, że się nim interesujemy, dopóki czegoś na niego nie będziemy mieli. Nazwisko brata wypłynęło w kilku wcześniejszych śledztwach. Ma udziały w warsztacie samochodowym, który ostatnio stał się obiektem podejrzeń. Nic wielkiego, ale rzecz warta odnotowania. Jeżeli starszy brat robi w branży przestępczej, to jest prawdopodobne, że młodszy również.

Jeżeli Calum MacLean dla kogoś pracuje, to dla Petera Jamiesona. Stało się również jasne, że Słodas Francis i Peter Jamieson toczą wojnę. Zasugerował to jeden z ludzi Fishera. Sugestia okazała się trafna. Plotki na mieście głoszą, że Słodas sprawia Jamiesonowi kłopoty. Ten ostatni jeszcze nie przegrał, ale został zmuszony do wysiłku. To by oznaczało, że Słodas podejmuje rozmaite działania przeciwko ludziom Jamiesona. Czy Winter był człowiekiem tego ostatniego? Plotki tego nie potwierdzają. Jeżeli już, to Słodasa. Przyjmijmy więc, że coś poszło niezgodnie z planem. MacLean, z drugiej strony, niewątpliwie może pracować dla Jamiesona. Co by to oznaczało? Że pozbywszy się Wintera, Słodas w ciągu tygodnia wysyła zabójcę, by ten załatwił jednego z ludzi konkurenta? Hm. Mało prawdopodobne. Nie tak szybko po Winterze. Ale coś się tu wydarzyło. W tym mieszkaniu. Dlatego Fisher znowu tu jest.

MacLeana nie było już od tygodnia czy dwóch, gdy Fisher ustalił jego adres. Właściciel budynku nie był pomocny. Wił się jak piskorz. Nic nie chciał powiedzieć. Fisher wezwał techników, żeby sprawdzili mieszkanie. Było wyczyszczone. Ani jednego odcisku palca. Meble i wykładziny zniknęły. Armatury wyszorowane na błysk. Ściany też. Sprzątając, naderwali tapetę w kilku miejscach, ale najwyraźniej się tym nie przejęli. Czystość najważniejsza. Sprawdzili gniazdka elektryczne. Też czyste. Nawet cholerne sufity. W łazience i kuchni szukali fragmentów włosów albo tkanki skórnej. Bez efektów. To musiało być profesjonalne sprzątanie. Takie, jakie może przeprowadzić duża organizacja przestępcza, by zatrzeć ślady. Takie, jakie zarządziłby Peter Jamieson, człowiek inteligentny i przebiegły.

Coś tu się wydarzyło, ale co? Fisher musi powiązać MacLeana z Jamiesonem. Musi dowiedzieć się, co właściwie MacLean dla niego robi. Musi to być coś ważnego, bo w przeciwnym razie dlaczego ktoś miałby próbować go zlikwidować? Jest jedna teoria, która łączy poszczególne fragmenty układanki. Winter dogaduje się ze Słodasem. MacLean nakłania Wintera, by przeszedł pod skrzydła Jamiesona. Słodas się dowiadyje. Karze Wintera za zdradę i próbuje wysłać sygnał Jamiesonowi. Mogłoby pasować. Nie jest to jakaś rewelacyjna teoria, ale najlepsza, jaką ma. Gdyby zdołał namierzyć Davidsona, mógłby dowiedzieć się więcej. Uciekł czy został usunięty? Ucieczka jest najbardziej prawdopodobna. Może robił Słodasa w konia. Ci ludzie nie znają pojęcia lojalności. Zatem Davidson ostrzega MacLeana. Davidson się ukrywa, MacLean pospiesznie się wyprowadza.

Fisher trze oczy. Jest późno. Za późno. Ma na myśli zarówno porę dnia, jak i stan śledztwa. Stoi w małym pustym mieszkanku i próbuje uświadomić sobie, gdzie podziało się jego śledztwo. Żadnego pomysłu. Leży i kwiczy. Sprawa Wintera wymknęła mu się z rąk. Winter nigdy nie był na tyle ważny, żeby przyciągnąć uwagę. Gdy stało się jasne, że wiedzą za mało, by kogokolwiek aresztować, ruszyli dalej. Naczalstwo nie chciało tracić sił i środków na beznadziejny trop. Może byłoby inaczej, gdyby ofiara nie była kimś aż tak żalnym. Lewis Winter był drobnym dilerem. Nieudacznikiem przez całe życie. Zbyt winnym, by mu współczuć. Zbyt małym, by zasłużyć na większy wyrok. Udaje im się więc uzyskać tylko skazanie jego byłej na cztery miesiące, a jej przypadkowego gacha – na trzy miesiące w zawieszeniu za utrudnianie śledztwa. Szybka ścieżka ze względu na niewielki ciężar zarzutów.

Fisher opuszcza mieszkanie. Zawsze uważał, że dobrze jest odwiedzić miejsce przestępstwa. Przejść się śladami sprawcy. Zobaczyć to, co oni widzieli, ocenić, jak mogli zareagować. Słusznie, pod warunkiem że się wie, na czym polegało przestępstwo. Kiedy się wie, że w ogóle się tu wydarzyło. On nie wie. Zgaduje tylko. Nie ma niezbitych dowodów. Chodzi o przecucie. Coś mu podpowiada, że to jest

szansa i że jeżeli ją zmarnuje, to następna wydarzy się może za parę lat. Szansa, by dobrać się do Petera Jamiesona i jego organizacji. Do Słodasa Francisa też, ale to mniejszy kaliber. Jamieson byłby głównym trofeum. Największym w karierze Fishera. Pierwszym od lat aresztowanym w tym mieście gangsterem tej rangi.

Wychodzi na korytarz. Chowa klucz do kieszeni. Na wszelki wypadek go zatrzyma. Wychodząc na dwór, potrząsa głową. Wielu na jego miejscu w ogóle nie wiedziałoby, że to szansa. Może mieliby to gdzieś. Może uznaliby, że nie dadzą rady, i postanowili czekać na następną. Fisher jest na tyle dobrym detektywem, by wiedzieć, że jest to szansa, z której powinien skorzystać. Ale nie na tyle dobrym, żeby to zrobić. Góra naciska. Chcą, żeby zajął się innymi śledztwami. Jeżeli pojawi się coś nowego w sprawie Wintera, będzie mógł do niej wrócić. A do tego czasu niech zajmie się czymś bardziej produktywnym. Wsiada za kierownicę i zapuszcza silnik. Spogląda na zegar na desce rozdzielczej. Za dwadzieścia druga. Siedzi po nocach w pustych mieszkaniach i czeka, aż go olśni. Popadanie w desperację. On to wie, i wszyscy inni też. Idź się przespać. Rano zaczniesz od nowa. Tej nocy już nic się nie wydarzy.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i do środka wmaszerował Jamieson. Kenny został w sali bilardowej; zna swoje miejsce. Gabinet jest dla VIP-ów. Jamieson nie może ukryć rozczarowania, że Caluma jeszcze nie ma. Zawsze tak się grzebie. Ostrożność jak najbardziej, ale opieszałość jest denerwująca.

– Masz dla niego broń?

– Górna szuflada biurka – mówi Young. Ulżyło mu, że nie jest już sam. Czuje się mniej odsłonięty. Milczenie przełamane, pustka odegnana. – Nie dotykałem jej oczywiście.

Jamieson kiwa głową, ale nie słucha. Stoi za biurkiem i nie wygląda, by chciał usiąść.

– Jezu Chryste! – mruczy pod nosem. Potrząsa głową.

Mijają dwie minuty. Potem kolejne dwie. Jamieson po prostu stoi, Young siedzi na kanapie. Nagle, bez ostrzeżenia, pukanie do drzwi.

– Wejść – mówi głośno Jamieson. Calum wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. To charakterystyczne dla niego, tak się zakraść niepostrzeżenie, myśli Young. Zapewne dobry omen. Jamieson usiadł. Czas przybrać profesjonalny wygląd, nawet jeżeli wcale się tak nie czuje. Calum nie wie, w co się pakuje. Nie spodoba mu się to.

– Usiądź – mówi Jamieson. – Jak ręka?

– Prawa w porządku – odpowiada Calum, zajmując miejsce naprzeciwko Jamiesona – lewa trochę jeszcze sztywna, gdy coś chwytam. Jestem praworęczny, więc... – urywa. Gabinet sprawia dziwne wrażenie w świetle lampy. Jakby się skradali. Ale wszystko jest jak zwykle. Jamieson na wprost, Young z boku, poza widokiem.

Po prostu mu powiedz. I tak nie ma się jak wycofać; za blisko go ściągnąłeś.

– Chcę, żebyś pojechał na robotę – mówi Jamieson i spogląda na zegarek. Za dwadzieścia druga. Czas ucieka. – Frank pojechał kropnąć Tommy’ego Scotta. Scott i drugi chłopak przechytrzyli go. Trzymają go w mieszkaniu Scotta. Czekają na... kogoś innego, kto ma wykończyć Franka. Masz pół godziny, żeby tam dotrzeć i odwrócić sytuację na naszą korzyść.

Calum milczy. Siedzi, słucha, myśli. Co to wszystko znaczy? Czytaj między wierszami. Zaskoczyli Franka. To nie powinno było się zdarzyć. Ktoś dał cynk Jamiesonowi. Dziwne. Musiał to być cyngiel, któremu zlecono tę robotę. Sprzedał im trochę czasu. A teraz chcą, żeby to Calum pojechał i uratował Franka. Akcje

ratunkowe to paskudna sprawa.

Jamieson widzi, że tryby pracują. Podaj mu szczegóły i niech jedzie. Powiedz mu tylko tyle, ile musi wiedzieć.

– Kenny cię zawiezie. Zostawi cię pod budynkiem. Wie, gdzie to jest. Mieszkanie numer 34B. Przedostatnie piętro w bloku. Trzynaste. Z Frankiem będzie tam dwóch ludzi. Pozbądź się ich. Odjedźcie samochodem Franka. – Sięga do górnej szuflady biurka, wyciąga torebkę. Calum domyśla się, co w niej jest.

– Potrzebuję rękawiczek i kominiarki – mówi rzeczowym tonem.

Jamieson zerka na Younga. Spodziewał się, że Calum weźmie te rzeczy z domu. Powinien był. Wzięłyby, gdyby nie Emma. Ale nie poda im wyjaśnienia; oni też wiedzą o nim tylko tyle, ile muszą. Young wstaje. W skrzyni w magazynku jest parę kominiarek. Na skrzyni umieszczono napis „Rzeczy znalezione”, na wypadek gdyby napatoczył się jakiś nazbyt ciekawski stróż prawa. Jest też parę pudełek jednorazowych rękawiczek, jakich używa personel sprzątający.

– Musisz się naprawdę pospieszyć – mówi Jamieson, a Young rusza do magazynku. – Musisz wyciągnąć stamtąd Franka. Scott i jego kumpel do likwidacji. Głównie Scott. Kumpel to głupek, wisior, ale będzie świadkiem, jeżeli go nie sprzątniesz. Scott załatwił mi za skórę. Pozbądź się go.

– A ten drugi cyngiel? – pyta Calum.

Wahanie. Hutton to kontakt Younga. Trzeba chronić użyteczne kontakty. Wystarczająco o nie trudno. Ale cóż. Hutton wiedział, w co się pakuje, kiedy zadzwonił, by ich ostrzec. Nie powinien oczekiwać w zamian żadnych przysług.

– Jeżeli się zjawi i będziesz musiał go załatwić, załatw go. Miejmy nadzieję, że się nie zjawi. Zrób to ze słuchu. Zrób tyle, ile trzeba, nie więcej. – Tego akurat nie musi wyjaśniać.

Young wpada z powrotem do pomieszczenia. Nie jest z niego dobry biegacz, jest na to zbyt pulchny. Kładzie na biurku kominiarkę i pudełko rękawiczek.

Calum wciska kominiarkę do kieszeni i szybko naciąga rękawiczki.

– Jak czysty jest pistolet? – pyta, odwijając go z płótna.

– Przez nas nieużywany – mówi Young. – Był w schowku od dnia zakupu.

Calum kiwa głową. Może nie być zupełnie czysty, ale nie jest źle. Jeżeli policja powiąże go z kimś innym, będzie to problem tej osoby. Byłe nie dało się go powiązać z Calumem ani z kimkolwiek z jego otoczenia. Sprawdza magazynek – jest pełny. Chowa pistolet do kieszeni.

– Tego nie potrzebuję – mówi, wskazując wzrokiem na pudełko z nabojami. Nie

zamierza wystrzelić więcej niż dwa razy. Wystrzelenie więcej niż cztery razy oznaczać będzie katastrofę. Cały magazynek to koszmar. Dodatkowej amunicji nie powinien potrzebować. – Dobra. Jadę.

Jamieson chce coś powiedzieć. Dodać Calumowi otuchy. Chciałby mu powiedzieć, żeby przywiózł Franka z powrotem do klubu, ale to byłoby nieprofesjonalne. Cała sprawa jest mało profesjonalna, ale to byłby już o jeden most za daleko.

– Calum – mówi, gdy ten zamyka za sobą drzwi. Calum nieruchomieje. – Puść mi esemesa kiedy będzie po wszystkim. Jak poszło. Dobrze czy źle.

Calum idzie korytarzem. W normalnych okolicznościach Jamieson nie prosiłby o esemes. Teraz też nie powinien. Calum jest niezadowolony, ale nie ma wyboru. Pan każe, sługa musi. Jeżeli szef ma emocjonalny stosunek do roboty i podejmuje ryzykowne decyzje, ty ponosisz konsekwencje. Witaj w organizacji. Idzie przez salę bilardową. Wchodząc, kiwnął głową Kenny’emu, który siedział przy stoliku. Dalej tam siedzi, sam, w półmroku.

– Wiesz, dokąd jedziemy? – pyta Calum.

– Tak, wiem – odpowiada Kenny, wstaje i idzie zwawo ku drzwiom. To rzadka okazja, by mógł się wykazać. Nieczęsto się zdarza, by od kierowcy coś zależało. Dostarcz to lub tamto. Pojedź po tego a tego. Trzeba znać miasto; umieć jeździć bez zwracania na siebie uwagi. To krótka trasa, ale cieszy się na nią.



Są w aucie. Kenny nie wie, co powiedzieć, czy w ogóle coś mówić. Jest rozluźniony, chciałby pogadać, ale nie o niego tu chodzi. Cokolwiek to za robota, widać, że jest ważna i pilna. Może nigdy się nie dowie. Wykonuje się polecenia i nie zadaje pytań. Ma się nadzieję, że zostanie docenione, że się siedziało cicho. To dotyczy większości ludzi w branży. Jeżeli nie stoisz wysoko w hierarchii, trudno o pochwały. Nawet jeżeli ktoś wyrazi dla ciebie uznanie, ty pewnie i tak się o tym nie dowiesz. Miło byłoby usłyszeć komplement, poczuć się docenionym. Tak jak goście od mokrej roboty. Jak importerzy towaru. Ludzie z pozycją. Nie ma ich zbyt wielu. Kenny prowadzi w milczeniu. Niektórzy nie lubią, kiedy się gada, zwłaszcza kiedy jadą na robotę. Calum wygląda na kogoś, kto byłby ostatni do rozmowy. Nie odzywa się nawet wtedy, kiedy nic się nie dzieje. Jestem po prostu taryfiarzem, myśli Kenny. Wszyscy go tak postrzegają.

– To już tu – mówi, gdy zbliżają się do bloków. – Jak blisko mam podjechać?

– Nie za blisko. Muszę wejść niezauważony. – Najlepiej byłoby wejść z przeciwnej strony budynku, niż mieści się mieszkanie Tommy’ego Scotta, ale żaden z nich nie wie, które to jest. Brak rozpoznania. Calum powinien wiedzieć takie rzeczy, zanim uda się na robotę. Trudno będzie zakraść się do mieszkania niepostrzeżenie, kiedy człowiek nie wie, dokąd się zakrada. Ale może nie trzeba będzie się zakradać. Jeżeli Scott nie wie, kim jest Calum, to ryzyko staje się o wiele mniejsze. Jeżeli Scott nie wie też, jak wygląda cyngiel Słodasa, to Calum powinien wejść do mieszkania bez problemu. Tyle nadziei.

– Przejadę koło budynku, żebyś mógł się przyjrzeć – mówi Kenny. – Zobaczyc, gdzie się pali.

Przedostatnie piętro jest ciemne. W każdym razie z tej strony. Nie oznacza to wiele. Jeżeli Scott ma choć gram rozumu, to pamiętał, żeby wszystko pogasić. Kenny zjeżdża na bok i zatrzymuje się przy krawężniku w połowie dystansu między dwiema latarniami. Niepotrzebnie się stara. Na ulicy jest jasno; każdy, kto spojrzy, zobaczy ich. Teraz kwestia kominiarki. Założyć od razu po wyjściu z auta czy dopiero pod mieszkaniem? Teoretycznie może jej w ogóle nie potrzebować. Jeżeli zdoła wejść do budynku, nie natykając się na nikogo, dostać się do mieszkania, zabić Scotta i jego kumpla i ewakuować się z Frankiem, to może nikt go nie zobaczy. Nikt, kto przeżyje, by o tym opowiedzieć. Ryzykowne założenie. W bloku mogą być kamery. W takich miejscach władza lubi pokazać, że walczy z przestępczością. Załóż kominiarkę już teraz.

Naciąga ją na głowę. Nieprzyjemne uczucie, jak zawsze – coś nienaturalnego na twarzy. Namacuje pistolet w kieszeni i zwraca się do Kenny'ego:

– Dobra – mówi tylko i wysiada z samochodu. Od razu gdy zamyka drzwi, Kenny odjeżdża. To nie koniec pracy. Musi zaprowadzić auto do warsztatu, gdzie dostanie ono nową tożsamość. Zmienia mu kolor i przebiją numery. Calum musi mieć nadzieję, że auto od początku było czyste, że nikt nie może go z nimi powiązać. Każdy musi wierzyć, że ten drugi robi dobrą robotę. Wierzy się, że nie zaszliby tak daleko w tej branży, gdyby nie można było na nich polegać. Z pewnością ci u góry pozbyliby się już do tej pory pasażerów na gapę.

Przez jezdnię i w dół po trawiastej skarpie. Jest ślisko, trawa jest mokra i Calum musi uważać. Nie wywal się na tyłek – to kompromitujące, nawet gdy ma się zakrytą twarz. Wokół żywej duszy, jasno oświetlone puste ulice. Dociera do budynku, idzie szybkim krokiem po chodniku do narożnika, gdzie znajduje się wejście. Spogląda na zegarek. Dochodzi druga. Tamten gość jest już w drodze. Może być niezła zabawa. Dość roboty będzie miał ze Scottem i jego kumplem. Scott najwyraźniej nie jest w ciemną bitą, a we dwóch będą mieli przewagę liczebną nad Calumem, bez względu na to, jak przymulony jest jego koleś. Jeżeli obaj są uzbrojeni, ryzyko staje się nadzwyczajne. Przyjmuje się, że ten drugi może się okazać od ciebie lepszy, kiedy jest jeden na jednego. Dwóch na jednego pachnie samobójstwem. Jeżeli w trakcie pojawi się jeszcze cyngiel Słodasa, to będzie cudem ująć z tego z życiem.

Pewna myśl kołaczy mu się w głowie od kilku minut. Nie opuszcza go, gdy wchodzi do budynku. Na klatce pali się światło i po lewej stronie widzi dwie windy. Chodzi o to, myśli, kierując się ku nim, że Frank może już nie żyć. Więcej niż pięćdziesiąt procent szansy, że nie żyje. Zabójca Słodasa darował im czas, ale nic nie obiecywał. Nie ma gwarancji, że Scott nie kropnął Franka, a cyngiel Słodasa nie jedzie na gotowe. Calum wie, jak to jest. Nerwowe czekanie. Komuś puszczają nerwy. Mówi albo robi coś głupiego. Scott sięga po broń i kończy sprawę. Jeżeli Frank nie żyje? Calum wchodzi i ma problem. Może zabić Scotta i jego kumpla, ale nie ma kiedy ani jak wynieść ciała Franka z budynku. Zostawia je więc. Cóż za bałagan zostaje. Trzy ciała. Dwóch młodych chłopaków, którzy pasują do mieszkania, i starszy gość, który nie pasuje. Dorzucić cyngla od Słodasa i policja ma przed sobą cztery trupy.

Drzwi windy się otwierają. Calum patrzy, niespokojny. Nikogo nie ma. Dzięki Bogu za to. Wsiada do środka, spogląda na przyciski. Czternaście. Naciska trzynaste i ma nadzieję, że informacje Jamiesona są ścisłe. Jeżeli będzie musiał szukać mieszkania numer 34B, może zapomnieć o uratowaniu Franka. Drzwi się zamykają, winda drży i rusza w górę. Jedzie powoli; nie jest też cicha. Mniej więcej połowa mieszkań w budynku i tak stoi pusta, co jest plusem. Gminy wyburzają sporo tych

mrówkowców, pozbywając się szpetot. Nie ma chętnych na takie mieszkania. Życie w próżni. Kiepskie miejsce do życia. Jeszcze gorsze na robotę.

Gong i drzwi zaczynają się otwierać. Korytarz przed Calumem jest jasno oświetlony, ale na szczęście pusty. Wychodzi z windy, wciąż nikogo nie widać. Wyostrza mu się wzrok. Cała reszta staje się nieważna. Liczą się tylko ten korytarz, to mieszkanie, Scott, jego kumpel i Frank. Nie ma Emmy, Jamiesona, żadnych trosk poza tym jednym wyzwaniem. Profesjonalizm dyktuje, jak należy działać. Idzie korytarzem, patrzy i słucha. Rozmowa, skrzypnięcie drzwi, jakikolwiek dźwięk niepasujący do korytarza na trzynastym piętrze wysokościowca o drugiej nad ranem. Kompletnie nic nie słychać. Idąc, sprawdza numery na drzwiach, upewnia się, że porusza się we właściwym kierunku. Jest 33, ale ani śladu 33B. Dalej 34 i wreszcie 34B.

Drzwi do 34B są po prawej, 35A jest dokładnie naprzeciwko, po lewej. Dobre miejsce na zasadzkę – może tak to urządzili. Jeżeli wciąż tam są i żyją, to będą czekali na pukanie do drzwi. Pewnie dostają tam niezłego świra, nerwy napięte jak postronki. Jeżeli zobaczą coś, co im się nie spodoba, zareagują ostro i szybko. Wszystko sprowadza się do tego, czy wiedzą, jak wygląda cyngiel Słodasa. Jeżeli nie, to wchodzi bez problemu. Ściąga kominiarkę – człowiek Słodasa miałby odsłoniętą twarz. Ma ją teraz na czubku głowy, wygląda niegroźnie. Puka do drzwi, cicho, dwa razy. Nie na tyle głośno, by zbudzić sąsiadów. Jeszcze nie. Na tyle, by usłyszał ktoś, kto nasłuchuje wewnątrz. Teraz odwraca się, by spojrzeć w drugą stronę, upewniając się, że nie zobaczą na początek jego twarzy. To może mu dać parę dodatkowych sekund.

Są tacy zdenerwowani. Od początku byli, ale teraz przechodzą samych siebie. Frank ma ochotę ich sprowokować, zakończyć całą sprawę. Czekanie jest najgorsze, w jakiś sposób żenujące. Pokonany przez gówniarzy, którzy nawet nie potrafią go zabić. Czekają na cyngla, który przyjedzie i wykona robotę za nich. Pomyślał o tych wszystkich zawodowcach, których załatwił przez te wszystkie lata, a wystrychnęły go na dudka takie szczawie. Nie żenujące, a upokarzające. Przyjedzie cyngiel, zrobią to na czysto, potem usuną ciało. Nie powinni mieć kłopotów. Na piętrze jest tylko jeszcze jeden zamieszkaný lokal, na drugim końcu korytarza. Jeżeli ich człowiek użyje noża, nikt nic nie usłyszy. Ujdzie im to na sucho. Ale jeżeli zdoła zmusić ich do oddania strzału, to może coś zmienić. Jasne, on umrze, ale to i tak się stanie. Spraw, by popełnili jakiś głupi błąd. Coś, co pośle ich za kratki na dziesięć do piętnastu lat. Przy stanie ich nerwów nie powinno to być trudne.

Scott z początku był opanowany. Zadzwońił, gdzie trzeba, trzymał się. To ten drugi. Ciemniak, jak go nazywają, jasno widać dlaczego. Od pół godziny wkurza swojego kumpla. Prowokuje przyjaciela, zaogniając wystarczająco trudną już sytuację. Jest jak dziecko.

– To nie powinno tyle trwać – mówi po raz kolejny. Frank wciąż siedzi pod wejściowymi drzwiami; Scott wciąż ma pistolet. Ciemniak stoi w przedpokoju i gada jak najęty. – Dzwonią po gościa, a on od razu przyjeżdża i robi, co trzeba. Nie tracą czasu. To profesjonałiści, nie obcyndalają się. Facet nie zwlekałby, wiedząc, że tu czeka na niego gruba ryba. Za długo to trwa. Coś jest nie tak. Mówię ci. – I tak dalej, jakby to on był ekspertem.

Prawdziwy ekspert siedzi na podłodze w przedpokoju i spogląda w lufę własnego pistoletu, słuchając, czekając. Słyszy, jak małowaty gadają, i zastanawia się, jak mu się udało to spieprzyć. Zabójca zaraz tu będzie. Nie dzwoniłi do Słodasa; Scott to za mały kaliber, by mieć jego numer. Zadzwońili do kogoś, ten ktoś do Słodasa, Słodas do człowieka od mokrej roboty. Ten ostatni musi zorganizować broń i transport. Jeżeli nie mieszka w pobliżu, może mu to zająć do godziny. Może raczej pół godziny. Ma wrażenie, że pół godziny już minęło. Nie nosi zegarka, nigdy w trakcie roboty. Nic, co mogłoby pomóc go zidentyfikować. Scott posyła Ciemniakowi gniewne spojrzenia, ale ten nic nie łapie. Z nerwów wychodzi z siebie. Nic do niego nie dociera.

– A ciebie, dziadku, zastrzelą – mówi Ciemniak do Franka, nachylając się na tyle blisko, by poczuć jego oddech. Frank odwraca się, ale nic nie mówi. Nie ułatwiaj im sprawy. Chłopak chce go sprowokować do reakcji, najlepiej go wystraszyć. Nie da im

tej satysfakcji. – Jak ci się to podoba, staruszkę? Myślałeś, że jesteś gość, co? Myślałeś, że nas załatwisz. Ale nas nie załatwiłeś, co? Co?

– Daj spokój – mówi Scott. Mówi cicho, próbując uspokoić przyjaciela. Próbując uspokoić też siebie.

– Daj spokój, człowieku. Mamy gościa. Załatwiliśmy go. – Ciemniak chciałby poczuć moc, poczuć się jak twardziel, za którego w tym momencie się uważa. Ale to nie tak; prawdziwi twardziele tak się nie zachowują. Milczący Scott jest już bliżej.

– Nasz człowiek wkrótce tu będzie. Nie będzie pukał głośno i nie będzie też chciał pukać dwa razy. Bądźmy cicho.

Mimo nerwów myśli prawidłowo. Pozostaje bystry i czujny, zarazem próbując sprawić, żeby jego kumpel ochłonął. Frank to szanuje. Może ten dzieciak mimo wszystko nie jest tylko ulicznym dilerem, który wyrwał się spod kontroli. Szkoda, że Jamieson nie poznał się na nim, zanim sprawy zaszły tak daleko. Nie, nie Jamieson. Young. Szkoda, że Young się na nim nie poznał, bo to jego działka. Prędzej czy później Scott rozstanie się ze swoim kumplem. Zda sobie sprawę, że jeżeli chce iść naprzód, to nie z ludźmi takimi jak Ciemniak. Ambicja przeważa nad przyjaźnią. Nie ma sensu dźwigać zbędnego balastu. Wiele przyjaźni nie przetrwa próby czasu. Ciemniak jeszcze tego nie wie i pewnie nigdy nie zrozumie. To będzie jego kara. Porzucony tam, gdzie jego miejsce, na samym dole. Dla niego to szczyt. Dla Scotta – dopiero początek wspinaczki.

Pukanie do drzwi. Dwa razy. Lekko – żeby przypadkiem nie zbudzić sąsiadów. To zabójca. Nadchodzi koniec świata. Frank sam się dziwi, jak spokojnie o tym myśli. Nie uważa, żeby na to zasługiwał, ale wielu cyngli zeszło ze świata w ten sposób. Wraca myślami do swojej pierwszej roboty, ale wolałby myśleć o czymś bardziej przyjemnym. Był twardym dzieciakiem. Benson był wielkim tłustym sukinsynem, śliskim i pełnym słów, które nic nie znaczyły. Ale znał się na robocie. Posłał go, żeby dał nauczki bukmacherowi, który nie dzielił się forszą. Frank za nic nie może sobie przypomnieć jego nazwiska, ale ludzie w branży najwyraźniej znali go dobrze. Dopadł bukmachera na ulicy niedaleko jego domu, zaciągnął w zaułek i pobił do nieprzytomności. Frank był wtedy zwyczajnym bandytą. A teraz kończy jak bandzior. Może jednak na to zasługuje.

Scott podchodzi do drzwi z pistoletem w garści. Wygląda teraz na bardziej stremowanego, najwyraźniej chce dobrze wypaść. Człowiek od mokrej roboty jest dla Słodasa ważniejszy niż on, Tommy. Scott potrzebuje szacunku tych, którzy się liczą, by dotrzeć na szczyt. Ten fiut Ciemniak szczerzy zęby, patrzy na Franka i śmieje się szyderczo. Scott przechodzi nad nogami Franka. Jest przy drzwiach, ogląda się za siebie. Szybki rzut oka, zerknięcie tylko, przez wizjer. Potem znowu na Franka. Jest

na tyle bystry, by wiedzieć, że nie powinien zbyt długo stać do niego tyłem. Nieważne, że facet jest w parterze. Frank ma opinię człowieka niebezpiecznego, którego nie można lekceważyć. Nie przestaje być niebezpieczny tylko dlatego, że siedzi na podłodze. Scott otwiera drzwi, próbując spoglądać jednocześnie na Franka i na wchodzącego.

– Wchodź – mówi – on jest tu. – Rzadko kiedy człowiek ma okazję wybrać swoje ostatnie słowa.

Odziana na czarno postać wkracza do mieszkania i zamyka za sobą drzwi. Frank zauważa, że ma na sobie rękawiczki. A zatem zawodowiec, nic nie zostawia na ostatnią chwilę. Zerka na twarz. Rozpoznaje. Pierwszą reakcją nie jest ulga, lecz poczucie zdrady. A więc Calum pracuje dla Słodasa. Właściwie można się było tego spodziewać, w tej branży nikomu nie można ufać. Taki spokojny chłopiec. Nic nie mówi, bo nie chce się zdradzić. To są ci, którym nie można ufać. Ma też poczucie osobistej porażki. To on polecił Caluma Jamiesonowi. Teraz Calum wkłada dłoń do kieszeni kurtki. Scott i Ciemniak wciąż patrzą na Franka, jeszcze nie spostrzegli, co się święci. Frank oddycha z ulgą. Już rozumie. Patrzy na Ciemniaka i teraz to Frank się uśmiecha.

Calum jest szybki. Zamknąwszy za sobą drzwi, od razu sięga po pistolet do kieszeni. Nie czeka na moment, żeby się przedstawić, po prostu działa. Każda sekunda jest droga. Cyngiel Słodasa nie może być daleko. Podnosi pistolet i celuje w Scotta. Ten odwraca się, patrzy na Caluma, ale nie zdąża zrobić zaskoczony miny, bo Calum pociąga za spust. W ciasnym przedpokoju huk wystrzału zdaje się przeraźliwie głośny. Scott eksploduje czerwienią, krew tryska na ściany w obie strony, ale bardziej w lewo niż w prawo, plamiąc Caluma i Franka. Niewiele, ale zawsze. Będą musieli zniszczyć ubrania, które mają na sobie. Scott pada w tył; Frank słyszy, jak czaszka chłopaka uderza o podłogę, głucho tąpnięcie. Pistolet upada obok niego.

Calum nie zatrzymuje się. Nie ma czasu na wahanie. Ty się zawahasz, a ten drugi nie. I wtedy jest po tobie. Ciemniak wycofuje się w stronę kuchni. Ma zdziwioną minę.

– Nie – mówi cicho – to o niego chodzi, nie o nas. – Mówi to z czymś w rodzaju rozbawienia, jakby dla Caluma powinno to być oczywiste. Nie rozumie, co się dzieje. Zbyt wielkie napięcie. Ciemny do końca. Calum podchodzi do niego; Ciemniak po prostu stoi i patrzy. Pozwala zabójcy zrobić swoje, bo i tak nic nie może na to poradzić. Wygląda, jakby się miał rozpłakać. Calum przytyka mu lufę do głowy pod dziwnym kątem. Ciemniak zaciska powieki najmocniej, jak potrafi. Teraz już rozumie.

Frank podnosi się powoli. Stoi niezbyt pewnie; zbyt długo siedział w tej samej

pozycji. Usilnie stara się nie okazać słabości. Nie żeby miało to znaczenie, Calum nawet na niego nie patrzy; zajęty jest kończeniem roboty. Jest dobry, prawdziwy zawodowiec. Podchodzi do Scotta i wkłada mu pistolet w lewą dłoń. Zaciska palce na rękojeści. Potem prawa; stara się, żeby chwyt wyglądał naturalnie. Dotyka palcami Scotta całego pistoletu, tak jakby ten używał go regularnie. Teraz Ciemniak. Starannie zaciska jego obie dłonie na rękojeści. Ale nie tak gęsto jak przy Scotcie. Ludzie prędzej uwierzą, że była to spluwa Scotta niż jego matołkowatego kumpla. Odcisków Scotta powinno być odpowiednio więcej. Teraz próbuje uzyskać odcisk palca na cynglu. Trzyma pistolet w prawej dłoni Ciemniaka, unosząc ją nieco. Potem pozwala jej opaść. Pistolet wyślizguje się Ciemniakowi z ręki i uderza o podłogę. Wygląda to naturalnie.

W końcu Calum spogląda na Franka. Dwóch ludzi i dwa trupy w wąskim przedpokoju. Nieprzyjemnie ciasno i nie zanosí się, żeby miało być lepiej. Wielu ludziom w momencie nagłej śmierci puszczają zwieracze. Mało który cyngiel będzie czekał, aż przesiąknie zapachem.

– Weź swoją spluwę – mówi Calum do Franka rzeczowym tonem. – Masz kominiarkę?

– Tak – sapie Frank, podnosząc leżący obok Scotta pistolet. Wtyka kominiarkę do kieszeni i spogląda na dwa nieruchome ciała. – Myślisz, że to kupią? – pyta. Nie należy do entuzjastów cwanych zagrań; policja zazwyczaj jest w stanie przejrzeć je na wylot. Można upozorować morderstwo i samobójstwo, ale czy to przejdzie?

Calum wzrusza ramionami.

– Zawsze ich to trochę spowolni. Dzięki temu będziemy mieli czas pozbyć się wszystkiego, co trzeba. Chodźmy. Człowiek Słodasa zaraz tu będzie.

Frank doznaje wstrząsu. Próbował domyślić się, co się stało. Sądził, że Calum zdradza Słodasa na rzecz Jamiesona. A tu okazuje się, że Słodas wysłał swojego człowieka, który jest w drodze. Co oznacza, że była to akcja ratunkowa. To również jest wstrząs. Całe to ryzyko, by go uratować; Frankowi jest zwyczajnie głupio. Ale wszystko może jeszcze skończyć się katastrofą. Gdy wychodzą z mieszkania, obaj na czarno i w kominiarkach, Frank jest wściekły na Caluma. Po co marnować tyle czasu na odciski? To jego jedyna wada. Zawsze wszystko robił powoli. Ktoś w budynku na pewno usłyszał strzały. Dwa, jeden po drugim, trudniejsze do zignorowania niż przypadkowy huk. Wszedł na korytarz sprawdzić. Ktoś musiał zadzwonić na policję. Na pewno. Jeżeli nie lokator mieszkania na drugim końcu korytarza, to piętro niżej są trzy zamieszkane lokale. Jedno bezpośrednio pod nimi.

Naciska guzik windy. Drzwi się otwierają, pusto. Do środka i na dół, w milczeniu. Winda zatrzymuje się, pusta klatka schodowa. Wychodzą na chłód nocy, idą żwawo

do samochodu, który Frank pożyczył na tę noc. Znowu ulga.



Frank prowadzi. Calum siedzi obok niego, obserwując w lusterku oddalający się blok. Nie zapaliło się żadne światło. To dobra wiadomość. Nie wywołali wielkiego poruszenia. Zerka na zegar na desce rozdzielczej: czternaście po drugiej.

Obaj milczą. Niektórzy gawędzą, większość siedzi cicho. Obaj należą do tej drugiej kategorii. Tak jak większość zawodowców. Pogawędki są dobre dla nerwowych amatorów. Zresztą i tak nie ma o czym gadać. Potem tak, jeszcze będą musieli się naopowiadać, wiedzą o tym, ale nie między sobą. Tymczasem napawają się ciszą. Frank nie powiedział nawet, dokąd jadą. Po jego normalny samochód, oczywiście, ale ten może być wszędzie. Calum ufa, że Frank ich tam dowiezie.

Wjeżdżają na teren przemysłowy. Wszędzie pojazdy – hurtownie pracują. Dziwne miejsce na zmianę auta; na pewno mają tu kamery. Nie jest to miejsce, które wybrałby Calum.

– Jamieson jest tu właścicielem paru magazynów – wyjaśnia Frank, czytając w myślach Caluma. – Jego firma chroni cały ten teren. To bezpieczne miejsce. Dlatego z niego skorzystałem – ciągnie, nie odczuwając potrzeby, by dodać, że to jego pierwsza robota po powrocie. Łatwa robota, wszelkie środki ostrożności. Komfortowy powrót. Tyle zachodu, tyle wsparcia, a tak się to kończy. Parkuje obok swojej astry w nieokreślonym kolorze. Przesiadają się. Porzuciwszy narzędzie przestępstwa, czują się bezpieczniej.

– Dokąd? – pyta Frank.

– Do klubu. Tam zostawiłem auto.

– Aha – mówi Frank, ale nic więcej. Jadąc na robotę, nie zostawia się samochodu pod firmą szefa. To nieprofesjonalne, bałaganiarskie. Powiedziała by coś, ale wie, dlaczego Calum musiał to zrobić. Żeby ratować jego, Franka. Frank jest winny każdego błędu popełnionego tej nocy przez innych. Wszyscy naprawiali to, co on zepsuł, i od tej pory będą o tym mówić. Para gnojków zostawia piętno, którego nie da się zmazać. Dobrzy ludzie. Utalentowani ludzie. Jeden błąd i na zawsze są splamieni. Wszyscy traktują cię inaczej, bo zmusiłeś ich do popełnienia błędów. Bez względu na to, co mówią, nie wybaczą ci tego. Jedzie ostrożnie, instykt prowadzi go nieomylnie. Tego się nie zapomina.

Napięcie powoli opuszcza Caluma; zaczyna czuć bolącą rękę. Rękawiczki też są niewygodne. Frank zdjął swoje; w końcu są w jego samochodzie. Calum nie zdejmuje. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek wcześniej był w aucie Franka; jego odcisków nie powinno tu być. Jeżeli możesz uniknąć zostawienia śladów

w samochodzie innego zabójcy, to uniknij. Jeżeli możesz uniknąć pozostawienia ich w pobliżu miejsca przestępstwa albo przestępcy, to zrób to. Cisza zaczyna się robić niezręczna. Jakby mieli sobie coś do powiedzenia. Dojeżdżają do klubu; jest nieco dalej, po prawej. Frank parkuje przy wejściu. Wie, że w tym miejscu jest poza zasięgiem kamer. Instynkt.

– Słuchaj, Calum – mówi. – Świetnie się dzisiaj spisałeś, oddałeś mi przysługę. Jestem twoim dłużnikiem. Jeżeli kiedykolwiek będę mógł się odwdziaczyć, zrobię to.

Calum uśmiecha się, starając się, by nie wypadło to niezręcznie. Obaj są skrepowani.

– Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz musiał.

Frank kiwa głową.

– Ja też. Ale w tej branży nigdy nic nie wiadomo. Dzięki. – Trudno to wypowiedzieć. Tak trudno, jakby w gruncie rzeczy nie mówił szczerze.

– Nieważne – mówi Calum i otwiera drzwi, by wysiąść. Gdy stoi już na chodniku, Frank odjeżdża. Calum idzie do swojego auta i wie, że wszystko się zmieniło. To straszne, nagłe, ale prawdziwe. Dla określonej liczby osób, w tym dla niego samego, ta noc zmieniła wszystko.

Nigdy już nie spojrzy na Franka w ten sam sposób. Zawsze był steranym wichrami weteranem, człowiekiem, który wszystko widział i wszystko robił. I to lepiej niż ktokolwiek inny. Człowiekiem, który zabił więcej ludzi w mieście – i nigdy nie poszedł za to siedzieć – niż ktokolwiek inny. Mistrz w swoim fachu. Wciąż nim jest. Ale teraz jest też kimś, kto leżał w przedpokoju u stóp dwóch drobnych cwaniaczków. Mówiono, że Scott jest bystry, wschodząca gwiazda, ale wpuścił Caluma, nawet nie kazawszy mu się wylegitymować. Nie był więc aż tak bystry. Ten drugi był po prostu zwyczajnym głupkiem. A jednak zdołali przechytryć Franka. Gdy raz się spojrzało na kogoś z tej perspektywy, trudno go potem szanować. Nie jest tak, że Calum i Frank mają szczególnie bliską relację. Nigdy nie byli mistrzem i uczniem. A jednak Calum lubił i szanował Franka bardziej niż wszystkich pozostałych cyngli, których znał. Wciąż go lubi, ale sporo z tego szacunku zostało za drzwiami mieszkania Tommy’ego Scotta.

Wsiada do auta i z ulgą ściąga rękawiczki. Próbuje zacisnąć lewą dłoń, mając nadzieję, że nieprzyjemne uczucie minie. Jak długo to jeszcze potrwa? Patrzy w lusterko, by sprawdzić, czy nie jest ubrudzony krwią. Ale nie. Zapuszcza motor. W klubie i tak nikogo nie ma. Jamieson i Young wyszli wkrótce po Calumie i Kennym. Nie chcieli zostawać tam dłużej, niż to konieczne. Odjeżdża i jedzie do domu, myśląc o ubraniu. O Emmie i jego ubraniu. Teraz, gdy wykonał robotę, w jego świecie znowu jest miejsce dla kobiety. Na ubraniu na pewno są drobinki krwi.

Będzie musiał pozbyć się kurtki i spodni, butów też. Zrobi to jutro, gdy Emma pojedzie na uczelnię. Tymczasem będzie traktował je jak normalne ubranie. Łamał przyzwyczajenia, by się nie pozbywać partnerki.

Parkuje w swoim ulubionym ostatnio miejscu, niedaleko wejścia. Miło jest tworzyć przyzwyczajenia w nowym miejscu zamieszkania. Idzie na górę. Wciąż nie jest w pełni bezpieczny. Na końcu schodów może czekać banda gliniarzy. Mogą być w mieszkaniu i wypytywać właśnie Emmę. Na czas roboty klucze zostawił w samochodzie; wyjmując teraz z kieszeni klucz do drzwi i wkłada go do zamka. Powrót z roboty zawsze oznacza nerwowy moment. Kto może być w środku? Są gorsze rzeczy niż policja. Wbrew powszechnemu przekonaniu ludzie lubią mścić się szybko. A teraz jest jeszcze gorzej. Bez względu na to, kto jeszcze będzie w środku, na pewno będzie tam Emma. Musi stawić jej czoło. Pamiętać kłamstwo, sprawić, żeby wypadło przekonująco, nie przesadzać. Drzwi się otwierają, w środku panują ciemności. Włącza światło. Nikogo. Nieco ulgi.

Przed powrotem do łóżka musi zrobić jeszcze jedną rzecz. Kolejne odstępstwo od zdrowego rozsądku. Jamieson prosił, więc musi to zrobić. Jeżeli boss o coś prosi, to robisz to, bez względu na to, jak bardzo może to być bez sensu. Wychodząc, zostawił komórkę na stole w kuchni. Ma nadzieję, że Emma nie wstała i nie zobaczyła jej. Mało prawdopodobne, zwykle śpi jak suseł. Bierze telefon, szuka numeru Jamiesona. Chciał prostej odpowiedzi na pytanie: czy Frank został uratowany? Calum wysłał Jamiesonowi wiadomość o treści „tak”. To głupie złamanie zasad. Jakiś gliniarz może z łatwością ustalić, że za dwadzieścia trzecia w nocy wysłał esemesa do Petera Jamiesona. Jak to wytłumaczyć?

Za dużo niedotrzymanych standardów przy tej robocie. Zbyt wiele miejsc, gdzie coś może pójść nie tak. Trudno uwierzyć, by Jamieson posłał go tam dla ratowania kogokolwiek innego. Tylko Frank zasłużył sobie na przywilej bycia ratowanym. Mój Boże, nie posłaliby Franka dla ratowania jego. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej jest przekonany, że trzeba było zostawić Franka, żeby radził sobie sam. Wysłał wiadomość. Zdejmuje kurtkę, wieszka w korytarzu razem z innymi. Przykrywa częściowo połą sąsiedniej kurtki. Zdejmuje buty, wciska je pod kaloryfer, chowając z widoku z tego samego powodu. W normalnych okolicznościach rozebrałby się i wrzucił wszystko do worka. Ale nie dzisiaj. Nie kiedy jest tu Emma. Ona wszystko komplikuje.

Wchodzi do sypialni, cicho, w skarpetkach. Zdejmuje spodnie i koszulę, ściąga skarpetki i siada na brzegu łóżka.

– Jak twój brat? – pyta zaspanym głosem Emma, która leży twarzą do ściany.

– Pijany i przeprasza – odpowiada Calum, rzucając skarpetki na krzesło

i wskakując pod kołdrę. Nie mów nic więcej, niż potrzeba. Jak jest za dużo szczegółów, opowieść zaczyna brzmieć mniej przekonująco, jak wyuczona historyjka.

– Nie naprzykrzał ci się?

– Naprzykrzał? Nie, oczywiście, że nie.

– Aha. – I tylko tyle. Dość, by powiedzieć mu, że nie wierzy w wersję o bracie. Calum nie zaśnie tej nocy.

Shaun Hutton zajeżdża pod blok. Cóż za paskudny strup. Paskudna okolica. Zegar w samochodzie pokazuje dwadzieścia po drugiej. Minęła niemal dokładnie godzina od telefonu Słodasa. Nie na tyle długo, by nie zdołał się wytłumaczyć; na tyle długo, by dotrzymać słowa danego Johnowi Youngowi. Zarządzanie czasem to podstawa dla każdego zabójcy.

Pod budynkiem panuje spokój, to dobry znak. Jeżeli Young zdołał posłać kogoś do środka, ten ktoś może tam teraz być. Jeżeli był i odjechał, to wkrótce może zjawić się policja. Nie daj się złapać na miejscu zbrodni ze spluwą w kieszeni. Idzie szybko, wchodzi do środka i kieruje się do wind. Jeżeli człowiek Younga jeszcze nie dotarł, można się go spodziewać w każdej chwili. Może wyniknąć przykre spotkanie. Pospiesz się. Jak dotąd nikogo. Wjeżdża na górę, nie wiadomo, co będzie dalej. Niepewność to zawsze wróg. Drzwi windy otwierają się i Hutton wychodzi na pusty korytarz.

Wszystko wygląda normalnie. Żadne drzwi nie są otwarte, nie stoi przed nimi grupa ludzi pochylających się nad zakrwawionym ciałem. Zatrzymuje się przed drzwiami do mieszkania Scotta, nasłuchuje. Nic, cisza. Gdyby słyszał człowieka Jamiesona, najchętniej zostawiłby go w spokoju. Słodas nie płaci mu tyle, żeby wpadał do środka i wdawał się w pojedynek z konkurencją. Ani szmeru ze środka. Puka. Czeka; nic. Puka ponownie, głośniejszym razem. Nie zbudzić sąsiadów. Zaczyna się niecierpliwie. Zaczyna zdawać sobie sprawę, że może nie być pierwszym, ani nawet drugim, uzbrojonym człowiekiem, który stoi tej nocy przed tymi drzwiami. Od momentu, gdy wsiadł do samochodu, ma na sobie rękawiczki, więc bez obaw sięga do wrzutni na listy. Podnosi wieko, zagląda do środka.

Evakuując się, człowiek Jamiesona zostawił włączone blade światło. Dwa ciała widać wyraźnie. Hutton nie wie, który jest który – po prostu niewyróżniający się niczym dwaj młodzi ludzie. Jeden leży bliżej drzwi, przyciśnięty bokiem do ściany. Na ścianie widoczna jest krew, ale Hutton nie potrafi powiedzieć, jak wysoko się zaczyna. Wie, że jeżeli w momencie trafienia chłopak stał, to może jej być dużo więcej. Drugie ciało leży nieco dalej, na plecach, przy drzwiach w głębi przedpokoju. Zabójca zostawił broń. To ciekawe. Gierki z policją. Niebezpieczna sprawa. Nie wie, które ciało należy do kogo, ale wie, że żadne z nich nie należy do Franka MacLeoda. Obaj wyglądają na to o wiele za młodo.

Wraca do windy. Przyspiesza kroku. Rozległy się co najmniej dwa wystrzały, co oznacza, że policja może być naprawdę blisko. Hutton uśmiecha się mimowolnie. Zatem posłali kogoś, żeby uratował starego Franka. Albo może Frank zdołał się

wydostać. To byłoby coś, wyczyn, który dowiódłby, że stary weteran nie wyszedł jeszcze z formy. Tak czy siak, Słodas będzie wkurzony, i Hutton musi uważać na to, co robi. Przede wszystkim oddalić się od budynku. Jest w windzie i zjeżdża na dół. Słyszy tylko skrzypienie mechanizmu, a potem brzęczyk i otwierają się drzwi. Zamykają się, cisza. Żadnego wycia syren, błysku policyjnych świateł. Wychodzi i zmierza do samochodu. Cały świat wokół ani drgnie.

Jest już daleko od budynku; jedzie od dziesięciu minut. Policja nie będzie go gonić; może się rozluźnić. Czas zagrać rolę. Myśli o Słodasie, o tym, jaka będzie jego reakcja. Nigdy nie wiadomo z niedoświadczonym szefem. Może szukać kozła ofiarnego. Kogoś innego niż on sam. Lubi, kiedy ludzie widzą, jak karze tych, którzy według niego zdradzili. W mieszkaniu leżą dwaj martwi młodzieńcy, którym Hutton przypisze nieproporcjonalnie dużą część winy. Dojeżdża do swojego samochodu, przesiada się, wraca do domu. Słodas musi myśleć, że robota już wykonana. Prosto i łatwo. Zabić starego, osłabić Petera Jamiesona. Nie będzie to telefon, jakiego się spodziewa.

– Cześć, Słodas, to ja. Obudziłem cię?

– Nie, mów. – W jego głosie już jest nieufność. Cyngiel nie powinien dzwonić do niego zaraz po robocie. Hutton sam mu to powiedział.

– Słuchaj, nie wiem, co się dzieje, ale masz dwa trupy i ani śladu starego. Dotarłem tam; nikt nie odpowiadał na pukanie. Zajrzałem przez wrzutnię na listy. Dwa ciała w przedpokoju. Młodzi. Twoi ludzie, jak się domyślam. W każdym razie żaden nie był Frankiem MacLeodem. Po nim ani śladu. Musiał się wydostać. Masz problem.

Cisza na drugim końcu linii. Słodas jest miły i przyjacielski, ale kiedy chce, potrafi być twardy. Nie byłby tym, kim jest, gdyby było inaczej.

– Obaj nie żyją?

– Na to wygląda.

Słodas nie mówi wiele, myśli intensywnie. Hutton czeka, nie chce naciskać.

– Jaka jest twoja opinia? – pyta Słodas. Ton głosu zimny. Jakby mówił mu, że sam nie jest poza podejrzeniem. Nikt nie powinien być. To uczciwe.

– Nie wiem – odpowiada Hutton z westchnieniem. – Została tam spluwa. Może Frank jednak ich załatwił. Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Nie żeby twoi chłopcy byli jakimiś orłami. Może udało mu się przekazać wiadomość. Może od początku była to ustawka, ale wątpię, za duże ryzyko. Moja opinia? Że któryś z tych dwóch zadzwonił, żeby się pochwalić wyczynem. Poszła plotka. Jamieson albo ktoś z jego ludzi dowiedział się o tym i poszedł prosto do celu. Zrobili to w pośpiechu, zostawili broń. Nie będę zaskoczony, jeżeli policja znajdzie tam coś ciekawego. Jeżeli

pracujesz w pośpiechu, to popełniasz błędy.

Znowu cisza. Hutton niemal słyszy brzęczenie szarych komórek.

– To wydawałoby się najbardziej prawdopodobne – mówi w końcu Słodas.

Hutton musi przejść do ofensywy, to jest ten moment.

– Posłuchaj, Słodas. Sprawdź, kto dla ciebie pracuje. Pojechałem tam, widziałem to z bliska. To się musiało wydarzyć niewiele wcześniej. Dosłownie parę cholernych minut. Wchodzę po strzelaninie i mogę się natknąć na gliny. Szczęście, że nie wlałem na tuzin pieprzonych detektywów. Pomyśl. Zjawiam się w tym gównie ze spluwą w kieszeni i grozi mi co najmniej dwadzieścia lat. Naprawdę chcę wiedzieć, że pracują dla ciebie ludzie, którym można zaufać. Że kiedy jadę na robotę, to masz tam ludzi do rzeczy. Nie znałem tych dzieciaków, ale spaprali sprawę. Mogłem i ja za to beknąć. I ty.

– Rozumiem to – mówi Słodas. Jego głos jest ostry. Brzmi cokolwiek gorzko, defensywnie. – Masz rację, nie powinieneś być znaleźć się w tej sytuacji. Odezwę się wkrótce.

Słodas się rozłącza. Hutton stoi w dużym pokoju swojego mieszkania, w ciemności. Robotę na tę noc ma wykonaną. Słodas jest nowy, ale bystry. Ludzie cały czas przychodzą do branży, myśląc, że się szybko obłowią. Ludzie tacy jak Słodas. Mają pieniądze z legalnych źródeł albo znają się z kimś z branży, kto da im szansę, jak sądzą. Rzadko komu się udaje. Niektórzy robią to tylko dlatego, że mają kłopoty. Zarobić i zwiewać. Ale to nie tak. Większość więcej straci, niż zyska.

Słodas może być inny. Przede wszystkim nie jest zdesperowany. Zdaje się rozumieć reguły rządzące branżą. Wypowiedział wojnę Peterowi Jamiesonowi i jeszcze jej nie przegrał. To znaczy, że jest niebezpieczny. Żeby tak długo walczyć jak równy z Jamiesonem, trzeba być niebezpiecznym. Może nie wygrać, ale zanim zostanie pokonany, zdąży jeszcze narobić sporo szkód. Ludziom, którzy są przeciwko niemu, jak sądzi. Hutton myśli o tym, rozbierając się do snu.

– Tak jak mówiłem koledze przed chwilą. W nocy usłyszałem, jak się tłuką po mieszkaniu. Nie pierwszy raz. Nie jest z niego zły chłopak, ale czasami trochę hałasują, no tak już jest. Obudziło mnie to. Potem zrobiło się cicho, więc zasnąłem. Rano poszedłem do niego na słówko. Nie najgorszy z niego dzieciak. Da się z nim pogadać, nie tak jak z niektórymi. Niektórzy traktują cię jak śmiecia. Prawdziwe sukinsyny. To przez ich rodziców. Byli za młodzi. Idę więc. Pukam do drzwi. Nic. Myślę, oho, co tu się dzieje? W końcu zajrzałem przez wrzutnię na listy. Normalnie bym tego nie zrobił, rozumie pan. Ale zaniepokoiłem się. A potem ich zobaczyłem. Wtedy zadzwoniłem po was, panie władzo.

„Panie władzo”. Michael Fisher jest policjantem od dwudziestu pięciu lat; nie znosi tego lekceważącego określenia. Już się do niego nie przyzwyczai. Tylu ludzi nie potrafi zrozumieć, że policja jest po ich stronie. No cóż, on już dawno postanowił, że będzie pomagał ludziom bez względu na to, czy im się to podoba, czy nie.

Telefon zadzwonił niecałe pół godziny temu. Fisher był w domu, sam, przygotowywał się do wyjścia do pracy. Morderstwo i samobójstwo albo podwójne morderstwo. Dwaj młodzi ludzie, znaleźieni w mieszkaniu jednego z nich. Jest tu teraz, bo któryś z nich mógł mieć powiązania z przestępczością zorganizowaną. Thomas Scott, podejrzewany o handel, ale ostatecznie oskarżony jedynie o posiadanie narkotyków. Ale nawet tamta sprawa rozeszła się po kościach; Scott wykpił się kilkoma godzinami prac społecznych, których pewnie nigdy nie wykonał. Drugi zabity, Andrew McClure, zdaje się nienotowany. Znany wyłącznie jako kumpel Scotta. Jeżeli się przyjaźnili, to niemal na pewno McClure był zamieszany w to, czym zajmował się Scott.

Fisher przyjechał prosto z domu. Na miejscu zastał już grupę policjantów, paru mundurowych i paru detektywów. Miejsce zbrodni nie zostało jeszcze zabezpieczone – ludzie kręcili się po korytarzu i korzystali z wind. Zmieniło się to drastycznie dwie minuty po gniewnym przybyciu detektywa.

Spojrząwszy na ciała, Fisher odszukał lokatora z piętra niżej. To on był tym, który ich zawiadomił, najlepszym świadkiem, jakiego mieli. Jedynym, który zdawał się mieć coś do powiedzenia od siebie.

– Może pan opisać, co to były za hałasy? – pyta Fisher.

– Opisać? Po prostu hałas. Łomot. To mogła być muzyka albo cokolwiek, co za nią dzisiaj uchodzi. Hałas i tyle. Usłyszałem, chciałem coś powiedzieć, ale potem ucichło. Rano poszedłem tam na słówko. To wszystko.



Fisher nie ma wątpliwości, co się wydarzyło. Lokator mieszkania znajdującego się piętro niżej usłyszał strzały. Wiedział, że to strzały. Wahał się, czy coś zrobić, ale nie chciał się mieszać. W każdym razie jeszcze nie wtedy. Poczekał, aż niebezpieczeństwo minie. Rano przychodzi powęszyć, widzi ciała. Dzwoni na policję i przysięga, że nie słyszał nic podejrzanego, tylko hałasy. Nie chce stać się częścią sprawy.

Fisher patrzy na niego krzywo. Trudno szanować kogoś, kto utrudnia śledztwo tylko dlatego, że bycie świadkiem to niewygodna rola. Dwie osoby nie żyją.

– Zatem ten hałas. Był na tyle głośny, że go pan usłyszał. Jak długo trwał?

Mężczyzna wydyma policzki. Colin Thomson, tak się przedstawił, podkreślając, że nie „Thompson”. Najwyraźniej to dla niego ważne. Podobało mu się bycie w centrum zainteresowania, dopóki pytania nie zrobiły się trudne.

– Nie mam pojęcia – mówi Thomson. – Może krótką chwilę. Może nie. Usłyszałem go raz czy drugi, to wszystko. Zbudziłem się ze snu, więc mógł trwać już jakiś czas, ale nie wiem. Po prostu mnie to zirytowało. Hałasować o tej porze. Rano poszedłem mu to powiedzieć. Nie jestem już młody, widzi pan, i zdrowie już nie to. – Urywa na chwilę, czekając na wyraz sympatii, który nie nadchodzi. – Gadają, że jego kumpel zabił jego, a potem siebie. To prawda?

Fisher przerwał bezcelowe przesłuchanie i wrócił na górę. Stoi w drzwiach, przyglądając się ciałom, próbując nie uronić żadnego szczegółu. Wyobrażając sobie kolejne ruchy zabójcy. Jeżeli to był leżący obok chłopak z pistoletem, prześledź ruchy. Pierwsi mundurowi sugerowali morderstwo i samobójstwo. Wyglądało na sprzeczkę między znajomymi. Spór o jakieś głupstwo. W mieszkaniu jest pistolet. McClure wyciąga go, zaczyna nim wymachiwać. Scott mówi coś prowokującego i McClure strzela. Widząc, że zabił przyjaciela, i wiedząc, że się nie wywinie, odbiera sobie życie. Tak to wygląda na pierwszy rzut oka. Albo ma wyglądać. Może rzeczywiście tak było. Fisher zaczeka na raport toksykologa, by sprawdzić, czy w grę wchodziły narkotyki. Jeżeli tak, to może uwierzy. Jeżeli nie, zachowa zdrowy sceptycyzm. Kiedy w tej branży ktoś ginie, zawsze warto sprawdzić innych podejrzanych.

Fisher chce wejść do mieszkania, solidnie je przeszukać, ale technicy jeszcze nie dojechali. Niech oni zrobią swoje, potem on. Widzi nadchodzącego korytarzem mundurowego, którego rozpoznaje. Higgins, dobry młody glina z potencjałem. Dwadzieścia parę lat, od kilku na służbie. Na tyle dobry, by się rozwijać. Może Fisher złoży niedługo wniosek o jego przejście do roboty po cywilnemu, żeby wykorzystać ten potencjał.

– Jakie wieści? – pyta Higginsa.

– Obeszliśmy budynek – wzrusza ramionami młody policjant – budząc wszystkich, którzy mogli coś widzieć albo słyszeć. Niewielu ich jest. Wiele mieszkań jest pustych. Facet na końcu korytarza twierdzi, że nic nie słyszał. W gruncie rzeczy nikt podobno nic nie słyszał. Nie wiem, na ile im wierzyć; myślę, że po prostu nie chcą kłopotów. Tylko ten starszy jegomość z dołu przyznaje, że coś słyszał. Rozmawiał pan z nim.

– Tak – kiwa głową Fisher. – Zamieniłem z nim słowo.

Wszyscy nagle głuchną. Co najmniej dwa strzały. Jeżeli pistolet leżący na podłodze jest narzędziem zbrodni, to jest to standardowa broń, bez tłumika. Nie da się powiedzieć, by mury w tym wilgotnym, zapylonym bloku były szczególnie grube. Musieli słyszeć. Ten skubaniec z dołu dokładnie wiedział, co to było. Ale zadzwonił na policję dopiero rano, kiedy wszelkie niebezpieczeństwo już minęło. Pozostali udają, że nic nie słyszeli. Nie chodzi tylko o lęk przed zeznawaniem przeciwko zabójcy. Chodzi także o lęk przed mafią, o to, że zostaną zmuszeni do milczenia. To rozumiałe. Było wiele spraw, w których przestępcy próbowali zastraszać świadków; za ten lęk Fisher nie może ich winić. Inni po prostu nie chcą zeznawać przed sądem. Nie tylko przeciwko mafii, ale w ogóle. Nie chcą ponosić związanych w tym niewygód w imię idei sprawiedliwości.

– Chcę wiedzieć wszystko o tej dwójce – mówi do Higginsa. – Dla kogo pracowali, jeżeli w ogóle dla kogoś. Wiemy, że Scott handlował na ulicy. Ktoś musiał go zaopatrywać. Sprawdźmy, czy tymi dwoma ciemiegami ktoś kierował. Kto jeszcze należał do ich kręgu, byle o ilorazie inteligencji wyższym od królika. Ich rodziny, wszelkie interesujące znajomości.

– Tak jest – mówi Higgins i odchodzi. Dobry z niego glina, ale na własną rękę raczej niewiele się dowie.

Gdzie, do diaska, są technicy? Fisher chce wejść do środka, ale nie może, dopóki ci nie zrobią, co do nich należy. Zapuszczone mieszkanko w rozpadającym się wysokościowcu to zresztą kiepskie miejsce na pracę.

W zwykłych okolicznościach zasadą jest niekontaktowanie się z mocodawcą przez kilka dni, a nawet tygodni. Zdrowy rozsądek podpowiada, by trzymać się na dystans. W ciągu tych pierwszych kilku dni jest najbardziej prawdopodobne, że policja będzie obserwować ciebie i tego, kto cię zatrudnia. Ale to najwyraźniej nie są zwykłe okoliczności. John Young zadzwonił około dwudziestu minut temu, prosząc o spotkanie w kafejce prawie na drugim końcu miasta. Niewygodna lokalizacja. Z dala od ciekawskich spojrzeń. Calum rzadko jeździ do zachodniej dzielnicy, bo ta jest trochę poza jego zasięgiem finansowym. Na szczęście Emma wyszła przed telefonem Younga. Teraz Calum pakuje ubrania z zeszłej nocy do worka, który wyrzuci do przypadkowego śmietnika po drodze. Jest to coś, co powinien był zrobić jeszcze w nocy, ale nie mógł ze względu na Emmę.

Jest w samochodzie, próbuje znaleźć miejsce do zaparkowania w miarę blisko kafejki. Worek z ubraniami udało mu się wyrzucić do zielonego przemysłowego pojemnika ustawionego na chodniku, czekającego na odbiór. Teraz myśli o Youngu. Kolejna złamana zasada. Powinni trzymać się z dala od siebie przynajmniej przez tydzień. Tu podwójne zabójstwo, a on dzwoni i umawia się na kawę. Najwyraźniej chce się dowiedzieć, co dokładnie zaszło, ale powinien okazać większą cierpliwość. Większą przezorność. To do Younga niepodobne. Znać tu rękę Jamiesona. Young poczekałby, myśli Calum. Nie jest typem sensata. Bez względu na to, jak Frank mógłby być dla niego ważny, Young zrobiłby wszystko po kolei i w swoim czasie.

Musi skręcić w drugą ulicę, żeby dotrzeć do kafejki. Filizanka kawy z kimś, kogo się właściwie nie lubi. Peter Jamieson ma w sobie coś niemalże sympatycznego. Może godną podziwu beczelność. Luzacką postawę, której przed tobą nie kryje. W dużej części to bluff, ale przynajmniej ma się do niego dostęp. Z Youngiem jest inaczej. To kunktator. Calum myślał niemało o nocy, kiedy zginął Glen Davidson. Jak wiele Young wiedział wcześniej? Calum powiedział Frankowi, że Davidson węszy. Frank z pewnością powtórzył to Youngowi. Nie pytał Younga o to, bo takich pytań się nie zadaje, ale jest pewien. Young wiedział, że Słodas namierza Caluma, i nic nie zrobił. Zostawił go na pastwę losu, kiedy mógł go ochronić. Mały kunktator. Otwierając drzwi, Calum widzi go siedzącego przy stoliku w głębi. Young spogląda na chłopaka, a potem odwraca wzrok.

Pachnie tu ładnie, drewnem i płachtami gazet. Klienci noszą okulary w kosztownych oprawkach, sączą kawę, która kosztuje więcej, niż Calum jest w stanie zaakceptować. Siedzą dosłownie kilka kroków od sąsiedniego stolika. Zjawia się kelnerka. Calum zamawia coś, czego nazwy nie da się wymówić.

– Lubię tu przychodzić – mówi Young, gdy kelnerka znika – nie ma szans, że się wpadnie na kogoś z branży. – Pauza. – Ich małe nadmuchiwane lalki paplają jak najęte, myśląc, że daje im to klasę. – Mówi to ze znaczącym uśmiechem, jakby wiedział, że Calum ma dziewczynę. Niemal na pewno wie. Zna jej personalia. Wie, że nie jest znajomością na jedną noc. Calum milczy. Young jest zadowolony, że wie to, co wie; Calum nie zamierza mówić mu więcej.

Kelnerka stawia przed Calumem podejrzaną małą filiżankę i oddala się do innego stolika. Calum marszczy brwi. Jest oczywiste, że nie chodzi po lokalach. Nie jest kimś, kto czerpałby radość z obecności innych ludzi. Young uśmiecha się, ale jest tu w interesach, więc musi się streszczać.

– Kawał dobrej roboty dziś w nocy – mówi niemal szeptem. – Powiedz mi, co powinienem wiedzieć.

Calum wydyma policzki.

– Poszedłem tam, zapukałem do drzwi. Otworzył Scott. Wpuścił mnie. Był zaskoczony. Załatwiłem go szybko. Najpierw jego, potem jego kumpla. Kumpla ułożyłem na boku, jakby to było samobójstwo. Zostawiłem pistolet. Wyszliśmy. To wszystko.

Young nie reaguje. Lata praktyki pracują na jego zimną krew. Nigdy nikogo nie zabił. Lepiej mieć ludzi takich jak Calum, zimnych i obojętnych, którzy zrobią to za niego. Oni zdają się nie mieć problemu z bagażem emocjonalnym, z nerwami. Szczęściarze.

– Jak Frank?

Calum wzrusza ramionami.

– Był na podłodze. Nie mógł wiele zrobić. Scott miał jego spluwę.

– Był spokojny?

– Tak – odpowiada Calum. – Tak bym powiedział.

Calum powoli zaczyna rozumieć, czego dotyczy ta rozmowa. Nie chodzi tylko o zreferowanie wydarzeń ostatniej nocy. Jamieson i Young próbują stwierdzić, czy mogą jeszcze powierzyć Frankowi jakąś robotę. Chodzi o przyszłość. Chcą wiedzieć, czy Frank schrząnił. Czy spowodował to stan jego zdrowia. To stawia Caluma pod presją. To, co powie, będzie miało duże znaczenie. Wpłynie na przyszłość Franka, oczywiście, ale i na jego własną też. Jeżeli Frank odejdzie, będzie to oznaczało o wiele więcej pracy dla Caluma, który stanie się głównym cynglem Jamiesona. Nawet jeżeli Jamieson zaangażuje kogoś innego – a z czasem na pewno to zrobi – to Calum będzie numerem jeden. Pierwszym kandydatem przy każdej robocie. Jest zatem w jego interesie, by Frank został, by nie odchodził. Nie chce robić za dwóch.

Nie chce nawet swojej części roboty.

– Jak to się stało? – pyta Young. – Nie rozmawiałem z Frankiem. – W ten sposób komunikuje Calumowi, że jego wersja jest pierwsza. Nie musi się zgadzać z wersją Franka; to ta musi się zgadzać z wersją Caluma.

– Zdaje się, że czekali na niego, kiedy tam dotarł. Musieli wiedzieć, że po nich idzie.

– Przeciek? – pyta Young. Tym razem w jego głosie jest prawdziwy niepokój. Jeżeli był to przeciek, to Frank jest czysty, a życie kogoś innego zawisło na włosku. Każdego, kto wyniósłby taką informację poza organizację, czekałaby śmierć.

– Nie wiem. Ile osób wiedziało o akcji? Może ktoś wychłapał, ale jeżeli trzymaliście buzie na kłódkę, to wątpię. Może ktoś go zauważył, kiedy robił rekonesans, przygotowywał robotę.

Musiał to powiedzieć. To jak dotąd najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Ale wtedy wina znowu spada na Franka. Jest jego obowiązkiem tak przeprowadzić rozpoznanie celu, żeby cel się o tym nie dowiedział.

– Gdy wiedzieli, że się na nich czai, wpadł prosto w zasadzkę. To się zdarza. Zresztą straszne miejsce na taką robotę, taki blok. Nie znoszę ich. Ogłuszyli go, ale nie mieli dość odwagi, by go zabić. Gdy tam dotarłem, był w miejscu, gdzie go zaciągnęli, przy samych drzwiach. Radził sobie dobrze. Był opanowany. Nic nie mówił. Pozwolił mi zrobić, co miałem do zrobienia. Bez problemów dotarliśmy do auta. Pojechaliśmy po jego samochód, a potem podrzucił mnie do klubu.

Young kiwa głową, ale jego twarz jest nieprzenikniona. Calum nie wie, co myśleć. To też umyślna zagrywka. Dobrze wyćwiczona.

Zamilkli. Kiedy nie rozmawiają o interesach, nie rozmawiają o niczym. Nie ma między nimi prawdziwej relacji. Kolejna rzecz, która się zmieni, jeżeli Frank przejdzie na emeryturę. Będzie musiała. Jamieson będzie chciał przyciągnąć go bliżej do siebie. Jest tak wiele powodów, by nie pogrążyć teraz Franka. I jeden dobry, by to jednak zrobić. To, że schrzanił robotę. Nie powinien był pozwolić dać się podejść. Jeżeli popełnia proste błędy, to jest zagrożeniem nie tylko dla siebie, lecz także dla wszystkich. Calum wyjdzie na kłamcę, jeżeli zacznie teraz bronić Franka.

– Myślisz, że Frank powiedział im cokolwiek? – pyta Young.

– O interesach? Nie sądzę – odpowiada Calum, szczerze w to wierząc. – Frank nie krzyczał, nie rzucał się, był spokojny. Nic by im nie powiedział. A nawet jeśli, to i tak już tego nie powtórzą. Ale jestem pewien, że tego nie zrobił.

Zostawił Younga w kafejce przy kolejnej kawie. Jest z powrotem w samochodzie, jedzie do domu. W ogóle nie powinien był wyjeżdżać. Po robocie najlepiej się

przyczać. Żyć jak najzwyczajniej. Nie robić nic odstającego od normy. Czegoś takiego jak jechanie przez pół miasta, żeby wypić dziesięciminutową kawę z Johnem Youngiem. Każdy, kto go teraz obserwuje, widzi, że dzieje się coś niezwykłego. Gdyby Calum był ambitny, mógłby zniszczyć dzisiaj Franka. Zakończyć jego karierę. Gdyby mniej go lubił, mógłby mu zaszkodzić. Calum jednak przychodzi w sukurs komuś, kto schrzanił. Jakkolwiek by na to patrzeć, Frankowi nie można już powierzyć żadnej roboty. Nie da się tego ukryć.

Parkuje blisko domu. Teraz wszystko jest w rękach Jamiesona. Calum nie będzie miał z tym nic wspólnego.

Young nie wypił tej drugiej kawy. I to nieprawda, że tu przychodzi. Chodziło tylko o to, żeby się wyrwać. Odczekał, aż Calum odjedzie, a potem sam opuścił lokal. Z powrotem do klubu. Z powrotem do Jamiesona. Który siedzi za biurkiem, z niewesołą miną. Od rana jest w biurze. Kazał nikogo nie wpuszczać. Czeką, aż wróci Young z informacjami. To straszne być szefem i z tego powodu nie móc robić różnych rzeczy. Im wyżej się pnie, tym mniej powinien być widywany, jak sam się udziela. Jamieson spogląda ponuro na Younga, który zajmuje swoje stałe miejsce na kanapie.

– Rozmawiałeś z chłopakiem? – Chłopak. Calum ma dwadzieścia dziewięć, prawie trzydzieści lat. Przyzwyczaili się myśleć o ludziach mokrej roboty jako o starych, doświadczonych weteranach takich jak Frank.

– Rozmawiałem – kiwa głową Young.

Opisał przebieg spotkania, powtarzając wszystko, co mówił Calum. Niemal słowo w słowo. Jakby nagrywał. Zresztą nie było wiele do zapamiętania. Jamieson słuchał, nie przerywając ani razu. Nie skinął nawet głową na znak aprobaty. Słuchał, budując obraz wydarzeń. Próbując wyobrazić sobie, co dokładnie wydarzyło się ostatniej nocy.

– Był długo w tym mieszkaniu z tą dwójką – mówi, gdy Young skończył.

– Był.

– Chłopak spisał się dobrze.

– Tak – zgadza się Young.

Ton głosu Jamiesona jest przykry. Rzuca cień na Franka. Komplementuje Caluma. Brzmi tak, jakby próbował przekonać sam siebie, że czas Franka minął.

Jamieson wyjął sobie butelkę whisky z barku za biurkiem. Żaden z dwóch telewizorów za plecami Jamiesona nie jest włączony. To do niego niepodobne, ale sytuacja wymaga jego pełnej uwagi. Nalewa sobie miarkę. Kenny może odwieźć go do domu. Nie proponuje Youngowi; i tak by odmówił. Niewiele pije. W każdym razie za dnia.

– Szkoda, że nie mamy pewności, co nawaliło – mówi, opierając się o krzesło. – Jeżeli był przeciek...

– Bardzo mało prawdopodobne – mówi Young. – Wiedzieliśmy tylko ty, ja i Frank. Nie puszczałyśmy pary z gęby, nikt nie mógł się domyślić. Ja nikomu nie mówiłem. Ty, zakładam, też nie. Frank to zawodowiec; nie pisnąłby słowa. Po prostu go

zauważyli.

– Tak. Też tak myślę. – Zabójca, który daje się zauważyć, to kiepski zabójca. To jedna z podstaw zawodu. Wchodzisz i wychodzisz niezauważenie. Samo zabójstwo to już łatwizna.

– Twoja opinia? – pyta Jamieson. – Szczerze, od serca – mówi drżącym głosem. Wie, dokąd prowadzi ta rozmowa. Potrzebuje tylko to usłyszeć.

– Myślę, że... – zaczyna Young, ale urywa. Zastanawia się, jak to ująć. Zazwyczaj może być z Jamiesonem brutalnie szczery. Zwykle rozmawiają o ludziach, którzy niewiele dla nich znaczą. Ale Frank to co innego. Frank zasługuje na szacunek. – Myślę, że może wciąż postrzegamy Franka takim, jaki był, kiedy zaczynaliśmy z nim pracować. Ale to już przeszłość. Najpierw znika na długie miesiące w związku z biodrem. Potem, na pierwszej akcji po powrocie, przytrafia mu się coś takiego. Ufam Frankowi. Na śmierć i życie. Ale nie jestem pewien, czy powinniśmy mu jeszcze powierzać jakieś zadania. Wiem, że daje z siebie wszystko, ale dzisiaj być może przestało to wystarczać. Cokolwiek postanowimy, dzisiejsza noc dowiodła, że Calum jest najlepszym cynglem, jakiego mamy.

– Kurwa mać! – krzyczy Jamieson. Jest wściekły, ponieważ zgadza się z Youngiem. Trzy miesiące wcześniej Frank był najlepszym płatnym zabójcą w mieście. Jamieson był o tym przekonany. Od dnia, kiedy zaangażował Franka. A dzisiaj nie może mu powierzyć nawet prostego zadania. To musi być wina operacji biodra. Chodziło o rekonwalescencję. Frank kuruje się, zupełnie wyłączony z biznesu. Nie pojawia się w klubie, nie podtrzymuje kontaktu. Siedzi z nogami w górze. Potem Jamieson wysyła go do swojej willi w Hiszpanii na parę tygodni; wakacje. Frank jest wyłączony. A teraz jakoś nie może się ocknąć. Dobrze byłoby zlecić mu kolejną robotę. Posłać ponownie na linię frontu. Dać mu szansę, żeby się zrehabilitował, żeby się stał na powrót dawnym Frankiem MacLeodem. Równie dobrze może zginąć. Nie ryzykuje się w ten sposób życia przyjaciela.

Jamieson klepie dłonią w stół. Decyzja podjęta, trzymaj się jej, życie nie czeka. Taki właśnie jest. Zdecydowany. Zdeterminowany. Niezmienny w osądach.

– Będę musiał porozmawiać z Frankiem – mówi. – Może najpierw dam mu parę dni na ochłonięcie. Zobaczę, czy jest coś, czym mógłbym go zająć. Nie ma sensu marnować takiego doświadczenia.

– Nie będzie chciał robić niczego innego – mówi Young. Ostrzeżenie: proponując człowiekowi takiemu jak Frank ostatnie zajęcie, można go tylko urazić. Frank jest cynglem. Nikim więcej. Jeżeli przyjmie propozycję, to tylko z obawy przed urażeniem Jamiesona.

– Pogadam z nim, zobaczę, co powie. Ty – zwraca się do Younga – nadstaw uszu.



Chłopak jest z nami tylko luźno związany. Jest dobry, ale jeszcze mu nie ufam. Nie chcę, żeby był naszą jedyną opcją. Znajdź kogoś innego. Dobrego. Godnego zaufania. Najlepiej młodego. I najlepiej kogoś z naszych.

Zawsze to robi. Zleca Youngowi niewykonalne zadania i każe mu poszukiwać rozwiązania. Gdyby mieli w organizacji kogoś, kto spełnia te kryteria, do tej pory Young już dawno by go wyłowił. Trzeba oddać Jamiesonowi, że nie psioczy, jeżeli Young zawiedzie. Szef wie, że żąda wiele, i generalnie jest zadowolony, jeżeli Young choć zbliży się do wyznaczonego celu. Dookoła jest mnóstwo ambitnych młodych ludzi. Nigdy ich nie brakuje. Ale ilu z nich byłoby w stanie pociągnąć taką robotę? Bardzo niewielu. Trzeba znaleźć tego jednego. Czasem ten ktoś będzie należał do innej organizacji. Trzeba go przekonać do zmiany barw. To możliwe. Wielu ludzi chciałoby pracować dla Jamiesona. To dobrze zarządzana organizacja. Taka, która docenia talent. Ludziom się to podoba. Ufają ci bardziej niż rodzinnej spółce. Nikt nie chce pracować w firmie, w której żeby awansować, trzeba być krewnym szefa.

Young wychodzi z biura, rusza w miasto. Zawsze ma wiele spotkań. Trzeba pilnować interesów. Rozmawiać z ludźmi, zdobywać informacje. Nadstawić uszu – tak ujął to Jamieson. Ale w ciągu tygodnia rozmówi się z Frankiem. Od tej pory będą zdani wyłącznie na Caluma. Na nim można polegać. On nie popełnia błędów pod presją. Young nigdy jeszcze nie pracował z kimś, kto miałby do przeprowadzenia podwójne zabójstwo i poradziłby sobie z tym tak dobrze. Utalentowany chłopak. Ale Jamieson ma rację. Calum wciąż jest wolnym strzelcem. Young posłał George'a, by się zbliżył do chłopaka. Zrobił to. Kazał George'owi ustatkować Caluma. Zrobił to. Załatwił mu dziewczynę, co było już przesadą. Wciąż nie jest ustatkowany – nie tak, jak by chcieli. Nie chce do końca zaangażować się w to, czym się zajmują. Jest kimś, kto może w każdej chwili odejść i w ten sposób narazić ich na niebezpieczeństwo.

Jamieson nie myśli o Calumie. Nie myśli też o Youngu. Wskazującym palcem stuka w blat biurka. Mówi sobie, że zachowuje się głupio. Przecież musiał już pozbywać się ludzi, których lubił. To częste w branży. Trzyma się tych, których się potrzebuje, nie tych, do których odczuwa się sympatię. W końcu Frank nie jest jego ojcem. Przesadził. Dał się ponieść emocjom. To cholernie nieprofesjonalne. Nie trzeba lubić ludzi, z którymi się pracuje. Wystarczy, że można im zaufać. I tyle. Zaufanie, być może odrobina szacunku. Wszystko inne to dodatek.

Przyzwyczał się do obecności Franka. Dający się lubić, godny zaufania Frank, zawodowiec w każdym calu. Znadto się przyzwyczał. Popadł w samozadowolenie. Może to dlatego, że Frank był cynglem. Taka odpowiedzialna rola. Praca oparta na zaufaniu. Gdy człowiek ma kogoś, komu ufa, trzyma się go. Jamieson nigdy nie chciał nawet myśleć o znalezieniu kogoś na miejsce Franka. Zmienić można importera, diler, nawet fałszerza dokumentów. Ale rekrutowanie nowego zabójcy to

trudny i niebezpieczny proces. Potrzebuje zawodowca. Jedynym, jakiego poznał i polubił, był Frank.

Calum włącza laptopa. Siedzi przy kuchennym stole, bezmyślnie przeglądając kilka stron, zanim przejdzie do tej, na której mu naprawdę zależy. To strona lokalnej gazety. Szuka wzmianki o ostatniej nocy. Na pewno już się rozniosło. Codziennie odwiedza stronę „Evening Times”; nie będzie więc nic dziwnego w tym, że historia przeglądarki pokaże wizytę właśnie dzisiaj. To trzecia co do ważności wiadomość na pierwszej stronie. Sam nagłówek z linkiem do artykułu. Dwaj mężczyźni znaleźni martwi w mieszkaniu w bloku, policja nie szuka nikogo innego. Chciałby przejść do artykułu, zobaczyć, czego się dowiedzieli. Ale nie robi tego. Dla odmiany klika na zakładkę działu sportowego. Z historii przeglądarki niczego się nie dowiedzą. Nagłówek mówi wystarczająco wiele. Wiedzą, ale nie szukają nikogo więcej. Zatem uwierzyli. Kupili historyjkę, którą im sprzedał. Ostrożnie jednak. Policja też gra w swoje gierki.

Chcą, żeby popadł w samozadowolenie. Żeby pod wpływem tego nagłówka zrobił coś głupiego. Nie żeby wiedzieli, że on to on. Zabójca. Chcą, żeby zabójca, kimkolwiek jest, zrobił coś głupiego. Popęnił błąd. Odślonił się. To ułatwi im robotę. Chcą, żeby pomógł im uniknąć długiego i trudnego śledztwa. To instynktowna podejrzliwość. Konieczna. Trzeba wierzyć, że się jest poszukiwanym, bo naprawdę się jest. Trzeba być podejrzliwym wobec wszystkiego i wszystkich. Widzisz nagłówek w gazecie sugerujący, że policja nie szuka nikogo więcej. Przyjmujesz, że to kłamstwo. Że zostało to napisane z myślą o tobie. Trzeba mieć cokolwiek rozrośnięte ego, żeby uważać, że się jest w centrum zainteresowania innych ludzi. Jak inaczej uniknąć wykrycia? Podejrzliwość popłaca.

Spokojne popołudnie, leniwy nastrój. Nic do roboty, nikogo, z kim można by pogadać. Wygodnie. To życie, do jakiego przywykł, jakie sobie stworzył, ale ono pękło jak bańka mydlana. Dziesięć lat budowania samotności i nagle pyk! Praca na cały etat dla Jamiesona. Więcej pracy niż przedtem, związaną się z określoną organizacją. To już wystarczająco wielka zmiana. Koniec bycia panem samego siebie. Do tego jeszcze Emma i zamiast prostego życia ma się więcej komplikacji, niż cyngiel powinien doświadczać. Nie chodzi tylko o jej obecność. Chodzi o konieczność wymyślenia rozbudowanego kłamstwa na jej użytek. Historii życia, jakiego nie miał. Kiedy ona chce poznać jego przyjaciół, co odpowiada? Że nie ma żadnych. Spędził dziesięć lat życia, kryjąc się przed światem i pracując. Nie ma kręgu przyjaciół, tylko kilku współpracowników. I nie ma zamiaru jej ich przedstawiać. To krępujące i trudne do wytłumaczenia. A jednocześnie to powód, dla którego wpuścił ją do swojego życia. Samotność rewolwerowca.

Około wpół do trzeciej rozlega się pukanie do drzwi. Calum czyta książkę, *Krwawe żniwo* Dashiella Hammetta, jeżeli chcecie wiedzieć. Bierze zakładkę – dostał ją w prezencie w księgarni Waterstones, razem z książką, jakieś dziesięć lat temu – i zaznacza co do linijki, gdzie skończył czytać. Jest cichy i spokojny, ale się zastanawia. Dzień po robocie, a tu pukanie do drzwi. Niespodziewane. To uzasadnia zaniepokojenie. Kiedy budujesz sobie życie singla, niespodziewane pukanie do drzwi to rzecz niemożliwa. Podchodzi i wygląda przez wizjer. George Daly. Jeżeli ktoś jest jego przyjacielem, to właśnie on. Co nie oznacza, że Calum mu ufa. George to miły gość, ale ludzie, którzy sprawiają, że stajesz się mniej ostrożny, to ci, których należy się obawiać. Dzień po robocie, a pod jego drzwiami staje George. Dziwne.

Calum powoli otwiera drzwi, spoglądając na George'a. Żadnej broni, ale niczego innego się nie spodziewał. George nie jest zabójcą. Całe lata spędził, starając się nim nie zostać. Byłby w tym pewnie dobry, gdyby chciał, ale nie chce. Nigdy nie powiedział tego głośno, ale nie chce przekroczyć cienkiej czerwonej linii. Może kogoś pobić, zastraszyć, żeby spłacił dług Jamiesonowi, ale nic ponadto. Jest najlepszym karkiem Jamiesona, mimo że nie jest szczególnie umięśniony. Jest niższy od Caluma, niewiele szerszy w barach. To naprawdę nie o to chodzi. Dobry kark to taki, który umie się bić, wie, jak surowa ma być kara, podchodzi indywidualnie do każdej roboty. Nie wystarczy stłuc kogoś na kwaśne jabłko. Każdy musi dostać dokładnie tyle, na ile zasłużył. Musi wiedzieć, że jeżeli znowu nawali, to następnym razem będzie gorzej. Dobry kark to ktoś, kto wie, gdzie postawić granicę, i nigdy jej nie przekroczy.

– Cześć, człowieku, co słychać? – George uśmiecha się, czeka na zaproszenie do wejścia.

– Ach, niewiele. A co u ciebie?

– Nic wartego wzmianki. Nudziłem się jak mops. Pomyślałem, że odpalimy twoją konsolę, popykamy parę godzin, a ty mi opowiesz o wszystkich wadach bycia w stałym związku.

Calum uśmiecha się mimo woli. Żaden stały związek nie przytrafił się jak dotąd George'owi. To może nie być taki zły pomysł. Dlaczego kumpel miałby nie wpaść z wizytą? To normalne, a tego wrażenia właśnie ci trzeba nazajutrz po robocie. Niech ci, co patrzą, widzą, że nie dzieje się nic niezwykłego.

– Wejdz – mówi, otwierając szerzej drzwi.

George siedzi teraz na kanapie, mocując się z dżojstikiem. Wygłosił już swoje zwyczajowe teksty, ponarzekał na brak piwa w lodówce, na brak fajnych strzelanek na PS3, a potem na to, że znowu musi na to narzekać. Calum patrzy, jak George wychyla się w lewo i w prawo, skręcając na kolejnych skrzyżowaniach. Nie wygląda,

jakby miał przekazać ostrzeżenie. Podejrzenie, że Jamieson posłał przyjazną twarz, żeby przekazać jakąś wiadomość, było nieuzasadnione. Zbyt długo to już trwa. George nie owijałby w bawełnę. Nie wspominał o zeszłej nocy. Może naprawdę nic nie wie? Może zjawił się z własnej woli, a zostałyby w domu, gdyby wiedział. Albo Young posłał go, żeby sprawdził Caluma, albo będzie na niego wściekły za tę wizytę. Zaczyna wyglądać na to, że raczej to drugie.

George plotkuje o ludziach z branży. Zwykle Calum nie jest tym zainteresowany, ale dobrze jest wiedzieć, co w trawie piszczy. Dobry zabójca słucha i dowiaduje się, ile zdoła, o ewentualnych przyszłych celach. Zatem Jamie Stamford wisi forszę braciom Allen, którzy tak naprawdę są kuzynami. Jeżeli to dla was istotne, jest im winien osiemdziesiąt tysięcy długów hazardowych. Nie chce oddać, twierdząc, że został przez nich oszukany. Co jest bzdurą; po prostu nie ma tej forsy. Dług jest na tyle duży, by wywołać napięcie pomiędzy Allenami i szefem Stamforda, Alexem MacArthurem. MacArthur to gruba ryba; Allenowie też nie narybek, więc mogą być kłopoty. Wygląda na to, że jeden dostawca, pracujący dla obu stron, już odszedł od Allenów. Dla ludzi w rodzaju Jamiesona są to kłopoty oznaczające zysk.

Mówi się również, że jeden z najlepszych dilerów Słodasa został w nocy zastrzelony przez swego najlepszego kumpła, co jest okolicznością szczęśliwą. Wygląda na to, że kumpel też się zastrzelił, więc przyjemność jest podwójna. Nazywał się Tommy Scott. George wpadł chyba kiedyś na niego, gdy Scott pracował dla kogoś innego, ale nie jest pewny. No i jacyś idioci zrobili najazd na drukarnię Bobby'ego Petersona. On wini Marty'ego Jonesa, bo pokłócili się o ten czy inny interes, ale Marty zaprzecza. Jeszcze usilniej od czasu, gdy dowiedział się, że Jamieson ma udziały w drukarni.

I tak to idzie. Te same opowieści – tylko personalia zmieniają się mniej więcej co tydzień. Problemy innych ludzi, nie licząc Tommy'ego Scotta. George najwyraźniej jeszcze nie wie. On też wierzy, że zastrzelił go Ciemniak McClure. Wygląda na to, że historyjka chwyciła, czyli idealnie. Od pewnego momentu ludzie w ogóle nie będą brać pod uwagę innej wersji.

– Jakieś wieści od naszych przyjaciół z komendy? – pyta George. Wie, że Glen Davidson dzwonił do Caluma przed próbą zabicia go. Policja musiała odkryć to w jego billingach, trudno uwierzyć, by nie sprawdzili. A jednak panuje cisza.

– Nic od nich nie słyszałem – wzrusza ramionami Calum – ale z pewnością mają mnie na celowniku. – To okropna myśl. Lata spędzone na życiu w cieniu. Gdy cię zauważą, już po tobie. Mogą go obserwować, czekać na kolejną robotę. Taką jak ta.

Dochodzi piąta, gdy dzwoni telefon George'a. Zerka na ekran.

– Cholera, to Young. Czekaj. – Wychodzi do kuchni, jest niemalże poza zasięgiem

głosu. Calum słyszy urywki rozmowy. Mówi głównie Young; George od czasu do czasu niechętnie przytakuje. Trwa to mniej więcej pół minuty. George wraca, chowając telefon do kieszeni. – Cóż – mówi – zdaje się, że ktoś wreszcie wpadł na dobry pomysł i pchnął nożem Neila Fräsera. Ale schrzanił robotę; facet żyje i ma się nieźle. Jest w szpitalu Western General, z nikim nie rozmawia. Jest tak durny, że nie potrafiłby wymyślić najprostszego kłamstwa. Mam tam pojechać i dowiedzieć się, kto to zrobił. Young obawia się, że mógł to być ktoś od Słodasa.

Calum wydyma wargi.

– Myślisz?

– Nie, to nie w ich stylu. Są lepsze cele niż ten głupek. Pewnie sam zaczął. W każdym razie muszę lecieć. Trzymaj się.

Fraser to kark bardziej klasyczny w stylu, pracujący dla Jamiesona. Muskularny, na początek. Wygląda groźnie, ale nie ma rozumu za grosz. Wygląda na to, że sam George znalazł się pod presją, zobowiązany ustalić, co się wydarzyło. To jednak już Caluma nie interesuje.

Popołudnie niepostrzeżenie przechodzi w wieczór. George poszedł, by sprzątać bałagan po kimś innym. Jak często musi to robić? Zapewne co tydzień. Zabójcy przytrafia się coś takiego raz w życiu. Calum pewnie już nigdy nie dostanie podobnego zadania. I Bogu dzięki. To nieprzyjemna robota. Można tylko reagować na to, co spowodowali inni. W ten sposób nie da się zrobić czystej roboty. Jest to sytuacja z gatunku tych, na których się w końcu przejedziesz. Trudno nie martwić się o George'a. Jest bystry, ale to może nie wystarczyć. Jeżeli dalej będą posyłać go na trudne odcinki frontu, inteligencja mu nie pomoże. Jest ich najlepszym karkiem, więc będą go wysyłać. Calum nagle się uśmiecha. Coś się zmienia; martwi się o przyjaciela.

Mijają dwa dni od tamtej nocy. Nic. Milczenie. Po każdej innej robocie byłby zadowolony. Zazwyczaj cisza w eterze zostaje przerwana tylko wtedy, gdy coś poszło nie tak po akcji. Tutaj coś poszło bardzo nie tak w jej trakcie. Frank oczekiwał telefonu od Younga. Przyjacielska pogawędka, zaproszenie do klubu. Young mówiłby to luźno, niezobowiązująco. To w jego stylu. Frank zjawiłby się, pogadał z Jamiesonem, omówiliby, co się stało. Porozmawialiby o przyszłości. Jakiej przyszłości? Powinni byli już zadzwonić. To tylko grzeczność. Zgoda, niezbyt to profesjonalne, ale muszą wiedzieć, że czeka. Po tym, co się stało, Peter musi wiedzieć, że Frank siedzi w domu i czeka, aż zadzwoni telefon.

Nie jest naiwny. Za długo w tym robi. Zbyt wielu widział takich, którym powinęła się noga, by sądzić, że jemu nie może się to przytrafić. Z pewnością o nim rozmawiali. Wczoraj był na ustach wszystkich przez cały dzień. Jak on by to zrobił? Jak Frank prowadziłby wewnętrzne dochodzenie dotyczące spartolonej mokrej roboty? Przede wszystkim, zanim porozmawiałby ze sprawcą całego zamieszania, starałby się ustalić jak najwięcej faktów. Tak byłoby sprytnie. A Peter Jamieson, cokolwiek by o nim powiedzieć, jest człowiekiem, któremu sprytu nie brakuje. To znaczy, że rozmawiał z Calumem. Kolejny typ trudny do przejrzenia. Kolejny bystrzak. Nie chce mu się pracować dla Jamiesona. To dobrze dla Franka. Calum nie będzie chciał być jedynym cynglem w organizacji. Frankowi przychodzi do głowy, że powinien był włożyć więcej wysiłku, żeby zaprzyjaźnić się z Calumem. Już dawno temu dostrzegł jego potencjał. To on, Frank, polecił go Jamiesonowi. Powiedział mu, że Calum to najlepszy młody pistolet w mieście. I najlepszy wolny strzelec, bez względu na wiek. To Frank go wciągnął. Lubi Caluma, szanuje go na tyle, by zachować dystans. Chłopak chciał, by go zostawić samego, więc go zostawił. A teraz nie czuje się na siłach, by do niego zadzwonić.

Robi się popołudnie. Telefon wciąż milczy. Na dworze pada, ale Frank jest znudzony i powinien przestrzegać normalnego trybu życia. Przejdzie się do pubu, wychyli kufelek, potem zajdzie do spożywczego na rogu po zakupy. W ten sposób zabije godzinę lub dwie. Długie, nudne dni, kiedy nic się nie dzieje. Jeżeli nie lubi się tego, co nadają w telewizji, a naprawdę się nie powinno, to nuda staje się prawie nie do zniesienia. Dzieciakom jest trochę łatwiej. Mają te swoje komputery i co tam jeszcze. Jeżeli dojrzewało się w innej epoce, jest trudniej. Trudniej pozostać profesjonalistą. Frank dorastał w epoce, w której chodziło się do pubu. To właśnie się robiło. Jeżeli chciało się wtopić w tłum, uchodzić za kogoś zwyczajnego, szło się do pubu.

Założył kurtkę. Parę dni temu kusiło go, żeby kupić sobie czapkę z daszkiem, ale się opanował. Zawsze czuł się młodo. Jakby miał trzydzieści czy czterdzieści lat. Jego styl życia niewiele zmienił się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Jakby w ogóle się nie starzał. Łatwo było w tę iluzję uwierzyć. Teraz o wiele trudniej. Dwadzieścia lat przemknęło w dwa dni. Jest podstarzałym facetem ze sztucznym biodrem i niepewną przyszłością. Czuje to. Ostatnie zerknięcie na telefon. Nic. Tego popołudnia już nie zadzwonią. Przez próg i na deszcz. Trenować biodro. Nie skostnieć; niech mięśnie pracują. Coś, o czym myślą tylko starzy ludzie.

W drodze do pubu mija trzech młodych mężczyzn. Nie patrzy na nich, nie nawiązuje kontaktu wzrokowego. Trzech młodzieńców w dresach. Żaden z tych mężczyzn nie przebiegł nigdy okrążenia po bieżni. Jeden prowadzi psa na smyczy. Nie jedną z tych muskularnych bestii, jakich tyle się dzisiaj widuje, ale smutnego i zmokniętego owczarka collie. Frank jednak zna ludzi tego typu. Małolaty, które uważają się za panów świata. Gdy spotykają kogoś takiego jak on, uważają go za łatwy cel. Miękki punkt. Nigdy nie przysłoby im do głowy, że zabił tak wielu. Nie potrafią sobie wyobrazić, jak może być groźny. Nie ma im tego za złe. Kiedyś sam był taki. Zaczynał jako kark. Myślał, że jest duży i silny. Człowiek zaczyna w sobie wierzyć. Że starszycy na ulicy są słabi, a on jest silny. Potem spotkał Dennisa Dunbara.

Chudy facecik po pięćdziesiątce. Łysina na czubku głowy, cienki wąsik. Wyglądał jak żart. Nosił za duże płaszcze. Frank widział go tu i tam parę razy, ale nic sobie nie pomyślał. Wiedział, że Dunbar pracuje w branży – mógł być bukmacherem, fałszerzem albo kimś takim. Potem ktoś powiedział Frankowi, że Dunbar chce się z nim spotkać. Frank poszedł do domu Dennisa, na ładnym osiedlu w dzielnicy dla klasy średniej, kiedy takich miejsc było jeszcze bardzo mało. Dunbar zaprosił Franka do środka. Powiedział, że ma dla niego robotę. Chodziło o zastrzelenie jednego gościa. Bez obaw jednak; pójdą razem. Od Dunbara Frank nauczył się wielu podstawowych rzeczy. Rutynowych czynności. Jak się maskować. Jak pozbyć się broni. Im więcej dowiadywał się o swoim mentorze, tym bardziej go podziwiał. Dunbar miał na koncie parę tuzinów zabójstw, co wydawało się niewiarygodne. Teraz, czterdzieści lat później, Frank miał na koncie jeszcze więcej.

Minął małolatów. Nie interesowali się nim. Naucz się nie zwracać na siebie uwagi. Nie kuśtykaj jak dziadek, nie okazuj słabości. Ale też nie stawiaj się. Wybierz drogę środka. Wchodzi do pubu, zamawia piwo. Nie będzie pił przy barze; barman mógłby go zagadywać, a tego Frank chce uniknąć. To obskurny lokal, klienci też wyglądają obskurnie. Typ, który zawsze ma coś do powiedzenia. Weź piwo i idź do stolika w rogu, usiądź tyłem do sali. Bądź żalonym starym dziadkiem, który przychodzi się napić i nic nie mówi. Nawet jeżeli barman zna jego imię, to osobiście się nie poznali.



Frank siedzi przy stoliku, odwrócony plecami do tych niewielu gości, którzy w tej chwili są w pubie. Zawsze jest ich niewielu, ale nawet i oni powinni być gdzie indziej. Wezmą Franka za starszego gościa przepijającego emeryturę. Zawsze uważał, że wygląda młodo. Że inni postrzegają go tak, jak on postrzega sam siebie. To też się zmienia. Od jakiegoś czasu. Od Dunbara nauczył się, że to dobrze. Niech ludzie widzą cię takim, jakim chcą, nie narzucaj im określonego wizerunku. Niech widzą cię własnymi oczami, nie twoimi.

Za jego plecami przechodzą ludzie; nie odwraca się. Mógłby robić to w domu. Mógłby siedzieć z butelką albo puszką piwa i pić do lustra. Przyszły takie czasy, że wolałby. Tyle że nie tego oczekują ludzie od kogoś z jego pokolenia. Praca zmusza Franka do zachowywania się zgodnie z ludzkimi oczekiwaniami. To zabija czas. Ale dość już martwego czasu na dzisiaj. Traci ochotę, by się tym przejmować. Wewnętrzna dyscyplina się rozluźnia. To niedobrze. Wstaje i wychodzi, nie patrząc na nikogo. Zawsze jest ta pokusa, żeby się odwrócić i powiedzieć im prawdę o sobie. To, że świat ma cię za frajera, może być dobre ze względu na robotę, ale jest denerwujące. Samotny gość w podeszłym wieku. Stary kawaler. Bezdzienny. Prawie bez przyjaciół. Może to i prawda.

Wchodzi do spożywczego na rogu. Weźmie tylko parę rzeczy. Zakupy dla singla. Nie ma potrzeby brać koszyka. Zawsze żył prosto. Jednym z problemów przy pracy w branży jest wyjaśnienie źródeł przychodów. Głupcy szastają pieniędzmi i oczekują, że nikt się tym nie przejmie. Że ludzie nie złączą się dziwić i niuchać. Jeżeli nie potrafisz wyjaśnić, skąd masz pieniądze, które wydajesz, to nie możesz ich wydawać. Potrzebujesz więc lipnej posady. Frankowi zawsze załatwiali to jego mocodawcy; to jedna z korzyści wynikających z pracy dla dużych organizacji. Jamieson zatrudnił go jako konsultanta do spraw bezpieczeństwa w klubie i kilku pubach, które posiada. Konsultant do spraw bezpieczeństwa to szerokie pojęcie. Nikt nie udowodni, że nie doradzał. Nikt nie udowodni, że jego rady nie są warte tych trzydziestu czterech tysięcy funtów, jakie Jamieson płaci mu rocznie. Do tego dochodzi kolejne dwadzieścia do trzydziestu tysięcy w premiach, w zależności od tego, ile ma robót. Pieniądze przychodzą z legalnych rachunków Jamiesona. Ktoś mógłby niuchać, ale nie dowie się niczego interesującego.

Płaci przy kasie. Niewiele wyszło. Żyje oszczędnie. Zawsze tak było. Pomimo przykrywki, jaką ma, zawsze się tym przejmował. Pieniądze to pułapka. Coś, przez co niejednemu w branży powinęła się noga. Rzeczy takie jak kobiety czy arogancja są niebezpieczne, ale nie uniwersalne. Pieniądze tak. Jedni nałogowo oglądają się za spódniczkami i to ich gubi. Inni mają obsesję na punkcie własnej ważności, nie potrafią opanować ego. Wszyscy potrzebują pieniędzy. Potrzeba ich, by przeżyć. Człowiek próbuje ukrywać, że ma forszę, ale w końcu musi zacząć wydawać. Ktoś to

odkrywa. Pieniądze to największy sojusznik glin. Franka zawsze to trapi. Zbyt wielu widział takich, którzy przez pieniądze poszli siedzieć. Gliny nie miały na nich niezbitych dowodów, ale oni nie potrafili wyjaśnić, skąd mają pieniądze. Frank nigdy nie żył ponad stan. Teraz ma kupę forsy w banku, ale nie ma nic, na co mógłby ją wydać.

Wraca do domu, odkłada torbę z zakupami. Sprawdza telefon – nikt nie dzwonił. Gdyby go szukali, po domowym zadzwoniliby na komórkę. Nie odebrałby w pubie, tylko wróciłby prosto do domu. Ale nie szukają. Siedzi teraz w dużym pokoju. Telewizor jest wyłączony, ale i tak się w niego wpatruje. Zastanawia się, czy go włączyć. Zastanawia się po co. Włączyć. Przelecieć po kanałach. Wyłączyć. Kolejne zmarnowane dziesięć minut życia. Każda minuta to strata. Po prostu przyjmij do wiadomości to, co już wiesz. Wyślą go na emeryturę. Nie mogą trzymać go po czymś takim. Może – ale tylko może – Peter Jamieson będzie miły; da mu ostatnią szansę. Nie, żadnych drugich szans. Nikt nie dostaje drugiej szansy. Jamieson byłby głupi, gdyby to zrobił. Każdy dostaje jedną szansę i koniec. Jego szansa i tak trwała o wiele dłużej niż średnia.

Większość ludzi od mokrej roboty rozstaje się z tym światem z hukiem. Frank wciąż tu jest. Przetrwał dłużej, niż powinien był. Emerytura, starość, to nie są rzeczy, które zwykle spędzają sen z powiek ludziom w jego zawodzie. Co innego Young czy Jamieson; oni mogą się spodziewać, że dożyją starości. Wielu ludzi ze szczytu hierarchii odeszło w chwale w wieku siedemdziesięciu czy osiemdziesięciu lat. Niewielu rewolwerowców. Większość osiąga szczyt kariery, mając trzeci czy czwarty krzyżyk na karku. Niewielu pozostaje aktywnych po sześćdziesiątce. W ogóle jest ich mało. Czasem garstka, czasem tuzin czy coś koło tego. Raz na jakiś czas robi się gęsto i wtedy jest ich w mieście więcej niż zwykle. Zazwyczaj wtedy, kiedy toczy się jakaś wojna. Czasem dzieje się to naturalnie i ktoś musi ustąpić. W tym momencie około tuzina zawodowców pracuje dla siedmiu czy ośmiu organizacji. Oprócz tego może być siedmiu czy ośmiu wolnych strzelców, którzy pracują rzadziej, ale również na profesjonalnym poziomie. Kilka miesięcy temu Frank uważał się za lepszego od nich wszystkich. Teraz czuje się pokonany.

Peter Jamieson. Słodas Francis. John Young. Glen Davidson. Calum MacLean. Pierwszych trzech można pominąć, bo to oczywiste. Chodzi o dwóch pozostałych. Zwłaszcza tego ostatniego. Fisher myśli o nich od tak dawna. Próbuje uruchomić porządne śledztwo. Zebrać fundusze, ludzi do pomocy. Nic. Wszystko, co ma, to wątki trop związany ze śmiercią Lewisa Wintera. Śmiercią, o której większość ludzi zapomniała jeszcze tego samego dnia. Próbuje powiązać te nazwiska. Zdobyć informacje, które cokolwiek rozjaśnią. Ale panuje milczenie.

Parę rzeczy ma teraz sens. Rzeczy, o których wcześniej nie wiedział. Słodas postanowił wejść na rynek narkotykowy, to pewne. To wyjaśnia kilka spraw. Głupi ruch. Próbuje wywalczyć sobie teren kosztem Petera Jamiesona. Niebezpieczne posunięcie. Ale co dalej, Fisher nie ma pojęcia.

Lewis Winter mógł pracować dla Petera Jamiesona albo dla Słodasa. Dzisiaj, wiele miesięcy po śmierci Wintera, Fisherowi wydaje się, że raczej dla Słodasa. Ale nie ma na to żadnych dowodów. Czysta zgadywanka. Jamieson nie potrzebowałby kogoś takiego jak Winter. To był desperat. Słodas potrzebował Wintera, bo ten był gotów ryzykować w jego imieniu. Co oznacza, że Jamieson najpewniej zlecił likwidację Wintera. Tutaj najprawdopodobniejszym kandydatem byłby Glen Davidson, ale wszystko zmieniło się po lekturze billingów telefonicznych. Ten sukinsyn Greig przychodzi i mówi mu, że Davidson zniknął. Przedstawia to tak, jakby Davidson załatwił Wintera i zwiął. Fisher nie widywał ostatnio policjanta Paula Greiga. Nie wychyla się. Spotyka go czasem na komendzie, ale jego nazwisko nie pojawia się tak często jak kiedyś. Greig stara się nie rzucać w oczy. Słusznie. Fisher czeka na dzień, kiedy Greigowi wreszcie powinie się noga.

Kiedy myśli o skorumpowanych glinach takich jak Greig, rzygać mu się chce. Potem zapomina, o czym myślał. Davidson. Billingi telefoniczne. Wynikało z nich, że Davidson dzwonił do Caluma MacLeana na dzień przed swoim zniknięciem. Ten MacLean. Dziwna postać. Facet dobiegający trzydziestki, który zdaje się, że nigdy w życiu nie pracował. Najwyraźniej żyje z zasiłku chorobowego. Staje raz na rok przed komisją, łąże jak najęty, udaje mu się. Niektórzy są w tym dobrzy. Udawana choroba psychiczna. Ból kręgosłupa. Jakiś problem z mięśniami, którego przyczyny lekarze tak naprawdę nie potrafią ustalić. Ci naprawdę sprytni posyłają na komisję kogoś, zamiast pójść samemu. W aktach nie ma zdjęć. Jeżeli zgadzają się i wiek, i rodzaj schorzenia, i ta sama osoba zgłasza się na komisję od początku, to zwykle uchodzi im to na sucho. Niejeden naprawdę chory dorabia w ten sposób na boku. Pomagając przestępcom ukrywać się pomiędzy niezdolnymi do pracy.

MacLean udziela się w branży, chociaż żaden z informatorów Fishera zdaje się go nie znać. Przesłuchanie ludzi z jego otoczenia tylko go zaalarmuje, że jest na celowniku. Jeżeli będzie myślał, że nikt o nim nie wie, to prędzej się potknie. Na razie tylko tyle: na celowniku. Praktycznie nic nie mają na MacLeana. Poza tym są sprawy bardziej niecierpiące zwłoki.

Badanie toksykologiczne Scotta i McClure'a przyniosło dość niespodziewane wyniki. Ślady substancji psychoaktywnych we krwi tego ostatniego, ale sprzed kilku dni. Alkohol u obu, ale znowu, spożyty na co najmniej szesnaście godzin przed śmiercią. Tamtego dnia żaden nie pił ani nic nie brał. Co by oznaczało, że McClure zastrzelił najlepszego kumpla, a potem siebie, będąc zupełnie trzeźwy. Fisher nie jest przekonany. Nie jest przekonany, że McClure zrobiłby to w upojeniu alkoholowym albo na haju, a jeszcze mniej, że zrobiłby to, będąc trzeźwy. Niczego to nie dowodzi. Nie daje mu niczego, czego mógłby z sensem użyć. Ale buduje obraz. Ci dwaj byli trzeźwi i czysti. Najlepsi kumple, którzy w ciągu paru godzin zamienili się w śmiertelnych wrogów. Nie, nie kupuje tego.

Brzydki dzień. Z ciemnoszarego nieba siąpi deszcz. Kolejne śledztwo prowadzące donikąd. Zbyt wiele ich ostatnio. W końcu do człowieka może przyłgnąć opinia kogoś, kto nie potrafi zamknąć sprawy. Zdarza się to nawet dobrym glinom. Można mieć niefart. Parę razy po kolei przydzielą człowiekowi sprawę nie do rozgryzienia i etykieta gotowa. Są też kiepscy gliniarze, którzy w jakiś sposób dochrapali się opinii tych, którzy kończą. Efektywnych. Gliniarze niezasługujący na tę opinię. Fisher potrząsa głową. Wokoło jest wielu takich, którzy – gdyby to od niego zależało – w ogóle nie pracowaliby w policji. On zrobiłby to inaczej. Zbyt wielu karierowiczów. Goniących za sławą. W tym momencie znowu włącza mu się stereotyp zrzedliwego gliny o wyśrubowanych standardach i dobrym sercu. To sprawia, że ponownie potrząsa głową.

Przez cały dzień ganiłi za informatorami, próbując czegoś się dowiedzieć. Nawet Davies udawał zajętego. I wciąż nic. Mozolne zbieranie fragmentów. Jedno stało się jasne: Scott błyskawicznie piął się do góry i równie szybko skończył. Pracował dla Słodasa, ale od niedawna. Od miesiąca, może mniej. Pracował szybko i dobrze. W krótkim czasie zbudował niewielką siatkę, wykorzystując wszystkie posiadane kontakty, goniąc ludzi do roboty. W ciągu tygodni z nikogo stał się kimś, kto zagraża interesom Jamiesona. Najwyraźniej to właśnie zamierzał. Wygryźć z rynku ludzi pracujących dla Petera Jamiesona. Poprawka – prawdopodobnie pracujących dla Petera Jamiesona. Trudne do udowodnienia. Tak twierdzą informatorzy, i Fisher im wierzy. Problemem są dowody. Żaden z tych dilerów nigdy nie poznał Jamiesona; większość zapewne nie wie, że dla niego pracuje. Za sprytny jest na to. A jednak to ciekawe. Lewis Winter rzuca wyzwanie Jamiesonowi i wkrótce ginie. Teraz Scottowi

przytrafia się to samo. Obraz się maluje.

Wszystko robione w pośpiechu. To był sekret powodzenia Tommy'ego Scotta. Ludzie nie wiedzieli, jak powstrzymać coś poruszającego się tak szybko. Zapewne to również przyczyna jego upadku. Wszystko w pośpiechu. Błędy. Na przykład broń. Fisher jest o tym przekonany. Scott nie chodziłby ze spluwą, sprzedając towar po osiedlach czy jeżdżąc z gangiem. Miałby na pewno nóż, ale raczej nie broń palną. I ten czysty gnat pojawia się nagle przy ciele martwego McClure'a. Może – ale tylko może – zorganizował sobie spluwę, gdy zaczął pracować dla Słodasa. Scott zdawał się wiedzieć, że otwiera się przed nim perspektywa kariery. A jednak wciąż jest prawdopodobne, że broń miał najwyżej od kilku tygodni. A raczej dni.

Zakłada kurtkę, opuszcza budynek, idzie do samochodu. Przepytał już praktycznie wszystkich informatorów, i nic. Podobnie inni oficerowie pracujący nad sprawą. Nic dziwnego. Większość informatorów wciąż sądziła, że Scott pracuje solo. Koleś na rowerze, tak go nazywali. Ale znali go, co pokazywało, że był bardziej utalentowany od innych.

Spotkanie z jeszcze jednym informatorem. Ten jest trudny. Z niektórych się korzysta, bo nie warto ich aresztować. To ludzie, których szefowie są w stanie wymienić w ciągu godziny. Lepiej mieć takich niż żadnych. Ale są też tacy informatorzy jak Mark Garvey. Fisher zbliżył się do niego tylko po to, by go aresztować. Handlarz bronią. Kupuje i sprzedaje, kładąc broń w ręce morderców. Sprytny handlarz. Fisher zbliżył się do niego, ale Garvey wiedział po co. Doskonale zaciera za sobą ślady, świetny manipulator. Zawsze chętnie podzieli się informacją. Zawsze chętnie skieruje twoje zainteresowanie na kogoś innego.

Zorganizowanie spotkania zajęło pół dnia. Parking pod supermarketem. Zabrać stamtąd Garveya, przejechać się, pogadać, odwiedzić z powrotem. Im są więksi, tym ostrożniejsi. Garvey jest wystarczająco duży. Fisher powinien był go już aresztować. Nie nadarzyła się żadna okazja. Nie nadarzyła się i, szczerze mówiąc, zanadto jej nie szukał. Zbyt wartościowy kontakt. Nie powinno się korzystać z kogoś jako informatora, kiedy należałoby go aresztować.

Skreca na parking, parkuje, tak jak się umawiali, przy pojemnikach na odpady. Siedzi, słuchając radia przez cztery minuty, wreszcie drzwi się otwierają i do środka wsiada pasażer. Po pięćdziesiątce, ale wygląda młodziej. Pewnie farbuje sobie włosy, stary głupek. W tym wieku mógłby już wiedzieć lepiej. Żona, zdaje się, około trzydziestki. Trochę cwaniak, lubi dźwięk własnego głosu. Mimo to sprytny; mówi dużo, ale żadne z jego słów nic nie znaczy. Pożyteczna umiejętność.

Wyjeżdżają z parkingu, nic jeszcze nie powiedziawszy. Nie będą udawać przyjaciół. Niektórzy informatorzy się spoufalają – ci głupszy. Zdają się wierzyć, że

zdołają się zaprzyjaźnić, i to ich w jakiś sposób ochroni. Ale Garvey nie jest z takich.

– Słyszałeś o Tommym Scotcie – mówi Fisher, nie spuszczać wzroku z jezdni. Nie jest to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. Jeżeli Garvey nie słyszał, to powinien się dowiedzieć.

– Słyszałem. On i jego kumpel. Strasznie przykre. Ale to się zdarza. Wiesz o tym lepiej ode mnie. Jaki procent zabójstw popełniają ludzie, których już znasz?

To bzdurne pytanie.

– Chcę wytropić pochodzenie broni, z której padły strzały. Chcę wiedzieć, skąd ją wzięli.

– Cóż, nie sądzę, żebym wiedział cokolwiek o nielegalnym kupowaniu i sprzedawaniu broni, panie detektywie – mówi Garvey. Gra pozorów. Ostrożność. Nigdy nie mów nic prywatnie, czemu potem musiałbyś publicznie zaprzeczać.

Fisher nie ma czasu na takie gierki. Może to dlatego nie ma tylu informatorów, ilu sądzi, że powinien mieć. Dla większości agresywny gliniarz jest odstraszaający.

– Ale mogę opowiedzieć plotkę o tych dwóch, jaka do mnie dotarła. Nie wiem, na ile to prawda, ale opowiedzieć mogę. – Garvey wzrusza ramionami.

– Słucham.

– Mówi się, że dzień przed śmiercią chodzili po mieście, szukając spluwy. Odwiedzili kilka adresów, nikt nie mógł im pomóc. Tak słyszałem. Wie pan, takie dzieciaki nie mają reputacji. Nikt nie zaryzykuje sprzedania im czegokolwiek. Słyszałem, że odeszli z pustymi rękami. Ale to, co się stało, zdaje się temu przeczyć.

Fisher prowadzi, patrzy na drogę. Szukali pistoletu i nie znaleźli. To możliwe. Wciąż jest bardziej prawdopodobne, że broń należała do nich, ale nie jest niemożliwe, że do mieszkania wniósł ją tej nocy ktoś inny. Ktoś wchodzi, zabija ich, wkłada pistolet jednemu z nich do ręki, pozoruje zabójstwo połączone z samobójstwem. Po śmierci nikt ich nie ruszał. Ślady krwi na ścianach sugerowały, że umarli tam, gdzie leżeli. Ale może nie od własnej broni. Znowu nie jest to nic, co dałoby się udowodnić, ale pomaga budować obraz.

– Czy to wszystko, czym chcesz się ze mną podzielić? – pyta Garveya. Podziel się, bo jeżeli się dowiem, że coś ukryłeś, będziesz miał kłopoty. Taka jest sugestia.

– To wszystko, co wiem o Scotcie i jego kumplu. Scott był mózgiem, jeżeli jeszcze pan do tego nie doszedł. Ale pewnie pan wie, że gość o ksywce Ciemniak nie mógł być mózgiem operacji. On był tylko na przyczepkę. Zdziwiłem się, że Scott miał mózg. No, ale teraz już pewnie nie ma – chichocze Garvey.

Wypuszcza go pod supermarketem. Nieprzyjemna postać. Któregoś dnia będzie musiał coś z nim zrobić. Są gorsi handlarze w mieście, ale nie o to chodzi. Jedzie

z powrotem na komendę. Potrzebuje celu. Nie ma tropu, którym mógłby pójść, musi więc znaleźć sobie cel. Jamieson by pasował. Gruba ryba. W każdym razie z tych grubszych. Grubsza niż Słodas Francis. Nie minie dużo czasu, nim rzuci wyzwanie jednemu z trzech rekinów na lokalnych wodach. Jednej z trzech dominujących organizacji. Jamieson ma dość talentu, by pokonać jedną z nich, a samemu stać się siłą dominującą. Ale Fisher nie ma dość dowodów, by ścigać Jamiesona. Lewis Winter, a teraz Tommy Scott. Ich śmierć była na rękę Jamiesonowi. To zazwyczaj dobra wskazówka. Ale może też Słodasowi. Na niego wskazuje tamten telefon. Pracownicy robią go w konia, bo jest nowy; postanawia ich ukarać. Davidson pasuje do tego przynajmniej częściowo. Byłoby jeszcze lepiej, gdyby się dowiedział, kim jest Calum MacLean. Psiakrew! Chodzenie w kółko. Zbyt często mu się to zdarza. Ale teraz na horyzoncie pojawił się nowy potencjalny informator.

Jedną z najlepszych rzeczy w byciu kierowcą jest to, że nie ma się zbyt wiele do roboty. Kenny pracuje może cztery dni w tygodniu. Dni, kiedy pracuje, są długie, ale wypełnione głównie nicnierobieniem. Głównie czekaniem. Nuda, trzeba mieć sporo cierpliwości. Najważniejsze, z czego szybko zdał sobie sprawę, to nie narzekać. Większość ludzi sądzi, że bycie kierowcą to pierwszorzędna fucha. Dostaje się dobrą forszę za coś, co mógłby robić każdy. Mniej się ryzykuje niż reszta. Zaczynaj narzekać, a pomyślą, że z byka spadłeś. Rób swoje i pamiętaj, że większość ludzi będzie niepotrzebnie narzekać. To wyłączny powód, dla którego wiezie teraz Jamiesona.

Jest niezły w tym, co robi. Zna miasto, wie, jak się po nim poruszać. Regularnie sprawdza ważniejsze trasy, jeździ po to, żeby jeździć. Nie można być kierowcą, który się gubi. Ale nawet to jest nudne. Ludzie nie rozumieją. Zarabia dwadzieścia dwa tysiące rocznie, nudząc się na usługach gangsterów. To ta ostatnia rzecz go bodzie. Pieniądze są super – więcej niż zarobiłby gdziekolwiek indziej. Wie, że nie jest na tyle bystry, by się dorobić. Ma trzydzieści siedem lat; tak naprawdę nic innego w życiu nie robił. Ma stałą dziewczynę, ale nie mają dzieci. Nie jest całkiem wierny, ale ona jemu też nie. Oboje o tym wiedzą, ale potrafią z tym żyć. Jest to dobry układ, którego żadne nie chce porzucić. Ona robi czasem aluzje, żeby poszukał sobie porządnej pracy. Boi się, że skończy na ławie oskarżonych. A może nawet bardziej, że ona sama tam skończy. Kiedy ktoś gdera ci odpowiednio długo, zaczynasz się martwić.

Od jakiegoś czasu zaprzęta mu to głowę. Od ponad roku, prawdę powiedziawszy. Raz prawie już to zrobił, ale wycofał się w ostatniej chwili. Nie miał śmiałości. Konsekwencje byłyby zbyt wielkie. Konsekwencje są wciąż te same, tylko on się bardziej martwi. Przyczyniło się do tego kilka rzeczy. Miło byłoby dostać od czasu do czasu pochwałę. Zyskać odrobinę uznania. Nie żeby za tym płakał, ale ma wrażenie, że wszyscy pozostali są członkami drużyny, a on jako jedyny jest tylko widzem. Chodzi też o Słodasa. Za długo to już trwa. Ludzie gadają. To, co słyszy, traktuje zawsze z rezerwą, ale w każdej plotce jest ziarno prawdy. Peter Jamieson nie powinien tak długo patyczkować się z kimś takim jak Słodas. Powinien był zakończyć sprawę wiele tygodni temu, a jednak ona wciąż trwa. Jamieson musi robić więcej robót, żeby pokonać Słodasa. Im więcej robót, tym większe ryzyko błędu. Każdy członek organizacji Jamiesona ma prawo do niepokoju.

Kenny nie śpi od tego po nocach. Zastanawia się, czy nie spróbować jeszcze raz, ostatni. Zadzwoił, umówił spotkanie. Teraz musi zdecydować, czy się na nim pojawić. Poprzednio się nie pojawił, ale to było wtedy. Jamieson wydawał się mocny.



Wydawało się, że jest kimś, kto podbija miasto. Dzisiaj wygląda słabiej. Bardziej normalnie. Tym razem Kenny nie jest w stanie przekonać samego siebie, że przesadza, że zachowuje się jak baba. Tym razem naprawdę czuje, że musi to zrobić. Dlaczego miałby nie chronić siebie? Na pewno wielu innych też to robi. Wielu chłopaków z branży. Nie przyznaliby się do tego – za żadne skarby – ale ludzie jednak podejmują środki ostrożności. Na pewno nie jest jedyny. Co nie oznacza, że to jest w porządku. Nerwy są wciąż takie same.

Siedzi w aucie, w pobliżu miejsca, gdzie mają się spotkać. Mógłby odjechać. Gdyby ktoś go zobaczył – Jezu, nawet nie chce o tym myśleć! Miejsce spotkania wygląda jak zwyczajny dom. Ulica ze staromodnymi szeregowcami po obu stronach. Drzwi będą otwarte, trzeba tylko wejść. Trzy kroki i jest w środku. Wokół nikogo nie ma, w każdym razie nie na ulicy. Ale zawsze ktoś może wyglądać zza firanki. Ile razy słyszał ludzi narzekających na wścibskich sąsiadów? Ten jeden mały krok sprawia, że cierpi takie katusze. Jak oni to robią? Jak ludzie mogą dzień w dzień igrać z ogniem? Widocznie mają w sobie coś, czego on nie ma. A może jest odwrotnie. Otwiera drzwi i wysiada z samochodu. Zatrzaskuje drzwi, blokuje pilotem. Trzy długie kroki i jest przy drzwiach, otwiera je.

W środku panuje półmrok, co jakby pasuje. Jest w wąskim korytarzu. Idź do kuchni, on będzie tam czekał. Nie wspominaj o poprzedniej, nieudanej próbie spotkania. Nic, co mogłoby wprowadzić zamieszanie. Obaj chcą, żeby ta znajomość okazała się owocna. To możliwe. Tak myśli Kenny, idąc ku kuchennym drzwiom. Jest już i tak za późno, żeby się wycofać. Wszedłeś do środka. A jeżeli któryś z nich będzie rozczarowany? Przecież to niemożliwe, żeby obaj chcieli tego samego. Naciska klamkę. Facet siedzi przy kuchennym stole z kubkiem w ręku. Herbata albo kawa. Kenny ledwie poznaje człowieka. Ale to on, i jest sam. To początek. Skiniecie głową na powitanie. Zawsze mu mówiono, żeby się trzymał od takich z daleka. Nie myśl, że zdołasz ich przechytryć, oni zawsze działają przeciwko tobie. Nie wyświadczą ci żadnych przysług. Ale strachu nie powstrzymasz. Obawy, że w końcu cię złapią. Można przynajmniej spróbować coś z tym zrobić. Można pójść na spotkanie z gliniarzem.

Fisher spogląda na niego, czekając, aż kierowca usiądzie. Cały dzień spotykania się z draniami. Ten nie jest taki zły. Posiadanie Kenny'ego McBride'a jako informatora nie powoduje aż takich wątpliwości etycznych. To tylko kierowca. Jest na tyle blisko, by słyszeć rzeczy istotne, a jednocześnie łatwo go wymienić na kogoś innego. Aresztowanie go nie robi różnicy komuś w rodzaju Jamiesona, więc zostawia się go na wolności i próbuje wykorzystać. Dla informatora oznacza to ryzyko, ale to Kenny już wie. Musi wiedzieć, że Peter Jamieson kazałby go zabić, gdyby się dowiedział, że Kenny gada z glinami. Ale coś sprawiło, że przyszedł na

spotkanie. Ten sam powód co rok temu, kiedy się wycofał, ale dzisiaj jeszcze ważniejszy. Ostrożnie, mówi sobie Fisher. Niektórzy informatorzy są emocjonalnie rozchwiani, nie mają nic wartościowego do zaoferowania i myślą, że zapewnisz im ochronę. To może być kłopotliwe, ale są gorsze rzeczy. Informatorzy fałszywi. Podesłani przez swoich szefów, żeby karmić cię kłamstwami. Ci mogą kosztować detektywa karierę.

Kenny siada naprzeciwko niego przy kuchennym stole. Lokal jest dość obskurny, ale bezpieczny. Fisher nie zaproponuje mu herbaty; nie chce, żeby trwało to aż tak długo. Krótkie spotkanie. Wstępne. Niech chłopak wie, że nie zasłużył sobie jeszcze na żadne miłe gesty z twojej strony.

– Rozumiesz zasady naszej współpracy, Kenny? – pyta.

– Chyba tak – odpowiada tamten. – Ja przekazuję panu informacje, pomagam.

– A czego oczekujesz w zamian? – To pytanie zawsze ich załatwia. Za nic nie chcą przyznać, że mają nadzieję na ochronę przed więzieniem. Nie mogą udawać, że robią to zwyczajnie z szacunku dla prawa. Większość nie ma odpowiedzi. Obawiają się, że zła odpowiedź może przekreślić ich szanse na ochronę. Nie przekreśli.

– Wiem, że to, co robię, jest złe, ale ja tylko jeżdżę samochodem. Nie jestem nikim ważnym. Trudno byłoby panu udowodnić, że wiele nabroilem, jeżeli nie liczyć tego, że siedziałem cicho. Ale jeżeli znalazłbym się na ławie oskarżonych, to mogłoby być kiepsko; dlatego chcę, żeby nasza znajomość została zapamiętana. Żeby była czymś, co działa na moją korzyść. Chcę, żeby cokolwiek działało na moją korzyść.

Nie taki głupi jak na kierowcę. Zna granice tego, czego może się spodziewać. To dobrze. Może nawet za dobrze. Wysłany przez bossa, żeby gadać glińiarzowi to, co ten chce usłyszeć. Gdyby nie tamten telefon rok temu, byłby o wiele bardziej sceptyczny.

– Brzmi rozsądnie – mówi Fisher na głos. Kenny siedzi po drugiej stronie stołu, próbując wyglądać na spokojnego. Udaje powściągliwość, ale zdradzają go oczy. Zerka co chwila na boki, mruga częściej niż człowiek spokojny. Patrzy na Fishera, czekając, co ten powie. – Doceniam to, że podejmujesz ryzyko – mówi Fisher – ale to nie zmienia faktu, że musisz mi coś dać. Muszę wiedzieć, że traktujesz naszą znajomość poważnie.

Kenny mruga jeszcze bardziej nerwowo.

– Pewnie, że poważnie. Ale nie wiem, czego dokładnie pan oczekuje.

Teraz trzeba powoli. Nie wolno go przestraszyć. Zapytasz o zbyt wiele na pierwszym spotkaniu, a drugiego może nigdy nie być. Z drugiej strony zawsze tym pierwszym spotkaniem możesz go szantażować. Musisz zapytać o coś istotnego.

Trzymaj się teraźniejszości. Nie zagłębiaj się w ważne sprawy z przeszłości – na to będzie czas później. Spróbuj wydobyć od niego coś, co przyda ci się na dzisiaj.

– Wiem, że Peter Jamieson walczy ze Słodasem Francisem – mówi. – Możesz to potwierdzić? – Prosty test uczciwości.

– Od kilku miesięcy – zgadza się Kenny. To proste. – Słodas próbuje stworzyć siatkę, podebrać klientów Peterowi. Szczerze mówiąc, niespecjalnie mu to idzie. Niemniej załazł Jamiesonowi za skórę. Wielu dziwi się, że Peter nie zrobił z tym jeszcze porządku.

No i proszę. Wielu się dziwi. Niejeden też się martwi. Niektórzy podejrzewają, że Peter Jamieson traci swój złoty dotyk, w związku z czym szukają ochrony.

Teraz naciśnij trochę.

– Słyszałeś o Tommym Scotcie?

Milczenie. Wzrok nerwowo rozbiegany.

– Słyszałem, że zabił go jego kumpel. Pracował dla Słodasa, tego jestem pewny.

Mówi teraz szybciej. Ciężki akcent klasy robotniczej Glasgow, teraz jeszcze trudniejszy do zrozumienia. Jest zdenerwowany, ale dlaczego?

– Znałeś Scotta?

– Nie, nigdy osobiście – odpowiada, odrobinę zbyt pośpiesznie tym razem. – Słyszałem o nim. Słyszałem, jak ludzie narzekają, że podbiera im klientów. Był dokuczliwy, tak słyszałem. Nie wiem jednak, czy był kimś naprawdę ważnym. – Kenny przyszedł tutaj, gotowy rozmawiać o każdej robocie, w której nie brał udziału. Tamtej nocy zawiózł Caluma, by zabił Scotta. Wtedy tego nie wiedział, ale teraz wie.

Fisher kiwa głową. Kenny może mówić prawdę; może jest po prostu zdenerwowany samą sytuacją. Trudno mu zaufać. Spróbuj innego podejścia, ostatni rzut kostką. Lepiej nie naciskać go za mocno na tym etapie. Zostaw resztę na później.

– Znasz gościa imieniem Calum MacLean? – pyta. Może wypadnie jedynka, a może szóstka, a wtedy ciemności się rozstąpią.

Kenny wolno potrząsa głową.

– Nie, nie sędzę. – Zawiózł Caluma, żeby ten mógł załatwić Scotta. A teraz policja interesuje się Calumem. Współdziałł w morderstwie. To coś o wiele gorszego niż wożenie ludzi samochodem. – Nie przypominam sobie. A powinienem go znać?

Fisher wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Myślałem, że może pracuje dla Jamiesona.

– Będę szczery; nie znam wszystkich ludzi, którzy pracują dla Jamiesona. – Brzmi teraz pewniej. – Widuję tylko tych, których pozwala mi widywać.

– Rozumiem.

Puścił go. Nie ma sensu trzymać kierowcy spoconego z nerwów, jeżeli nie ma wiele do powiedzenia. Chłopak chyba nie kłamie. Wygląda na to, że potrzebuje poczucia bezpieczeństwa i żeby je uzyskać, jest gotów podzielić się informacjami. Pytanie tylko, jak bardzo – i czy w ogóle – okaże się użyteczny. Fisher nie jest pewien. Kenny może się okazać strzałem w dziesiątkę, dać mu coś cennego. Albo kierowcą, któremu i tak nie mówi się nic istotnego. W takim przypadku będzie bezużyteczny. A jeżeli tak, to nici z ochrony.

Fisher czeka, żeby nie wychodzić zaraz po Kennym. Myje kubek w zlewie; ciepłej wody brak. Trwało chwilę, nim Kenny zapuścił silnik. Fisher nasłuchiwał. Może dzwonił powiedzieć Jamiesonowi, że gliniarz połknął haczyk. Bardziej prawdopodobne, że rozglądał się, czy nikt go nie śledzi. Ma rację, będąc podejrzliwym. To głównie on podejmuje ryzyko, a ewentualna nagroda przypadnie Fisherowi. Może być tylko kierowcą, ale teraz igra już ze śmiercią.

Dzwoni. Wreszcie dzwoni. Czekał od trzech dni. Wydawało mu się, że dłużej. Nikt inny nie zadzwonił w tym czasie. Nikt go nie odwiedził. Jego życie bez pracy jest puste, a to zaczyna Franka martwić. Jeżeli pošłą go na zieloną trawkę, tak właśnie będzie to wyglądało. Każdy dzień do końca życia. Widuje się ludzi w jego wieku, którzy sobie odpuszczają. Przystają pracować, prowadzić życie towarzyskie, zdrowie im się sypie. Myśli o tym od wielu godzin. Jakie będzie jego życie bez pracy? Puste, to po pierwsze. I niebezpieczne, to po drugie. Podchodzi do telefonu, spogląda na ekran. Numer klubu. To pewnie Young zapraszający go na spotkanie. On jest ich konsultantem do spraw bezpieczeństwa, więc taki telefon to nic dziwnego. Odbierając, czuje, jak pocą mu się dłonie. Nienawidzi siebie za to. Zdenerwowany z powodu cholernego telefonu.

– Cześć, Frank. Tu John, dzwonię z klubu. Jak się miewasz? – To kurtuazyjne pytanie, nie oczekuje odpowiedzi.

– W porządku. A co u was? – Równie zdawkowe. Wygłaszają grzecznościowe kwestie na użytek kogoś, kto i tak pewnie nie słucha. Podejrzliwość, zawsze podejrzliwość.

– Tak, u nas wszystko dobrze. Posłuchaj, jest parę spraw, które chcielibyśmy omówić; związanych z pracą. Podjedź może dzisiaj do klubu, pogadamy. Dobrze będzie cię zobaczyć. – Stara się, żeby zabrzmiało to po przyjacielsku. Z Youngiem nigdy nie wiadomo. Po Jamiesonie łatwiej poznać. Byłby w stanie powiedzieć, czy jest przygnębiony, czy nie, ale Young jest inny. Zawsze chłodny, nigdy nie okazuje emocji.

– Jasne, mogę wpaść. Około drugiej?

– Świetnie, zatem do zobaczenia, Frank.

Young nie sprawiał wrażenia wkurzonego, ale czegoż się spodziewać po trzech dniach? Mieli dość czasu, by się wszystkiego dowiedzieć. Rozmawiali z Calumem. Wiedzą też, co o sprawie mówi policja. Wiedzą, ale niekoniecznie mu powiedzą. Postaw się w ich sytuacji. To właśnie robi od trzech dni. Gdyby był Peterem Jamiesonem, zakończyłyby współpracę z Frankiem. Gdy tracisz zaufanie do cyngla, pozbywasz się go. To ma największy sens. To właśnie musi zrobić Jamieson. Frank ma nadzieję na łagodne potraktowanie, ale sam siebie by tak nie potraktował, gdyby to on był szefem. W gruncie rzeczy Jamieson straci w jego oczach, jeżeli okaże się na tyle miękki, by zamieść całą sprawę pod dywan. Muszą się go pozbyć – i tu właśnie zaczyna się największy problem.

Staje się kimś z zewnątrz. Wie, gdzie ukryte są trupy, naprawdę i w przenośni. Staje się zagrożeniem dla bezpieczeństwa ludzi, z którymi kiedyś pracował. Oczywiście, gdyby prawda wyszła na jaw, on miałby takie same kłopoty jak oni. To powinno ich uspokoić, ale nie uspokoi. Wie, jak to działa, jak ludzie myślą. Wypychają cię. Chcą się ciebie pozbyć, by samemu poczuć się bezpieczniej. Gdy tylko znajdziesz się na zewnątrz, wyszukują kolejny powód, by się ciebie obawiać. Wmawiają sobie, że twoja niekompetencja stanowiła zagrożenie, więc pozbywają się ciebie. Potem wmawiają sobie, że twoja poprzednia reputacja była równie wątpliwa. Pracowałeś dla nich. Wiesz rzeczy, o których nie wie nikt spoza organizacji. W jakiś sposób to, że znalazłeś się poza organizacją, ma dla nich większe znaczenie niż wszystkie poprzednie dowody lojalności.

Od godziny Frank myśli o gościu imieniem Bernie jakiś tam. Bernie robił w branży, ale tylko z doskoku. Prowadził niewielką firmę transportową i przerzucał sporo podrabianego towaru. Od prochów trzymał się z daleka, więc uważał, że jest w jakiś sposób rozgrzeszony. Potem zrobił się gadatliwy, ludzie zorientowali się, co się święci. To było, zanim Frank zaczął pracować dla Jamiesona. Musiały to być późne lata osiemdziesiąte, chociaż nie pamięta dokładnie. Robił wtedy dla Barneya McGoverna. Barney nie był dużym graczem, ale można mu było zaufać. Na początku lat dziewięćdziesiątych miał zawał; przy jego tuszy nikt nie był zaskoczony. Umarł i cała jego organizacja się rozpadła. Barney w każdym razie przestał współpracować z Bernie, ale to było za mało. Barney przekonał samego siebie, że Bernie za dużo wie. Ktoś o takiej wiedzy poza organizacją był zbyt niebezpieczny jak na jego gust. Zadzwoił po Franka.

Bernie pojechał na ryby w góry. Frank ruszył jego śladem. Zabił go nad jeziorem. Pięknym, spokojnym i ciepłym. To właśnie przydarza się ludziom, którzy za dużo wiedzą. Dokąd pójdą za nim, gdy trzeba będzie go zabić? Nie ma dokąd iść. Na pewno nie zostanie wędkarzem. Będą musieli przysłać kogoś do domu. Może zadzwonią, żeby się gdzieś zjawił. Tak, to byłoby rozsądniejsze. Ustawić to w ten sposób, bo go znają. Mogą zwabić go w bezpiecznie miejsce i tam załatwić. Musieliby użyć Caluma. Nikogo więcej nie ma. A może jednak? Od trzech miesięcy jest poza obiegiem. Życie nie czeka. Nie miał okazji słyszeć najświeższych plotek i aluzji. Nie, to byłby Calum. Bierze się najlepszego, jakiego się ma, a to jest niechybnie Calum.

Chwyta kluczyki od wozu. Ma dosyć czarnowidztwa, kreślenia scenariuszy własnej śmierci. To idiotyczne; może to się stać na tyle różnych sposobów. Po prostu pojedź tam i pogadaj. Jeżeli staniesz przed nimi w takim nastroju, jest duża szansa, że powiesz coś, czego nie powinienesz. Musisz rozegrać to ostrożnie. Rozmawianie z człowiekiem, który może wyrzucić cię za burtę, to delikatna sprawa. Będzie musiał

uważać na każde słowo. Nie mówić nic, co mogłoby dać Jamiesonowi powód, by mu nie ufać. Staraj się być opanowany i pewny siebie. Odrobinę skruszony w związku z tym, co się wydarzyło, ale nieszukający wymówek ani nieżyjący przeszłością. Gotowy przejść do następnego zadania, pamiętający, by nie popełnić drugi raz tego samego błędu. Słuchaj każdego słowa i każdego akcentu. Nawet jeżeli wyśle cię na ośłą łączkę, niech zakończy rozmowę, sądząc, że może ci zaufać. Nic nie jest od tego ważniejsze.

Dobrze jest być znowu w aucie. To była jedna z rzeczy, których mu najbardziej brakowało w trakcie rekonwalescencji. Żeby móc jechać, dokąd się chce – nic tego nie przebija. Odjeżdża spod domu, kieruje się w stronę klubu. Będzie tam za dwadzieścia minut, wcześniej, niż się umówili. Ale to nic złego. Przychodzi mu do głowy – kiedy jest już za późno, by miało to znaczenie – że może zmierzać prosto w zasadzkę. Parkuje pod klubem, kawałek dalej na tej samej ulicy. Jest to tak nieprawdopodobne, że nie powinien o tym myśleć, ale możliwość przecież istnieje. Nigdy nie zabiliby go w klubie. Ani nikogo innego. Byłoby to niewybaczalne ryzyko, które naraziłoby wszystkich na niebezpieczeństwo. Nie, nawet o tym nie myśl. Po prostu wejdź.

Drzwi frontowe. Jest pracownikiem, figuruje na liście płac, nie musi się kryć. W środku panuje cisza. Na dole nie ma nikogo; to zawsze trochę denerwujące. Człowiek spodziewa się zobaczyć personel barowy i sprzątający. Nikogo. Tylko bardzo głęboka cisza. W barze na górze będą ci sami goście co zawsze. Głównie niezdolni do pracy. Nie jest to ten rodzaj baru, w którym bywają emeryci. Nie z klubem poniżej.

W górę, po schodach. Jedyne rzecz, która wciąż sprawia mu trudność po wszczepieniu protezy. Jakby miał sztywne biodro. Zahacza czubkiem buta o stopień. Do diabła! Te schody to śmiertelna pułapka. Jamieson mówi o ich wymianie, od kiedy kupił klub, ale wciąż nie może się do tego zabrać. Za dużo się dzieje. Poza tym stały się legendą, tyle osób wywinęło na nich orła, wzbudzając śmiech. Nie daj im powodu, by śmiali się z ciebie. Pogarda jest gorsza od litości.

Szczyt schodów, podwójne drzwi po prawej. Słyszy dobiegające zza nich głosy. Ktoś głośno przemawia – jakiś pijak przy barze, dumny z tego, co myśli. Stoły bilardowe na środku. Oba w użyciu, graczy nie rozpoznaje. Grają solo, co zdaje się nie mieć sensu. Szuka znajomych twarzy. Jest tu Kenny kierowca. Frank nigdy bliżej go nie poznał. Zawsze wygląda na odrobinę zdenerwowanego.

– Dobry wieczór, Kenneth – uśmiecha się Frank. – Jak leci?

– Ja? – pyta Kenny. Bardziej niespokojny niż zwykle. Boi się gadać z gościem, który spartolił robotę. Zrozumiałe. Nie chce, żeby uważano, że trzyma z kimś, komu

nie można ufać. – W porządku – mówi. – Chce pan, żebym zawiadomił Petera?

– Tak – mówi Frank – zrób to. – Wymówka, by zniknąć.



Nigdy wcześniej nie ćwiczył roli na potrzeby spotkania. Nie układał sobie w głowie tego, co powie. Nigdy wcześniej nie było okazji, w której miałyby to sens. Zazwyczaj by rozmowa była owocna, musi być spontaniczna. Nawet w interesach. Jasne, Jamieson miewał spotkania, kiedy dość dokładnie wiedział, co powie. Wtedy nie było dużo do powiedzenia. Teraz jest inaczej. Teraz chodzi o coś ważnego. Ważniejszego niż pieniądze. Nie jest tak, że boi się wysłać Franka na emeryturę. Bardziej boi się stracić w nim przyjaciela. Tylko Frank i John Young znaczą tyle w jego życiu. Tylko oni warci byłiby ćwiczenia roli. Nie sądził, że kiedykolwiek przyjdzie dzień, w którym będzie musiał przeprowadzić z jednym z nich taką rozmowę. Frank tak długo sprawiał, że to, co najtrudniejsze w tej branży, było tak łatwe. Czy ktokolwiek potrafi go zastąpić?

Rozlega się pukanie do drzwi.

– Wejść.

Kenny wtyka głowę do środka, kiwając zarówno Youngowi, jak i Jamiesonowi.

– Pewnie chcecie wiedzieć, że przyszedł Frank.

Jamieson spogląda na zegarek. Za wcześnie. To pierwszy znak, że nie będzie lekko. Przychodzenie za wcześnie to prawie jak wyzwanie.

– W porządku – mówi Jamieson – niech wejdzie.

Nie opóźniać. Potraktować go delikatnie. Cokolwiek się zdarzy, niech spotkanie zakończy się pokojowo. Są rzeczy gorsze od utraty przyjaciela. Na przykład niebezpieczeństwo, że Frank mógłby przejść do innego pracodawcy, zabierając ze sobą całą swą niebezpieczną wiedzę. Każdy duży gracz w mieście chciałby go mieć u siebie. Może nie jako cyngla, ale po to, by dowiedzieć się, co wie, a także dla jego reputacji.

Pukanie do drzwi, które od razu się otwierają. Frank wchodzi do środka, uśmiechnięty i rozluźniony. Wygląda jak zwykle. Wyprostowany, jak zawsze, bez śladu utykania, gdy podchodzi do biurka. Wygląda jak okaz zdrowia, i o to zapewne chodzi. Jamieson jest zbyt zaprzątnięty myślami, by to zauważyć, ale Young nie ma wątpliwości, że Frank udaje. Próbuje zaprezentować się jak ktoś w szczytowej formie i przesadza. Zwykle nie maszeruje aż tak sprężysto. Young siedzi z boku na kanapie, patrzy i nic nie mówi. Będzie bezstronnym świadkiem. Dzisiaj ta jego rola będzie istotniejsza niż kiedykolwiek dotąd. Jamieson nie będzie w stanie obiektywnie ocenić tonu Franka, jego reakcji. Za bardzo go lubi, by zauważyć coś niepokojącego. Chociaż Young szanuje Franka, nie pozwoli, by go to zaślepiło.

Jamieson wyciąga dłoń, Frank ją ściska. Uśmiechają się, jakby nie czekała ich nieprzyjemna rozmowa. Próbuje – Young to widzi – przekonać samych siebie, że to normalna. Obu przepełniają emocje.

– Jak się masz, Frank? – pyta Jamieson z typową dla siebie werwą.

– Od paru lat nie czułem się tak dobrze – odpowiada, zagadnięty, ale ton jego głosu świadczy o czym innym. Jamieson zadał mu to samo pytanie niecały tydzień temu; wtedy Frank odpowiedział tak samo, ale z większą pewnością siebie. Teraz Frank nie mówi nic więcej; niech Jamieson sam nawiąże do incydentu ze Scottem. Jamieson też milczy, bębniąc lekko palcem o blat biurka. Próbuje wymyślić, jak sprawić, żeby zabrzmiało to przyjaźnie. Ale nie da się w miły sposób powiedzieć komuś, że schrzanił robotę.

– Obaj wiemy, o czym musimy porozmawiać – mówi Jamieson, ignorując fakt, że jest ich w pomieszczeniu trzech. Zawsze tak robią. Young siedzi z boku i milczy, obserwując. Zachęcając gościa, by zapomniał o jego obecności, i czekając na ewentualny błąd. Dobra strategia, nawet wobec przyjaciela.

– To prawda – zgadza się Frank.

Jamieson ponownie bębni palcem o biurko.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło – mówi. W ten sposób otwiera rozmowę, unikając oskarżycielskiego tonu.

Frank wie, że ma zacząć od początku. Jamieson chce znać wszystkie szczegóły.

– Po tym, jak zleciłeś mi robotę, pojechałem na rekonesans. Sprawdziłem, gdzie mieszka, którądy się porusza i z kim zapewne będzie. Wiedziałem, że prawie na pewno będzie z nim jego kumpel. Papużki nierozłączki ci dwaj. Sprawdziłem, kto jeszcze mieszka w budynku, które z mieszkań mają lokatorów. Robiłem to równie ostrożnie, jak przy każdej poprzedniej robocie. To musiał być przypadek. Albo ktoś mnie zobaczył, albo ktoś wyśpiewał, co się dzieje.

Zawiesza głos, dając Jamiesonowi szansę, by ten potwierdził możliwość przecieku. Przecieku, który skierowałby cały gniew przeciwko komuś innemu; który pomógłby Frankowi uniknąć konsekwencji własnych błędów. Frank ma nadzieję, że istotnie był to przeciek, ale wie, że to mało prawdopodobne. Najpewniej ktoś go zauważył.

– Nie sądzimy, żeby nastąpił przeciek – mówi Jamieson cicho.

– A zatem ktoś musiał mnie zauważyć. Postępowałem ostrożnie, jak zawsze. Ale jakiś sukinsyn musiał mnie wypatrzeć i dał znać Scottowi. W każdym razie wchodząc do budynku, myślałem, że jestem czysty. Zostawiłem to na późną godzinę. Około jedenastej jego kumpel, McClure, wyszedł, co powinno było mnie zaniepokoić. Często spał u Scotta. Poprzedniej nocy też. Ale mieszka z rodzicami, więc nie

zdziwiłem się, kiedy wyszedł. Musiał skrócić za róg i wejść od tyłu. Wiem, że stawia mnie to teraz w złym świetle, ale nie mogłem obserwować obu klatek naraz. Gdybym widział, jak wraca tylnym wejściem, wiedziałbym, że coś jest nie tak. Odwołałbym sprawę. Wszedłem, myśląc, że w mieszkaniu jest tylko Scott.

Wszedł, myśląc źle. Nikt nie powie tego głośno – nie zawstydzą się publicznie kogoś takiego jak Frank – ale wszyscy trzej o tym myślą. Frank postąpił niedbale. Widział, że McClure wychodzi, ale nie poszedł za nim, by sprawdzić, dokąd idzie. Nie musiał iść za nim aż do domu; wystarczyłoby śledzić go przez parę minut, żeby się upewnić, czy rzeczywiście nie wróci. Jedną z ważnych umiejętności: wiedzieć, kogo i kiedy śledzić.

– Wjechałem na górę, znalazłem mieszkanie. Nikogo nie spotkałem. Cichy budynek, dużo pustostanów. Stałem przy drzwiach, namacując spluwę w kieszeni. Zapukałem. Kilka razy. Nie za cicho, jak ktoś, kto nie ma nic do ukrycia. Czekałem, aż otworzy. Dać mu dwadzieścia sekund, a potem wejść z kopa. Do tego nie chciałem być zmuszony. Chciałem, żeby otworzył, żeby zrobić to ciszej. Domyślałem się, że on albo jego kumpel musieli kryć się w mieszkaniu naprzeciwko. Pewności nie mam, ale to tak musieli to zrobić.

I Frank nic nie słyszał. Nie słyszał, jak za jego plecami otwierają się drzwi, jak skrada się do niego McClure. Nie przypuszczał nawet, że coś takiego może się zdarzyć. Kolejny minus. Zaczyna się robić cała lista. Jamieson wie, jak to jest być w nerwowej sytuacji. Czasem słyszy się wyłącznie bicie własnego serca. Ale ludzie tacy jak Frank mają być ponad to. Mają słyszeć i widzieć wszystko. Żadnych wymówek. Do żadnego z nich nie dotarło jeszcze, że do tego miejsca Scott i McClure rozegrali sprawę bardzo dobrze. Jednak to nie jest spotkanie na temat sukcesów innych. To jest spotkanie na temat błędów Franka.

– Walnęli mnie w tył głowy – mówi Frank z nieszczęśliwym uśmiechem. – Ocknąłem się na podłodze w mieszkaniu Scotta. Nie wiedzieli, co ze mną zrobić. Nie mieli pojęcia. Chcieli, żebym zszedł z tego świata, to oczywiste, ale Scott szukał wymówek, żeby nie musieć tego robić osobiście. Zadzwoił więc po kogoś.

Zadaj następne pytanie ostrożnie. Tonem przyjaznego zainteresowania, nie oskarżenia.

– Czy mówili coś, kiedy tam byłeś? – pyta Jamieson. – Coś ciekawego? Pytali cię o coś?

Dochodzą do sedna. Jamieson nie chce wiedzieć, czy tamci pytali Franka o coś; chce wiedzieć, czy Frank coś im powiedział.

– To była tylko para dzieciaków – wzrusza ramionami Frank. – Ciągłe gadali jak najęci, ale bez sensu. Brednie. Głównie McClure. Wyśmiewał się ze mnie, starał się

sprovokować. Popisywał się. On był pobudzony, ale Scott pozostał opanowany. Mówił tamtemu, żeby się zamknął. Myślę, że miał w sobie to coś. Mógłby być bardzo użyteczny, ten chłopak Scott. Szkoda, że nie pracował dla nas. – Ton głosu nie jest ostry, ale słowa tak. Scott mógł pracować dla nich; Young nie poznał się na jego talencie. Subtelny docinek. – Nie powiedzieli nic, co można by wykorzystać – ciągnie Frank. – Dzwoniąc, Scott wyszedł do drugiego pokoju. Mówił cicho. Powinni byli sami mnie zabić – mówi, kiwając głową. To był ich błąd, że nie zabili go od razu. – Nie mieli odwagi. Zadzwonili do kogoś od Słodasa, prosząc, żeby przysłał zabójcę. – Widząc, że Jamieson drgnął, Frank urywa.

– Zastanawiam się tylko – mówi Jamieson. – Zadzwonili do kogoś powiązanego ze Słodasem. Ciekawe... Niczego się nie nauczyli. Mów dalej.

Frank kiwa głową.

– Siedziałem tam, no nie wiem, pół godziny, może trzy kwadranse. Kazali mi się nie ruszać, więc po prostu siedziałem i trzymałem głowę na kłódkę. Próba odebrania im pistoletu byłaby samobójstwem. Ich dwóch, ja jeden. Ten drugi, McClure, prawie już chodził po ścianach, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Scott był zdenerwowany, ale panował nad sobą. Uspokajał tamtego. Rozległo się pukanie: delikatne, jakby to był ich człowiek od mokrej roboty. Scott otworzył drzwi, wpuścił go. Zobaczyłem, że to Calum, od razu zobaczyłem. Jezu, to był szok.

Frank i Jamieson się uśmiechają. Śmieją. To taka branża, w której trzeba być odpornym na wstrząsy. Ludzie robią rzeczy zupełnie przeczące logice. Nie powinno się ulegać szokowi, zwłaszcza w wieku Franka i przy jego karierze. Obaj uśmiechają się na myśl o tym, że Calum zdołał go zaskoczyć.

– Powiem szczerze: kiedy go zobaczyłem, w pierwszej chwili pomyślałem, że pracuje dla Słodasa. Że przyjechał mnie zabić. Dobrze, że nic nie powiedziałem, nie nazwałem go zdrajcą czy coś takiego. Gdy tylko zamknęły się drzwi, wyciągnął splotkę i strzelił Scottowi w głowę. Jeszcze wtedy sądziłem, że zdradza Słodasa. Że jest potrójnym agentem. Tego drugiego też pozbył się od razu, nie zwlekał. Zawsze myślałem o Calumie jako o kimś, kto się nie spieszy. Dopiero kiedy byli martwi, zaczął marnować czas.

– Marnować czas?

– Tak, pozorować morderstwo z samobójstwem. Niepotrzebna robota – mówi i spogląda na Jamiesona, czekając na potaknięcie, które nie nadejdzie.

Może to kwestia pokoleniowa. Jamieson ma nagle nieodparte wrażenie, że rozmawia z kimś starym, kto narzeka na młode pokolenie. To prawda, Calum spędził w mieszkaniu kilka dodatkowych minut, ale było warto. W dzisiejszych czasach trzeba korzystać z każdej szansy, jaką stawia przed nami los. Kiedyś, jasne, można

było strzelić i zwiewać. Ale nie dzisiaj. W świecie techniki kryminalistycznej, próbek krwi i kamer bezpieczeństwa trzeba się chwytać wszystkiego co, możliwe. A nie jest tego aż tak wiele. Coraz trudniej pozbyć się kogoś bez śladu; Frank powinien to wiedzieć. Powinien wiedzieć, że wszystko, co odwraca uwagę policji, ma sens. Wszystko, co ich opóźnia. Nawet jeżeli tylko na chwilę.

Opóźnienie oznacza, że pojawia się coś innego i zajmuje ich uwagę. Że zanim zaczną się zajmować tym, co naprawdę ważne, już przerzucą ich do innego śledztwa. Daje ci to szansę. Kiedyś nie było to potrzebne. Ale kiedyś to nie dzisiaj.

– McClure’owi strzelił w bok głowy, żeby wyglądało na samobójstwo, więc domyślałam się, że reszta też musiała się zgodzić – mówi Frank. Niechętne ustępstwo. – Odcisnął ich palce, głównie Scotta, na broni. McClure’owi włożył spluwę do ręki i pozwolił jej opaść na podłogę. A potem oznajmił, że Słodas wysłał na mnie zabójcę, który zaraz się zjawi. Nie uszczęśliwiło mnie to. Nie sądziłem, że ktoś się jeszcze pojawi. Zjechaliśmy niezauważeni na dół i wsiedliśmy do samochodu. Pojechaliśmy po moje auto, potem zawiozłem Caluma pod klub. Pojechałem do domu; nie wychylałem się, zachowywałem normalnie. Jak zwykle.

Jamieson kiwa głową, słuchając, myśląc. Frank stoi w mieszkaniu, chce się jak najprędzej ewakuować, pragnie, żeby Calum się pospieszył. Calum przeprowadza podręcznikową robotę w koszmarnych okolicznościach, znowu. Zanim wysłał Caluma, Jamieson wiedział, że jemu by nie wysłał Franka na ratunek. Teraz uważa, że Frank nie dałby rady, nawet gdyby próbował. To porażające.

Nie wie, że Jamieson o nim myśli; i Frank też. Calum ma teraz inne zmartwienie. W mieszkaniu jest Emma. Mieszka z dwiema innymi studentkami i teraz ucieka przed nimi. Mówi, że robią zadymę, kiedy ona próbuje się uczyć. Przyszła do niego po spokój. Zrobił jej filiżankę herbaty i zostawia Emmę w kuchni. A przecież ma być przyjemnie. Calum i jego dziewczyna spędzają czas razem. Jak normalna para. Zamiast tego on siedzi w salonie i się niepokoi.

Nigdy wcześniej nie miał takich zmartwień. Nie miał nigdy nic do stracenia. Był czas, kiedy martwił się o brata i o matkę. Bardziej o brata, bo wykorzystywał go przy robotach. Ale tylko w drobnych rzeczach, jak pożyczanie samochodów z warsztatu, w którym William pracuje. Mimo to był to powód do frasunku. Ktoś mógł to wykorzystać przeciwko Williamowi. Uderzyć w jego rodzinę, by mu zaszkodzić. Ale William nigdy nie mógł przestać być jego bratem.

Emma chyba się znudziła, słyszy, jak się porusza. Pewnie szuka jakiejś rozrywki. On stoi teraz w drzwiach kuchennych, patrząc, jak ona myje filiżankę w zlewie. Ona odwraca się i uśmiecha do niego. Nie jest to miłosny uśmiech, raczej wyrozumiały.

– Usiądź – mówi – pogadajmy. – Calum zaczyna zauważać, że ona bywa władcza, ale jest to wada, z którą jej do twarzy. Nie o każdym można to powiedzieć.

Siada naprzeciwko niej przy kuchennym stole. Kuchnia jest mała, trochę ciasna. Chociaż nie ma wielkiego doświadczenia na polu związków, wie, czym to pachnie. Jedna z tych rozmów, jakie prowadzi się w związkach. Większość ludzi drży na myśl o rozmowie pod tytułem „Dokąd zmierzamy?”. On boi się tej z cyklu „Co robiłeś?”.

– Co jest? – pyta. Uśmiecha się; gra luzaka, udaje, że nic go nie trapi. Ona jest zbyt inteligentna, by w to uwierzyć. On usilnie próbuje przekonać samego siebie, że nie jest zaniepokojony. Nie przekonuje ani siebie, ani tym bardziej jej. To Calum powinien zaczynać tę rozmowę. Powinien popychać ją ku wyjściu, dla jej dobra i dla własnego. Nie może się do tego zmusić. To słabe i niewybaczalne.

– Chciałabym porozmawiać o nas. – Dokładnie tak, jak się spodziewał. – Nie bój się, to nie jest jedna z tych rozmów – mówi z tym swoim uśmiechem. Oboje wiedzą, że to nie do końca prawda. To zawsze jest jedna z tych rozmów. – Chcę tylko porozmawiać o pracy.

No tak. To słowo napawa go lękiem. Ona musi widzieć jego reakcję; wie, że wytrąciła go z równowagi. Jeżeli coś jest w stanie popsuć ich związek, to właśnie rozmowa o pracy. Może to dobrze; to z pewnością zmusi go, by odepchnąć Emmę.

A jednak tylu chłopaków z branży też musi prowadzić takie rozmowy. Wielu jest

żonatych albo w stałych związkach. Choć wśród ludzi od mokrej roboty nie aż tak wielu, to prawda. Ale i im zdarza się stworzyć udany związek. Jego przeraża sama myśl. Ta praca nie pasuje do bycia w związku. Albo jedno, albo drugie.

– Myślę po prostu, że ręce zagoiły ci się na tyle, że możesz pracować – mówi. Przygląda mu się dziwnie. Próbuje wyciągnąć od niego prawdę. Nic z tego. Nie po to przez dziesięć lat strzeżesz takiego sekretu, żeby wypaplać go dlatego, że ktoś słodko prosi. Nawet jeżeli ten ktoś to śliczna dziewczyna, z którą sypiasz.

– Też tak myślę – mówi Calum. – Czy jestem oskarżony o uchylanie się od pracy?  
– Pytanie zadane z uśmiechem i nadzieją na zmianę tematu.

– Nie, zastanawiam się tylko, czy nie musisz wracać do pracy, to wszystko.

Albo do jakiej pracy, myśli Calum.

– Nie wiem. Może tak, może nie – mówi. Na coś takiego nie był przygotowany. Związek nie miał trwać tak długo. Jej nie powinno tutaj być.

– Nie sądzisz, że powinieneś się dowiedzieć? – pyta głosem, w którym pojawiają się zaczątki presji.

– W porządku, dowiem się. – Jego nonszalancja najwyraźniej ją denerwuje. – Forse mam, tak że jakoś specjalnie się nie pali – dodaje Calum.

– Nie o to chodzi. Nie chcesz pracować?

O chłopie, to już jest kawał pytania i ciut, ciut. Gdyby ona się choć domyślała, ile to pytanie dla niego znaczy, dałaby mu więcej czasu na odpowiedź. On jednak milczy, a ona znowu go zagaduje. Calum obserwuje ją, widząc jej narastającą irytację. Być może to jest wyjście. Niech myśli, że jest żalosnym leniem, że nie chce mu się pracować. To może ją odstraszyć.

Emma poucza go na temat odpowiedzialności, jaka ciąży na jego pracodawcach, w związku z faktem, że miał wypadek przy pracy.

– Bo to był wypadek przy pracy, prawda?

Teraz ona zaczyna drażnić, pragnąc szczegółów, których on nie może jej dostarczyć. Próbuje wciągnąć go do rozmowy. Wyciągnąć na zwierzenia. Nie podoba mu się to. Trudno jest, bez względu na okoliczności, wybaczyć komuś, kto czyha na nasze potknięcie. Jeżeli ona choć trochę się domyśla, na czym polega jego zajęcie, powinna rozumieć, że nie tędy droga. Powinna zapytać otwarcie. Ludzie rzadko to robią. Bądź bezpośrednia i szczerą. Żadnych gier.

– Tak – mówi – zraniłem się przy pracy.

– W drukarni.

– Tak, w drukarni. Czy chcesz zapytać o coś jeszcze? – Mówi to tonem na tyle

ostrym, by jej dopiec. Ona spuszcza wzrok. Zastanawia się, czy chce odpowiadać na to pytanie, czy nie. On żałuje, że je zadał.

Emma zaczyna od westchnienia. Przygotowuje się, zanim powie coś krępującego. Daje mu znać, że zbliża się nieprzyjemna chwila.

– Rozmawiałam z Anną. Pamiętasz ją; była w klubie tamtego wieczoru, gdy się poznaliśmy. Chyba zaprzyjaźniła się z twoim kumplem George'em, tym gadatliwym. Opowiadała mi o nim. Tak w ogóle to nie zadzwonił już do niej, co niezbyt jej się spodobało. Chciała, żeby zadzwonił, żeby mogła dać mu kosza. W każdym razie twierdziła, że twój kumpel George zajmuje się czymś nielegalnym. Nie wie, czym dokładnie, ale że jest to coś niezgodnego z prawem. Że jest kimś w rodzaju gangstera. Śmiałam się z początku, ale ona nie żartowała. Sądzi, że ty też się tym zajmujesz.

Calum czeka, zwleka. Ona nic nie wie, zgaduje tylko. Wymierza ciosy na oślep. Coś, z czym on jest za pan brat.

– Czym mianowicie ona sądzi, że się zajmuję?

– Nie wiem dokładnie, ale niczym dobrym. Pomyślała, że może narkotykami. Że George jest typem, który mógłby być zamieszany dosłownie we wszystko. Ja o tobie tak nie myślę. A powinnam?

Ile może jej powiedzieć? Coś musi jej dać, wie o tym. Drobnym aktem szczerości, bo stuprocentowe kłamstwo nie wchodzi już w grę. Wchodziłoby, gdyby chciał się jej pozbyć, naprawdę chciał. Mówi sobie, że chce, ale kiedy przychodzi co do czego, to z jego determinacji nic nie zostaje.

– Nie mam nic wspólnego z narkotykami – mówi. To półprawda. Nigdy nie sprzedawał prochów. Nigdy ich nie zażywał. Ale zabijał ludzi związanych z tą branżą. Co, jakkolwiek by patrzeć, oznacza uwikłanie. – Ale nie mogę ręczyć za wszystkich ludzi, których znam – mówi. – Znam ludzi, których pewnie nie powinienem. Robiłem rzeczy, które pewnie nie wzbudziłyby twojego entuzjazmu. Nie wiem, czy to coś zmienia.

Ona patrzy na niego i kiwa głową.

– Ja też nie wiem.

Teraz ona nie chce już ciągnąć tej rozmowy. Uważa, że powinni ją zakończyć i przemyśleć wszystko, co zostało dotąd powiedziane. Pakuje książki do plecaka. Nachyla się i całuje Caluma.

No dobrze, pocałowała go przelotnie i wyszła bez słowa, ale jednak pocałowała. To musi coś oznaczać. Calum nie chciał przerywać, ale nie może rozmawiać sam ze sobą. Chce to rozwiązać – nigdy nie zostawia rozgrzebanych spraw. Jeżeli masz coś do załatwienia – załatw to teraz; zwłoka sprawi, że potem będzie tylko trudniej.



Niełatwione sprawy lubią łączyć się z innymi problemami. Siedzi przy kuchennym stole. Siedzi w milczeniu. Czuje, że to była ważna rozmowa, a jednak nie ma pojęcia, na czym stanęło. Tak naprawdę nigdy się nie wie, które rozmowy są ważne. Nie zawsze jest się uczestnikiem tych najważniejszych.

Frank powiedział mu wszystko, co wie. Jak na spowiedzi. Teraz siedzi na wprost biurka, czekając na reakcję. Czeką, aż Jamieson podejmie decyzję, która zaważy na reszcie jego życia. Jamieson bębni palcem wskazującym o blat; zawsze to robi, kiedy się namyśla. Zapewne też kiedy jest zdenerwowany, chociaż zwykle udaje mu się trzymać nerwy na wodzy. Spogląda na Franka, a potem z ukosa na Younga.

– John, mógłbyś zostawić nas na kilka minut?

Young nic nie mówi, ale kątem oka Frank widzi, że już się podnosi. Young mógł się tego spodziewać. Jamieson nie chce świadków swojej trudnej przemowy o tym, jak bardzo docenia wszystko, co Frank dla nich zrobił. Jak bardzo będzie im go brakowało. Jeżeli mogą coś dla niego zrobić, niech wali prosto z mostu. Te wszystkie rzeczy, które ludzie mówią, spychając cię w przepaść.

Drzwi zamykają się cicho za Youngiem. Jamieson spogląda ponad ramieniem Franka, upewniając się, że nikt nie może ich usłyszeć. Teraz rozpięta się w fotelu i wzdycha głośno.

– Co za cholerna sytuacja – mówi ze zmęczonym uśmiechem.

– Taka, która teoretycznie przytrafia się tylko innym.

– Ostatnio ja zdaję się mieć do nich szczęście. – Patrzy na Franka. Nie da się tego uniknąć. Od początku wiedział, że tak będzie musiało się to skończyć. Postara się być delikatny, ale i tak będzie to trudne dla Franka. – Myślę, że obaj wiemy, co musi się teraz stać. – Spogląda na Franka. Proszę, ułatw mi to.

Musi się stać to, że wyrzucasz mnie za burtę, myśli Frank. Nie powie tego na głos, ale nie będzie się też spierał. Nie po to pracował tak długo, dokonał tego wszystkiego, czego dokonał, by teraz odejść, skamlać. Zasluguje na coś lepszego i wie, że wciąż jest w formie. Bez względu na to, co mogą myśleć inni.

– Chyba domyślam się, w którą stronę to zmierza – mówi. Nie zdaje sobie z tego sprawy, ale Jamieson widzi upór w jego oczach. Bojowy wzrok. Jest to ostatnia rzecz, jaką chciał zobaczyć. – Wiem, że wciąż mogę pracować. Lepiej niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi w tej branży. Może parę lat temu było to sto procent. Ale to nie znaczy, że jestem bezużyteczny. Nie czyni mnie to starym kaleką, który potrzebuje odpoczynku. Wciąż mogę wykonywać tę robotę i nie chcę, żebyś ani ty, ani ktokolwiek, myślał inaczej. Nie jestem na tyle głupi, by uważać, że mam prawo do popełniania błędów. Nikt nie ma takiego prawa; obaj o tym wiemy. Błąd oznacza zazwyczaj koniec dla kogoś takiego jak ja. Ale mam prawo udowodnić, że to był jednorazowy wypadek przy pracy. Tak uważam.

Jamieson kiwa uprzejmie głową. Już to wszystko słyszałem, stary. Cała wypowiedź – dziwnie kwiecista jak na Franka i najwyraźniej improwizowana – brzmi tak znajomo. Słyszy się ją za każdym razem, gdy ktoś człowieka zawiedzie. Szansa udowodnienia, że był to jednorazowy wybryk. Zapominanie, że raz to już za dużo.

Taką rozmowę można osładzać, ile się tylko chce; ktoś taki jak Frank i tak będzie wiedział, o co chodzi. Jamieson to rozumie.

– Nie wyślę cię na emeryturę – mówi Jamieson, wiedząc dokładnie, co robi. – Ale sądzę, że musimy przyjrzeć się sprawom. To, co wydarzyło się ze Scottem – mówi, zawieszając głos – nie ma prawa się powtórzyć. Calum raz uratował ci tyłek, ale drugi raz go nie wyślę. To byłoby nie w porządku.

Frank kiwa głową na znak, że pojmuje. Jamieson przyznaje, że w ogóle nie powinien był wysłać Caluma. Powinien był zostawić Franka na pastwę losu.

– Musimy mieć pewność, że nie znajdziesz się więcej w takich okolicznościach – mówi Jamieson. Cedzi słowa i wie o tym. Mówi z naciskiem, w sposób niepodobny do siebie. – Nie mówię, że nie zlecę ci kolejnej roboty, ale może powinniśmy się zastanowić, co jeszcze mógłbyś robić. Przynajmniej na razie.

Frank nie reaguje. Nic nie mówi, nie kiwa głową. Myśli: wyrzuca mnie za burzę, ale przywiązanego liną, żebym za daleko nie odpłynął. Ani w środku, ani na zewnątrz. Ziemia niczyja. Niebezpieczny, lecz bezużyteczny. Nie chcą, żeby oddalił się gdzieś, gdzie nie będą mogli go widzieć, ale nie chcą też zlecać mu więcej mokrych robót, które mógłby schrzanić.

– O jakim zajęciu dla mnie myślałeś? – pyta po dziesięciosekundowej pauzie, która zdawała się dłuższa.

Jamieson lekko wzrusza ramionami.

– Człowiek z twoim talentem i doświadczeniem może naprawdę wiele wnieść. Doradztwo, na przykład. Pomoc organizacyjną. To dużo. Jeżeli zdejmę cię z mokrych robót, zostaje mi sam Calum. Jeszcze nie wiem, na ile jest zaangażowany. Mógłbyś mi pomóc w tym względzie. Będzie mi też potrzebny na pokładzie ktoś inny na ewentualne zastępstwo. Muszę znaleźć kogoś wartego zwerbowania. W tym zdecydowanie możesz mi pomóc.

Frank nie reaguje. To wszystko jest poniżej jego godności, i obaj o tym wiedzą. Nie chce robić tego, co proponuje mu Jamieson. Rzeczy, które robią inni. Równie dobrze mógłby go poprosić o parzenie herbaty i mycie jego pieprzonego samochodu.

– Posłuchaj, Frank – mówi Jamieson, nachylając się nad biurkiem. W jego głosie pobrzmiwa błagalny ton. – Wiem, że takie zabawy jak rekrutacja nowego personelu to dla ciebie bzdury. John może się tym zająć. Ale potrzebuję cię tu. Muszę załatwić

Słodasa Francisa; cała ta sprawa z nim trwa już o wiele za długo. Powinienem był zmiażdżyć go w miesiąc, tymczasem minęły cztery, a sytuacja nabrzmiwa. Ludzie gadają. Zmiażdżę go, a potem zrobię ruch. Duży ruch. Muszę pokazać ludziom, że wciąż jestem silny. Muszę naprężyć mięśnie. Do tego będę potrzebował pomocników. Doświadczonych pomocników. To masa roboty. Kluczowe role, nie bzdury.

Powiedział więcej, niż zamierzał. Nie chciał opowiadać Frankowi o swoim planach na przyszłość, ale teraz mleko już się rozlało. Frank musi jakoś zareagować. Jamieson powiedział wszystko, co mógł. Teraz już tylko Frank albo cisza.

– Sprytne posunięcie – mówi Frank. – Dobry czas na mocny ruch, na zaatakowanie większej organizacji. Trzeba tylko wybrać tę właściwą. Ale na pewno już to wszystko przemyślałeś. – Zgadza się z Jamiesonem, ale nie potwierdza, że mu pomoże. Ton głosu nie dość że ostrożny, to wręcz niemal lekceważący. Sugerujący, że nie chce się angażować. Frank nie zauważył, że zdradził aż tyle, ale Jamieson tak.

– Zatem co myślisz? – pyta Jamieson mimo to. – Zgodziłbyś się zagrać dużą rolę w czymś takim?

Frank patrzy mu w oczy praktycznie po raz pierwszy od początku rozmowy.

– Myślę, że mógłbym. Najlepsze byłoby to, czym się zawsze zajmowałem. Ale jeżeli tego nie ma, to zrobię, co w mojej mocy.

Potem nastąpiło kilka minut pogawędki – nic, co któryś z nich miałby pamiętać. Frank wychodzi. Jamieson patrzy, jak zamykają się za nim drzwi, wiedząc, że lada chwila zjawi się John Young. Będzie chciał wiedzieć, na czym stanęło. Jamieson nie jest w nastroju. Young będzie chłodny i analityczny. Będzie chciał szczegółów, precyzji. A Jamieson zwyczajnie ma ochotę napić się whisky. Otwiera szufladę, wyciąga butelkę i szkło. Drzwi otwierają się bez pukania i Young zmierza ku swojej kanapie, zauważając butelkę i szklanę. Szklanka jest w trzech czwartych pełna.

– Czyli poszło aż tak źle – mówi, odczekując chwilę, by Jamieson mógł pociągnąć łyk.

– Tak.

– I co teraz?

Czeka na szczegóły, które tak kocha. Jamieson bębni palcem o blat biurka. Nie ma szczegółów, ale ma przecucie. Nieprzyjemne przecucie, że coś się zmieni, i to na gorsze.

Wydaje się taki zajęty. A jednak nie ma prawie nic do roboty. Young wie dokładnie, co ma być zrobione, i panuje nad wszystkim. Inni w pocie czoła wykonują rozkazy, które im wydaje. On siedzi i czeka na rezultaty. Zawsze bezpieczny. Nigdy bezpośrednio zaangażowany. Tyle jest pośrednich ogniw pomiędzy nim a osobą, która wykonuje rozkaz. Ta ostatnia zazwyczaj nie ma pojęcia, dla kogo pracuje. Young jest na końcu długiego szeregu wartowników strzegących dostępu do Jamiesona. Praca jeszcze nigdy go tak nie nudziła.

Kiedyś było inaczej. Kiedyś. To śmieszne. Young ma dopiero czterdzieści trzy lata, Jamieson parę lat więcej. A jednak to już ćwierć wieku, od kiedy robią to, co robią. Zawsze byli w tym dobrzy. Strategiczny umysł Younga, zdecydowanie i osobowość Jamiesona. Początkowo Young sądził, że to jego umysł jest ich najważniejszym aktywem. Wkrótce zmienił zdanie. To Jamieson był najważniejszy. Ludzie chcieli dla niego pracować. Chcieli być częścią tego, co robił. Nadal tak jest. Young nie czuje zazdrości. Jest tylko odrobinę rozczarowany, że nie gra w tym momencie jakiejś bardziej ekscytującej roli.

To dziwny czas. Sprawa ze Słodasem wlecze się niemiłosiernie. Denerwujące. Muszą sobie z nim poradzić, to jasne, ale jest to mało pociągające. Uliczne porachunki rozdmuchane do przesadnych rozmiarów. Kwestią nie jest, czy go pokonają, ale kiedy. Gdyby nie ta poruta z Frankiem, byłoby już po wszystkim. Jamieson wie, co robić, ale potrzebuje drugiego cyngla, któremu może zaufać. Caluma plus kogoś. A potem zajmą się czymś poważniejszym. Na to właśnie czeka Young. Po to były te wszystkie lata. Duży krok naprzód. Jeden za drugim. Należy im się jeszcze jeden. Od jakiegoś czasu się nie rozwijają. Zajmują się głównie klubem, bo to ich największy interes. W każdym razie największy legalny. To się zmieni, gdy pójdą do przodu. Znajdą przeciwnika i rozpoczną wojnę. Pokonają go. To będzie ciągła walka. Dzień za dniem. Zawsze coś się będzie działo. Zawsze coś do zrobienia. Wydarzenia, na które trzeba reagować. Każdego ranka świadomość, że coś się wydarzy. Błyskawiczne decyzje. Young nie może się doczekać. Trzeba tylko załatwić tę irytującą sprawę z Frankiem, a potem rozprawić się ze Słodasem.

Potrzebuje dwóch cyngli. Jest dwóch ludzi, których widziałby w tej roli. Obaj stanowią problem. Najlepszym kandydatem byłby George Daly. Jest bystry i silny, z pewnością nielekliwy. Od lat lojalny. Zaczynał jako nastolatek na samym dole hierarchii, wykonując najpodlejsze roboty. Nie narzekał. To było dziewięć lat temu. Dzisiaj jest najlepszym karkiem, jakiego mają. Nikt inny nawet nie zbliżył się do jego poziomu. Czasem trochę gra playboya, ale wie, jak daleko może się posunąć. Gdy

uwzględni się dodatkowy fakt, że jest praktycznie jedynym przyjacielem Caluma, wychodzi na to, że jest idealny. Tyle że nie chce tej roboty. Związanej z nią odpowiedzialności. Konieczności ponoszenia ofiar. Świetny kandydat, ale niezainteresowany pracą. Zostaje tylko jeden człowiek. Dobry cyngiel. Ale niezręczna sytuacja. W każdym razie niezręczna zbieżność czasowa. To nie na dziś.

Teraz musi rozważyć inną kwestię. Chodzi o Jamiesona i jego odruchy. Wciąż nie chce uznać, że Calumowi można ufać. Jest przekonany, że w którymś momencie Calum da drapaką albo wystawi ich do wiatru. Young mówił mu dziesiątki razy, że konieczna jest cierpliwość. W tej branży trzeba czasu, by obie strony w pełni sobie zaufały. Jamieson zna Caluma stosunkowo niedługo. Chłopak nie wygląda na szczęśliwego. I co z tego? Nigdy nie wyglądał. Nawet gdy działał na własną rękę. To prawda, jest problem jego zaangażowania, ale nad tym Young może popracować. Akurat będzie miał się czym zająć, dopóki nie pojawi się coś lepszego. Musi Caluma trochę przycisnąć. Nie za bardzo. Kij i marchewka. Wpakowali go w tę aferę z Davidsonem. Właściwie to on, Young. Ale naprawili to. Zatroszczyli się o niego, nie szczydziłi sił i środków. Znaleźli mu nowe mieszkanie. Zapewnili komfort. Nie pospieszali. Pierwsza robota po powrocie, i chłopak od razu pokazuje, jak dobrą był inwestycją. Dlatego teraz Young sprawdza, upewnia się, czy jest jeszcze coś, co mogliby dla niego zrobić.

Dzwoni do niego do domu. Dlaczego nie? Są w końcu kimś w rodzaju znajomych. Jedyne zmartwienie to takie, że policja może sprawdzić billingi klubu. To może ich zaprowadzić do Caluma. W końcu go znajdą. Jeżeli już tego nie zrobili. Pytanie, co będą mogli mu zrobić. Young musi porozmawiać z Calumem o Franku. Musi mu powiedzieć, że Frank robi krok do tyłu. I że Frankowi może się to nie spodobać. Ludzie od mokrej roboty to ścisły krąg. Wszyscy albo się znają, albo o sobie słyszeli. Większość to samotnicy. Większość nie lubi, by inni wsadzali nos w ich sprawy. Nie lubi dzielić się szczegółami. Frank nie będzie chciał, by ktokolwiek się dowiedział, że został zepchnięty na boczny tor. Nawet ten, kto zajmie jego miejsce. To nie kwestia honoru. W tej branży nigdy o to nie chodzi. To sprawa mentalności. Ktoś będzie musiał mieć Franka na oku.

Telefon dzwoni. Young czeka, spodziewając się usłyszeć znajomy głos. Młody, lecz chłodny. Nigdy nie zdradzający emocji. Zawsze obojętny. Ale to nie ten głos mówi „halo”. Ten jest młody, dziarski i należy do kobiety. Jego dziewczyna. To nie może być nikt inny.

– Halo, czy mogę rozmawiać z Calumem? – pyta uprzejmie, nie zagaduje. Ile Calum jej powiedział? Prawie na pewno nic. Będzie z nią grał, nic jej nie zdradzając. Będzie chciał zachować bezpieczeństwo we wszystkim, co ma związek z pracą. Inteligentny cyngiel jest zawsze skryty. Zatem dziewczyna nie wie nic. Albo prawie

nic. Nie będzie wiedziała, kim jest Young.

– Nie, właśnie wyszedł. Coś mu przekazać?

Odpowiedzieć czy nie? Warto się przekonać, jak poważny jest ich związek. Dla Franka kobiety nigdy nie były problemem. Gdy zaczynał pracować, zdążył już pogodzić się z samotnością.

Calum powinien zrobić to samo. Taka jest cena bycia młodym talentem, myśli Young. Wciąż nie wiedzą, jak przeżyją życie. Wciąż uczą się na własnych błędach.

– Przepraszam, ale z kim rozmawiam? – pyta. Chce przeciągnąć trochę rozmowę. Dowiedzieć się, czy ma coś w głowie. Jest studentką, tyle wie. Nic mu to nie mówi. Znał studentów, którzy byli zupełnymi tępakami. Między byciem wykształconym a byciem inteligentnym jest spora różnica.

– Nazywam się Emma; jestem... przyjaciółką Caluma.

Czyli nie są jeszcze na etapie, na którym rozgłaszają wszem wobec, że są parą. To dobrze. Ale fakt, że ona jest sama w jego mieszkaniu, wskazuje, że zmierzają w tę stronę.

– Ach, Emma – mówi, jakby o niej słyszał. Co jest oczywiście prawdą, ale Calum o tym nie wie. – Proszę mu przekazać, że dzwonił John. To nic ważnego. Odezwę się w ciągu kilku najbliższych dni.

Czeka, aż ona potwierdzi i rozłączy się. Tak byłoby uprzejmie. Ale nie. Emma chce o coś zapytać.

– Jest pan przyjacielem Caluma?

To trochę zbyt bezpośrednie pytanie. Ale oczywiście potwierdzi.

– Zgadza się.

– I George'a?

To ciekawe. Próbuje powiązać go z tymi dwoma. Zatem coś wie. Nie wszystko, bo nie pytałaby teraz.

– Znam George'a.

– Aha – mówi tonem, który ma sugerować, że coś wie.

Nic nie wiesz, dziewczyno, myśli Young. Nawet jeżeli w twoim głosie pobrzmiwa dezaprobata, nie byłoby cię tam, gdybyś знаła prawdę. To dobrze. Nie wiesz nic niebezpiecznego. Jeszcze nie.

– Miło się z panią rozmawia – mówi ze szczyptą sarkazmu, na tyle dużą, by była zauważalna, ale nie na tyle, by sprowokować odpowiedź. – Przekażę pani Calumowi, że dzwoniłem?

– Tak.

Odkłada słuchawkę i rozsiada się w fotelu w salonie, z uśmiechem na twarzy. To jest sprawa do załatwienia. Ważna sprawa. Zapobieganie kłopotom, zanim się pojawią, jest częścią jego obowiązków. Ta Emma może się stać problemem. Jedyne dziecko od mokrej roboty, jakiego mają, i młoda kobieta, która myśli o tym, jak sprowadzić go na manowce. Małe ćwiczenie intelektualne, podczas gdy czas mija. Jak zabić tę miłość. Dziewczynie oczywiście nie może się nic stać. Zainteresowanie policji jest ostatnią rzeczą, jakiej by pragnął. Rozwieść ich tak, żeby ona siedziała cicho. Zapewne będzie potrzebował kogoś do pomocy. Calum może się nigdy nie dowiedzieć. Istnieje też ryzyko, że z powodu rozstania z Emmą stanie się jeszcze większym odludkiem, jeszcze trudniejszym do prowadzenia. To już mniej przyjemne. Ale nie ma wyjścia.



Wysłano go na emeryturę. Bez względu na to, jak przedstawił to Jamieson, fakt pozostaje faktem: emerytura. Dziadek znalazł się za burtą. Frank wie, kogo to z niego czyni. Kogoś niebezpiecznego. Dlatego Jamieson chciał zrobić z niego doradcę. Kompletna bzdura. Jamieson nie potrzebuje rad. Nawet w przypadku wojny z większą organizacją. Zaszedł tu, gdzie zaszedł, właśnie dlatego, że nie potrzebuje już niczyich rad. Wie, co robi. Instynkt i inteligencja. Jeżeli ma się jedno i drugie, rady stają się praktycznie zbędne. Pomysł, że Frank biegałby na posyłki w czasie wojny z innym gangiem, jest absurdalny. Kiedy policja wie, że toczy się wojna, najważniejszych ludzi od mokrej roboty trzyma się na uboczu. Gliny znają Franka. Nie mogą go aresztować, bo nic na niego nie mają, ale wiedzą, kim jest. W razie wojny Jamieson korzystałby z jego usług, ale ostrożnie. Kontakt tylko w razie konieczności. Podać cel i pozwolić mu robić swoje. Wojna to czas, kiedy cyngiel jest najbardziej samotny, a jednocześnie najbardziej podekscytowany. Wie, że będzie dla niego robota. Wyzwania do podjęcia. Sprawdziany. Dobry cyngiel żyje czymś takim. On nie będzie miał z tym nawet do czynienia.

Siedzi w kuchni, filiżankę herbaty trzyma w obu dłoniach. Stare dłonie, myśli. Stare dłonie, które wszystko już robiły, i to robiły dobrze. Może sobie to mówić, ile chce – to bez znaczenia. To nie wina dłoni, ale biodra. Teraz akurat z biodrem wszystko jest w porządku. Wydaje się sprawniejsze niż w ciągu tych sześciu miesięcy przed wszczęciem protezy. A jednak wtedy Jamieson myślał o Franku jako o kimś wyjątkowym. Poważał go i podziwiał. Ufał mu. Gdyby – hipotetycznie – Frank spartolił robotę w ciągu owych sześciu miesięcy, kiedy biodro mu dokuczało, to dostałby drugą szansę. Nie ma co do tego wątpliwości. Jasne, Jamieson byłby wściekły. I to nawet bardziej niż teraz. Teraz jest tylko smutny. Lepszy byłby gniew. Jednak przywróciłby Franka do roboty. Dzisiaj myśli o nim jako o emerycie. Zmęczonym, niedołączonym i niebezpiecznie niekompetentnym. Wszystko z powodu biodra. Wszystko dlatego, że poszedł na operację. A mógł po prostu zacisnąć zęby.

Za późno teraz na to. Ma nowe, sprawne biodro, które nikogo nie obchodzi. Koniec pracy. W każdym razie poważnej pracy. Pracy dla Jamiesona. Mógłby pracować dla kogoś innego. Ta myśl sprawia, że przechodzi go dreszcz. Praca dla kogoś innego oznaczałaby, że miałby w Jamiesonie wroga. Dobry przyjaciel. Śmiertelny wróg. Frank wie, co by się stało. Nie zdążyłby wykonać nawet jednego zlecenia dla nowego mocodawcy, a Jamieson już wiedziałby, że przeszedł na drugą stronę barykady. Nie miałby szansy wykonać nawet tej pierwszej roboty. Jamieson nie jest głupi. Nie pozwoli, by kierowały nim emocje. Jeżeli uzna Franka za zagrożenie,

każe go usunąć.

Upija łyk herbaty. Rozważa dostępne możliwości. Nie jest już kimś z wewnątrz. Nieważne, co mówi Jamieson – Frank nie jest już częścią zespołu. Jest kimś, kto ma udzielać rad, kiedy go o to poproszą, co będzie się zdarzało rzadko. To nie oznacza bycia wewnątrz. Jest na zewnątrz obiema nogami.

Myśl o byciu outsiderem. Zna to. Żył z tym zagrożeniem, ale przeszedł przez to. Tyle że to było dawno temu. W innych okolicznościach. Pracował dla Donniego Maskella. Kiedy to było? Jezu! Trzydzieści lat temu. Pracował dla niego przez siedem. Potem Maskellowi sprawy zaczęły się rozłazić w rękach. Frank widział, co się dzieje. Maskell stracił kontrolę; rzekomi przyjaciele i zaprzysięgli wrogowie rozszarpali na kawałki to, co stworzył. Maskell robił dobrą minę do złej gry, ale Frank wiedział, że trzeba brać nogi za pas. Odszedł. Przyczaił się. Wykonał parę zleceń jako wolny strzelec, ale się nie wychylał. Maskell chciał go zabić. Czas był niebezpieczny, to prawda, ale gdy Frank ponownie wyłonił się na powierzchnię, Donnie Maskell nie był już w stanie nikogo się pozbyć. Wtedy Frank był ostatni raz poza organizacją.

Peter Jamieson to nie Donnie Maskell. Pozycja Jamiesona jest o wiele silniejsza. Ma lepszą głowę do interesów. Ma wokół siebie ludzi, którzy mogliby to zrobić. Nocna wizyta Caluma MacLeana to ta, której trzeba unikać. Czy Frank stanąłby przeciwko Calumowi? Uśmiecha się. Nigdy nie miał z czymś takim do czynienia. Żaden cyngiel nigdy się na niego nie zasadzał. Częściowo dlatego, że zdołał nie narobić sobie wielu wrogów. A częściowo dlatego, że żaden by nie chciał. Cieszył się zbyt wielkim szacunkiem. Podziwiany jako najlepszy w branży. Nikt nie chciał wziąć go na cel. To nie pycha każe mu tak myśleć. To fakt. Większość zawodowych zabójców jest na tyle inteligentna, by nie brać się do celu, którego nie są w stanie pokonać. Teraz się to zmieni. Stary człowiek poza organizacją. Łatwy łup dla dobrego cyngla. Kiedyś nie bałby się Caluma. Nie cieszyłby się, to jasne. Człowiek nigdy się nie cieszy, że jest zwierzyną łowną. Ale teraz by się bał. Calum jest dobry. Zimny i bystry. Dobrze planuje, umie improwizować. Jest tym, kim Frank był w swoim czasie. Tym, kim Frank myślał, że jest nadal.

Herbata prawie wypita. Tak trudno podjąć decyzję. To może być wielka porażka jego kariery. Nigdy dotąd nie musiał podejmować trudnych decyzji. Zgoda, musiał postanowić, dla kogo będzie pracował. Było kilka niełatwych wyborów dotyczących odejścia od pracodawcy. Ale to wszystko. Zawsze był członkiem organizacji. Zawsze trudne decyzje podejmowali za niego inni. Kiedy człowiek wstępuje do organizacji, zdaje się na jej łaskę. Na jej wybory. Po prostu wykonuje rozkazy. Tak długo, jak trwa, daje to daje poczucie bezpieczeństwa. Nie trzeba o niczym myśleć. Dzwonią do ciebie. Idziesz i dowiadujesz się, kim jest cel. Robisz to. Jeżeli jesteś dobry, to jest to proste. Zwykle nie musisz zatrudniać szarych komórek. Robisz to rutynowo i jest

super. Wygodnie i przyjemnie. A teraz nagle zmuszony jest wyteńczyć umysł. Musi podjąć trudną decyzję. Im szybciej, tym lepiej.

Stoi nad zlewem, myje filiżankę. Są ludzie, dla których mógłby pracować. Dobrzy ludzie. Mocni. Ludzie, przeciwko którym działał w przeszłości. Nie ma dużej organizacji w mieście, której nie sprzątnąłby kogoś w tym czy innym czasie. Niektóre przypadki to zamierzchła przeszłość. To wciąż byłaby zadra. Ludzie mają dobrą pamięć. Mogą go zaangażować, ale nie zapomną. Nigdy nie powierzyliby komuś takiemu jak Frank naprawdę odpowiedzialnego zadania. Trzymaliby go na dystans. Może skorzystaliby z jego usług raz na jakiś czas. Udzielili podstawowej ochrony w zamian za informacje o Jamiesonie. Zawsze na dystans. Jedyna organizacja, do której mógłby przystąpić bez bagażu przeszłości, to nowa organizacja. W okolicy takich nie ma. Są ludzie, którzy wtykają nos z zewnątrz. Organizacje z innych miast, szukające możliwości zarobku. Używają wolnych strzelców albo własnych ludzi. Outsiderzy są w branży szczególnie nielubiani. Ostatnia znacząca organizacja, która wyrosła w mieście, to Jamiesona. Bycie wolnym strzelcem nie wchodzi w grę. Brak ochrony. Nic do zyskania dla człowieka o jego pozycji. Musiałaby to być organizacja o ustalonej pozycji. Nie zna żadnej, która by mu zaufała. Nie zna żadnej, na myśl o której nie chciałoby mu się rzygać.

Jest jeszcze jedna możliwość. Jeszcze jedna rzecz, którą mógłby zrobić. Z trudem zmusza się, by ją rozważyć. Indoktrynacja zaczyna się pierwszego dnia. Powtarzanie, że nic nie mogłoby być gorsze. Że nikt tego nie robi. Że winnych karze się śmiercią. Wróg numer jeden wszystkich w branży. To oczywiście wszystko bzdury. Złodzieje nie mają poczucia honoru. Żyją z kłamania i oszukiwania. O wiele więcej ludzi z branży rozmawia z glinami, niż zostaje na tym nakrytych. No dobrze, tego akurat Frank nie wie na pewno. Zgaduje. Po ulicy chodzą ludzie, którzy powinni siedzieć. To oczywiste. Ludzie, przeciwko którym gliny mają dość dowodów. A jednak chodzą po ulicach. Mają ten rodzaj ochrony, jakiego nie daje nawet organizacja. Jest ich niemało, jeżeli dobrze się rozejrzeć. Ale nikogo z ligi Franka. Policja nie może przymknąć oka na wszystko, co zrobił. Ale kto wie?

Pracowity dzień. Pracowity w dobrym sensie. Dużo rzeczy, które chce robić, ludzi, których chce spotykać. Wszystkie spotkania przez niego umówione. Tak właśnie powinna wyglądać robota, myśli Young. Pierwsze spotkanie jest z tym fiutem Kirkiem. Od paru lat przekazuje im informacje przez telefon. Zwykle zajmuje się nim ktoś stojący niżej w hierarchii. Teraz sprawa była poważniejsza. Kirk zgłosił się do naszego człowieka, że informacji żąda od niego Słodas Francis. Nasz człowiek, ponieważ zna swoje miejsce, przekazał sprawę wyżej. Może Słodas jednak uczy się na własnych błędach.

Young jedzie na to spotkanie osobiście. Niech naszemu człowiekowi nawet nie obije się o uszy nic o Franku i Scotcie. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Kirk sam do niczego też nie dojdzie. Nie potrafiłby poskładać fragmentów układanki, nawet gdyby miał instrukcję obrazkową i tubkę kleju. I świetnie. Właśnie taki użyteczny idiota, jakiego każdy potrzebuje. A jednocześnie taki, który zwykle panikuje pod presją. Young trochę go przycisnął. Teraz chce poklepać go po pustej głowie i zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Miało to być jutro. Jeżeli chłopak miałby choć krztynę rozumu, poczekałby, ale nie ma. Panikuje. Dzwonił do naszego człowieka kilkakrotnie, żądając spotkania dzisiaj. Domagając się ponownego widzenia z Youngiem. Nie wie, kim jest Young, nie wie, jak jest ważny. Ale wie, że ważniejszy od naszego człowieka. Chce tylko zapewnień. Oczywiście, też pieniędzy. Generalnie chce wiedzieć, że nie będzie miał żadnych kłopotów. Może grać mocnego gościa. Twardego gangstera, wykradającego i fałszującego podstawowe informacje. Prawda jest taka, że będzie przerażony. Między młotem a kowadłem sił, których nie pojmuje. Nagła świadomość, że prawdziwe gangsterstwo to jednak nie dla niego. Nie ma jak się ochronić. Pierwsza reguła grania z dużymi chłopcami: zapewnij sobie ochronę. Druga: nigdy nie okazuj słabości. Mały Kirk złamał obie.

Spotkanie jest w lokaliku w południowej dzielnicy. Niezbyt fortunne miejsce, za bardzo publiczne, ale to tutaj Kirk spotyka się z naszym człowiekiem. Nie ma sensu dodatkowo stresować chłopaka spotkaniem gdzie indziej. Nie ma sensu pokazywać innych, lepszych miejsc, jakich Young zwykle używa. Kirk jest na to zbyt mało ważny. Jest również plotkarzem, mógłby wygadać. W końcu się uspokoi, a wtedy usta znowu mu się otworzą. Mógłby się dowiedzieć, jak ważny jest Young, i przechwalać się spotkaniem. Przechwalać się, że był mu pomocny. To się zdarza. Trudno uwierzyć, że ludzie mogą być tak głupi i użyteczni zarazem, ale to prawda. Young wkracza teraz do lokalu. Paskudna spelunka. Dla niepoznaki zamówi filiżankę herbaty i kanapkę

z boczkiem, ale ich nie tknie. To jedno z tych miejsc, gdzie do higieny nie przykładają się należytej wagi.

Kirk siedzi w rogu. Bawi się torebką cukru. Jak na kogoś żyjącego niebezpiecznym życiem, które tak go pociąga, wygląda nędznie. Young siada naprzeciwko niego, nie mówiąc ani słowa. Kirk przygląda mu się, czeka. Nie chce mówić pierwszy. Z szacunku oddaje głos Youngowi. Wie z filmów, że tak się robi. Okazuje szacunek przełożonemu.

– Chciałeś się ze mną widzieć? – pyta Young.

– Tak. Tak. Chciałem. Chciałem się z panem widzieć. – Mówi trochę niewyraźnie. Nie bardzo, ale na tyle, by Young zauważył. Wygląda na to, że próbował koić nerwy alkoholem. Niektórym to pomaga, innym nie. Kirkowi nie. Young domyśla się, że jeszcze bardziej go to zdenerwowało. Rozstroiło emocjonalnie. Tym trudniejsza czeka go rozmowa.

– Mów, co masz do powiedzenia, Kirk – mówi Young. Używaj jego imienia, to pokazuje, że pamiętasz. Przyjazny ton. Fałszywy, ale przyjazny. – Jestem na twoje usługi. – To mu się spodoba. Jest na tyle głupi i podpity, by pomyśleć, że to prawda.

– Wykonałem zlecenie – mówi Kirk, wczuwając się. – Było ciemniej niż zwykle, widzi pan. Część oświetlenia wyłączają na noc. Tylko podstawowy personel przy telefonach. Mówią, że serwis jest całodobowy, ale kiedy zadzwoni się w nocy, trzeba czekać. Siedzę więc przy komputerze, przeglądam bazę danych. Wtedy podchodzi do mnie jedna papużka, z którą pracuję. Wielka i tłusta. Ubzdurzyła sobie, że wpadłem jej w oko. Ona gada, ja działam jak gdyby nigdy nic. Myślę: jeżeli zauważy, co robię, jestem ugotowany. Ale nie przestaję.

I tak dalej. Mówi i mówi, napawając się brzmieniem własnego głosu. Niech mówi. Nerwy wciąż ma napięte po wydarzeniach poprzedniej nocy i dzisiejszego poranka. Chce się tym z kimś podzielić, a to oznacza, że Young musi słuchać. Kirk jest gadułą, a jest tylko jedna osoba, przed którą może się bezpiecznie otworzyć.

To niewielka cena do zapłacenia. Kirk pracuje w firmie telekomunikacyjnej. Zajmuje się wsparciem technicznym w dziale obsługi klienta. Ma dostęp do spisów połączeń. Może w nich grzebać. Jeżeli gliny będą węższe, nic ciekawego nie znajdą. Żadnych połączeń pomiędzy Jamiesonem, Youngiem i Calumem. Nie jest to zabezpieczenie, na którym chciałoby się polegać. Lepiej w ogóle do siebie nie dzwonić. W przypadku Franka nie było to możliwe. Trzeba było dzwonić, a potem wymazać połączenia z bazy. To właśnie zadanie Kirka. Zrobił to, a potem ktoś do niego zadzwonił. Jeden z najbliższych współpracowników Słodasa, David Fizzy Waters. Kirk miał dość przytomności umysłu, by nie wygadać się, że pracuje dla Younga. Chcieli znać billingi. Telefony wykonane tamtej nocy przez Scotta,

McClure'a i Shauna Huttona. Kirk powiedział o tym naszemu człowiekowi, który powiedział Youngowi, który dostrzegł w tym szansę. Ochronić Huttona. Przysługa za przysługę. Hutton może w najbliższej przyszłości okazać się wielce użyteczny. Ochronić go, wymazać ślad po tamtym telefonie.

Według oficjalnych danych Hutton wykonał tej nocy tylko jeden telefon: do samego Słodasa. To zwiedzie Słodasa, który niewątpliwie uzna, że Frankowi udało się jednak przekazać wiadomość. Kolejne małe zwycięstwo.

– Spisałeś się świetnie – mówi Young do Kirka. – Co mogę dla ciebie zrobić?

Chłopak kiwa głową. Udaje, że się namyśla. Że coś oblicza w głowie. Że zna się na rzeczy.

– Potrzebuję... gwarancji – mówi wreszcie. Chwilę musiał się zastanowić, by dobrać odpowiednie słowo. Udało się. – Muszę mieć pewność, że ta sprawa nie odbije mi się czkawką. Ponoszę spore ryzyko.

Potrzebuje poklepania po głowie.

– Posłuchaj mnie, Kirk. Wszyscy wiemy, jakie podjąłeś ryzyko. Duże. Doceniamy to, szanujemy, i masz naszą pełną ochronę. Postrzegamy ciebie jako jednego z nas – mówi Young. – Jesteś dla nas bardzo ważny. Chronimy takich ludzi. Masz moje słowo, Kirk. Więcej nie mógłbym ci zaoferować. – Słowo honoru. Tak jakby było coś warte. Kirk tego nie wie, zagubiony w świecie marzeń o prawdziwych gangsterach. Przyjmie je, Young nie ma wątpliwości.

– W porządku – mówi Kirk, kiwając głową. – W porządku. – Wstaje, zbiera się do wyjścia. Young czeka. Teraz Kirk odwraca się, tak jak Young się tego spodziewał. – Skoro już tu jesteśmy – mówi. Young wyciąga kopertę z kieszeni. Rozgląda się. Nikt nie patrzy. Kładzie na stole. Kirk bierze ją w pełnym widoku, wsadza szybko do kieszeni. W sposób, który zwraca uwagę. Young krzywi się, ale Kirk już zmierza ku drzwiom.

Drugie spotkanie. George Daly. Dobry chłopak, bez wątplenia. Użyteczny pracownik. Bardzo użyteczny. Ale niezdecydowany. Brak ambicji. Nie brak odwagi, to Young wyklucza. Zawsze gotów wykonać trudne zadanie, pod warunkiem że nie wychodzi poza pewne granice. Po prostu nie robi nic, co przyspieszyłoby jego karierę. Jest w miejscu, które mu się podoba, i nie idzie dalej. To irytujące. Marnowanie talentu. Frustrujące zwłaszcza dla Younga. Pozyskiwanie i promocja talentów to jego działka. George jest zdolny. Powinien awansować. Ciekawie byłoby go przycisnąć. Postawić w sytuacji, w której nie będzie mógł odmówić. Ale wtedy ma się kogoś, kto nie chce, ale musi. Kto chce uwolnić się z uwięzi. Traci się go na dobre. Trzymaj się tego, co masz, i szukaj alternatywnych rozwiązań. Ale zapytać nie zawadzi. Żeby wiedział, że jesteś zainteresowany. Że szansa czeka na niego, jeżeli

zmieni zdanie. Nie zmieni. Ale niech przynajmniej czuje się chciany.

Spotykają się na zapleczu w zakładzie bukmacherskim. Jamieson od lat ma tu połowę udziałów. Małe i bezpieczne miejsce. Young odbiera stąd czasem pieniądze, głównie po to, żeby się pojawić. Kilka razy przypałała się George. Rok temu musieli zmienić menedżera. Straszna oferta. Był bratanikiem drugiego współwłaściciela. Istny półgłówek. Robotę dostał po znajomości. Drugi właściciel twierdził, że chłopak ma doświadczenie w biznesie. Miał dyplom z czegoś tam. Jamieson wzruszył ramionami i dał zgodę. I tak mało pracy. Byle nie kradł. Ale ukradł. Łącznie około czterech tysięcy. George pomógł wymierzyć mu karę. Gdy bratanek o lepkich rękach wyszedł ze szpitala, punkt bukmacherski miał już nowego menedżera. Gburowaty, solidny, starszy gość z doświadczeniem. Tym razem wybór Jamiesona. Pod pretekstem brakujących czterech tysięcy zmarginalizowano współwłaściciela. Jamieson może dzisiaj zarządzać interesem, jak chce. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

George przyszedł wcześniej. Nie ma co robić z czasem. Trudno powiedzieć, żeby ciężko pracował. Większość ludzi robiących to samo kręci coś jeszcze na boku. Drobne interesy i koneksje, dzięki którym sobie dorabiają. To ich zajmuje. Czasami rozprasza. Ale nie George. On nigdy nie robił nic innego. Leniwy skubaniec, myśli Young. Z drugiej strony to dobrze – dzięki temu jest bardziej skupiony na tym, co robi. Wielu karków pakuje się we wszelkiego rodzaju głupoty. Najczęściej handel. Myślą, że dzięki mięśniom dorobią sobie trochę na ulicy. Niektórzy wchodzą w lichwę. To branża równie brutalna, jak narkotyki. Większość trzyma się od niej z dala. Niewielu karków się dorabia. Brakuje im na to pomysłu. Zazwyczaj pakują się w tarapaty. Trzeba ich ratować. George nigdy tego nie potrzebował. Jest na to zbyt inteligentny. Kolejny plus świadczący o jego zawodowstwie.

Siedzi przy stoliku, obserwując ekran telewizora zamocowanego na ścianie.

– Nie rozumiem tego – mówi do Younga, gdy ten zamyka za sobą drzwi.

– Czego?

– Wyścigów konnych. Nie rozumiem.

Young również nie rozumie ich jako sportu. Jako biznes, owszem.

– Pieniądze – mówi. – Graczami powoduje wizja wygranej. To ważne w sporcie tak nudnym do oglądania. Przyciąga się ich perspektywą bogactwa.

– Ale wszystko musi być ustawione, prawda? – pyta George. Dla podtrzymania rozmowy. Nie jest szczególnie zainteresowany. Uznał już, że coś takiego musi istnieć, by ludzie tacy jak Jamieson mieli na czym zarabiać.

Young się uśmiecha. Może jest to znaczący uśmiech. Może nie. Siada, nie

udzielając odpowiedzi.

Musi podejść do tego ostrożnie. George ma więcej oleju w głowie niż reszta. Nie myśl, że możesz nim pomiatać. To nie tak. Może być leniwy, ale ma charakter. Złóż mu propozycję, którą odrzuci. Zaoferuj mu coś. Niech cię zawiedzie. Potem złóż mu kolejną, którą odrzucić powinien. Coś, co mu się nie spodoba. Nie może powiedzieć „nie” dwa razy z rzędu. Cóż, może. Jest jednym z tych, którzy mogą rzeczywiście to zrobić. Ale pewnie tego nie robi. Wie, jakie są konsekwencje, jeżeli szefostwo się zawiedzie. Ogarnia rzeczywistość na tyle dobrze, by wiedzieć, jak bardzo by się naraził. Nie można odmawiać w nieskończoność. Drugą propozycję przyjmie.

– Jak leci, George? – pyta Young. Uprzejmie. Zgodnie. Delikatnie. Na luzie. George nie będzie utrudniał życia. Formalności są niepotrzebne. Można od razu przejść do rzeczy. – Słyszałeś o Franku?

– O Franku? Nie. Co z nim?

Czyli George nic nie wie. To dobrze. Nie uchylajmy jeszcze rąbka tajemnicy.

– Wycofuje się – mówi Young. – Nie tyle przechodzi na emeryturę, ile zwalnia tempo. Chodzi o biodro. Rekonwalescencja nie powiodła się do końca. Nie jest już taki szybki. Wciąż może pracować, ale nie do końca na tym samym odcinku co dotąd. – To niecała prawda, ale tak musi być. Nie można mówić otwartym tekstem. George musi czytać między wierszami.

– Szkoda – mówi George. W jego głosie już pobrzmiwa nieufność. – Trudno wyobrazić sobie Franka bez roboty. Zatem bierzecie kogoś na jego miejsce.

– Wiem, kim chciałbym go zastąpić – mówi Young. – Kimś z wewnątrz. Kimś młodym. Kto zna miasto na wylot. Kto zna naszą organizację. Chciałbym, żebyś ty objął tę funkcję, George.

George marszczy czoło. Nie potrzebuje czasu do namysłu.

– Nie jestem cynglem – mówi. – I nigdy nie będę. Nie tego chcę.

Young kiwa głową. Robi rozczarowaną minę. Nie wygląda na zaskoczonego. Nie może winić George’a, który przynajmniej jest szczery. Większość na jego miejscu ściemniałaby, zamiast otwarcie odmówić. Udawaliby chęć tylko po to, by wycofać się później. Dziwna sprawa z tym George’em. Dowiezie broń na miejsce akcji. Robił to już kilka razy. Będzie tam. Ale nie pociągnie za spust. Nie zrobi nic, co zagroziłoby jego miejscu na dole hierarchii. Dziwny chłopak. Czas zagrać w grę.

– Na pewno? – pyta Young. – Dalibyśmy ci fory. Na początek lżejsze roboty. – Nie ma w tym przekonania, tylko odrobina nacisku dla zachowania pozorów.

– Nie. Nie mógłbym tego robić. Nie jestem cynglem.

Znowu te same słowa. Nie jestem cynglem. Young zaczyna rozumieć, o co chodzi.



George wie, z czym to się wiąże. Widział, jakie ofiary muszą ponosić prawdziwi zabójcy. Jakie życie muszą wieść. Nie przemawia to do niego. Boi się nie tyle pociągnięcia za spust, ile życia w samotności. Określonego stylu życia.

– Nie będę udawał, że nie jestem rozczarowany – mówi Young. Wciąż gra. – Myślę, że byłbyś w tym świetny. Ale skoro odmawiasz...

– Odmawiam – mówi George. Rzadki moment stanowczości. Young nie spotyka się z tym często w pracy. Dobrze wiedzieć, że coś takiego jeszcze istnieje. Odpór. Siła. To pokazuje, jak dobrym byłby kandydatem.

– Przypuszczałem, że możesz tak powiedzieć. Miałem nadzieję, że będzie inaczej, ale cóż. Mam jednak dla ciebie inną robotę. Żadnego zabijania. Żadnej przemocy. Nic wielkiego. Powinna być łatwa.

– Mów dalej – cedzi George. Jest nie w ciemną bity, wie, że człowiek potyka się często właśnie o to, co „powinno być łatwe”. To określenie, na które trzeba uważać.

– Wiesz, że Calum ma dziewczynę. Na imię jej Emma. Chyba miła. I niegłupia. Martwi mnie. Zanadto się do niego zbliżyła. – Zawiesza głos. George powinien zrozumieć, na czym polega zadanie.

– Chcesz, żebym... doprowadził do ich rozstania? – pyta. Z niedowierzaniem, ale nie za wielkim. Dlatego właśnie nie chce być człowiekiem od mokrej roboty. Każdy myśli, że ma prawo wtrącać się do twojego życia.

W jego głosie zabrzmiała nuta obrzydzenia. Young przygląda mu się. George powinien uważać. Szczerść jest w porządku, ale nie można przeciągać struny. Young zawsze sądził, że George wie, gdzie jest granica. Czas się przekonać.

– Chcę, żebyś podszedł do tego subtelnie – mówi. – Delikatnie. Żadnego wtrącania się w sprawy Caluma. To dla jego dobra. Jego bezpieczeństwa. Czasem tak trzeba. Ochronić kogoś przed nim samym. Tak jest w tej branży, wiesz o tym. Calum popełnia błąd. Sam powinien go dostrzec. Dziwi mnie, że nie dostrzega. Ale może tak. Może potrzebuje tylko zachęty. Musimy rozwiązać problem za niego. Ty tego dokonasz. Wiem, że potrafisz podejść do tego z wyczuciem. Znaleźć sposób zakończenia tego związku. Bez goryczy. Nie chcę, żeby popadł w przygnębienie. Powinien mieć dość rozumu, żeby samemu to zrobić. Oddajemy mu przysługę.

– Aha – mówi George. Znowu ma niechętną minę. – A jeżeli się dowie? I uzna, że to nie była przysługa? – To błahy argument. Calum nic takiego by nie zrobił. Jest zbyt inteligentny, by wściekać się o taką rzecz.

– Wiem, że jesteś w stanie tego dokonać – powtarza Young i wstaje.

Ta konwersacja może już tylko zejść na manowce. Kolejna rzecz, której Young uczył się przez lata: kiedy wycofać się z trudnej rozmowy. George wie, że musi

wykonać zadanie. Upór doprowadziłby tylko do kłótni. Trzeba iść. Rozmowa przebiegła zgodnie z oczekiwaniami.

Jest w samochodzie. Żałuje, że George nie będzie cynglem. Że nie ma tej ambicji, jaką ma tylu głupszych od niego. Ale wtedy nie wykonywałby robót takich jak ta. Nie musiałby się zniżać do mieszania się w cudze relacje. Jego wybór. Da radę. Wykona zadanie. Doprowadzi do zerwania między nimi. Po cichu. Nie będzie mu się to podobało. Kolejna lekcja dla niego. Nie zawsze robi się to, co się lubi. Ale robi się to i żyje się dalej. Ludzie robili gorsze rzeczy. O wiele gorsze. Young mógłby opowiedzieć kilka historii. O ludziach, których znał. O rozkazach, które wydawał. O ofiarach, jakie ludzie ponosili. Mógłby. Ale oczywiście nigdy tego nie zrobi. George jest dość przytomny, by również to wiedzieć. Trzyma się gębę na kłódkę. Nawet przed najbliższymi. Nawet jeżeli człowiek chciałby się poskarżyć.

Jest ciemno i zimno. Ponuro, można by rzec. W każdym razie tak właśnie czuje się Kenny. Tym razem parkuje dwie ulice od domu. Resztę drogi pokona pieszo. Idzie spotkać się z gliną. Co trzeci krok rzuca ukradkowe spojrzenia na boki. Niewiele mógłby zrobić, żeby wyglądać bardziej podejrzanie. Chodnikiem i do frontowych drzwi. Jeszcze raz się rozgląda. Nikt go nie śledzi. Rozpoznawanie ogona to podstawowa umiejętność dobrego kierowcy. Wchodzi, szybko zamykając za sobą drzwi. Nowe zmartwienia. W kuchni pali się światło, ale kto tam jest? Powinien być tylko detektyw. Kenny potrząsa głową w ciemności. Całe to przedsięwzięcie jest o wiele bardziej wymagające niż jego praca. Czy warto tak ryzykować dla parasola bezpieczeństwa? Cholernie głupie pytanie. Oczywiście, że warto. Potrzebuje tego parasola, a to jest jedyne miejsce, w którym może go zdobyć. Wchodzi do kuchni.

Jest tam Fisher, sam. Siedzi przy stole, trzymając w dłoniach kubek gorącego napoju. Spogląda na Kenny'ego, kiwa głową na powitanie, odwraca wzrok. Nie proponuje Kenny'emu nic do picia. W porządku, nie ma sprawy. Kenny siada naprzeciwko detektywa. Czeka, aż gliniarz coś powie. Jeżeli tylko odpowiada się na pytanie, nie można popełnić błędu. Fisher pociąga kolejny łyk. Siorbie trochę. Teraz spogląda na Kenny'ego. Nie jest to przyjazne spojrzenie będące premią dla użytecznego informatora. Sprawia raczej wrażenie, jakby go oceniał. Jakby coś go trapiło.

– Potrzebuję czegoś od ciebie, Kenny.

– Czego?

– Czegoś użytecznego – mówi Fisher. – Zaczynam sprawdzać, na ile będziesz przydatny. Czy cię potrzebuję, czy nie. Może od kogoś innego dostanę lepsze informacje. Nie rzucam cię między wilki, jeszcze nie. Ale musisz mi coś dać, Kenny. Coś, co przekona mnie, że warto z tobą rozmawiać.

Dość grubo blefuje, ale nie ma wyjścia. Śledztwo utknęło w martwym punkcie. Część członków zespołu przydzielono do innych zadań. Wersja o morderstwie i samobójstwie jest obecnie szeroko akceptowana. Kolejna przegrana sprawa dla inspektora Michaela Fishera. Najważniejsi są Słodas i Jamieson. Nie ma wtyczki w otoczeniu Słodasa. Ale ma wtyczkę blisko Jamiesona. Czas jej użyć. Coś. Cokolwiek. Trop, który mógłby zaprowadzić do czegoś większego. Tak to się często dzieje. Człowiek nie dochodzi do rozwiązań, ale potyka się o nie. Jakiś gaduła robi aluzję, która w efekcie doprowadza do wyroków skazujących.

Kenny się zaciął. Wydyma policzki. Najwyraźniej się zastanawia. Szuka czegoś,

co nie pograży ani jego, ani nikogo z przyjaciół. Czegoś, co mógł jedynie usłyszeć, ale w co nie był bezpośrednio zamieszany. Daj mu czas. Niech dojdzie do wniosków, które mu pasują. Cokolwiek o nim powiedzieć jako o kiepskim informatorze, to jest wciąż jedynym, którego ma w otoczeniu Jamiesona. Przyciśnij go, ale nie spłosz.

Zastanawia się. I jeszcze. Coś, co go nie pograży. Cokolwiek. Gadać z gliną to już niezła lipa. Gadać i nie dostać w zamian ochrony to nie do pomyślenia. Podejmuje ryzyko, które może go zniszczyć. Musi coś być. Jest.

– Po klubie krąży plotka. Od kilku dni. To tylko plotka, ale...

– Mów dalej. – Większość plotek jest bezwartościowa. Niektóre są na wagę złota.

– Ludzie gadają, że Frank MacLeod idzie w odstawkę. Nie wiem, na ile to prawda.

– Urywa. – Dowiedziałem się od jednej z barmanek. Chyba jest blisko Jamiesona. Wygląda na to, że Jamiesona to gryzie. Upił się i zaczął wyzalać. Nie sądzę, by wymienił nazwisko Franka, ale ona wiedziała, o kim mowa. Nie chciał wysłać go na emeryturę, bo za nim przepada. Ale wychodzi na to, że Frank nie daje już rady fizycznie. Był na operacji biodra, wie pan... – urywa Kenny. I tak dość już powiedział.

Fishera przeszywa dreszcz na dźwięk nazwiska Franka. Próbuje to ukryć. Kenny tak pracowicie wymyśla barmanki, że nie zauważa reakcji detektywa. Frank MacLeod. Cholerny Frank MacLeod. Sprytny stary sukinsyn. Cyngiel. I to cyngiel Jamiesona. Wcześniej pracował dla wielu innych. Ilu ludzi zabił? Nigdy nieoskarżony. Nigdy nieskazany. Człowiek, który powinien był spędzić ostatnie trzydzieści lat w więzieniu. I kolejne, jeżeli jest na świecie sprawiedliwość. Obserwowali go już wcześniej. Chodzili za nim miesiącami. Nigdy nie popełnił błędu. Zdołał nawet przekonać kilku funkcjonariuszy starszych rangą, że nie ma nic wspólnego z mafią. Kogoś tam zna, ale tylko przelotnie. Ofiara oszczerstw i pomówień. Biedny mały Frank. A teraz posłali go na emeryturę. To jest w tym najdziwniejsze. Ktoś taki jak Frank przechodzi na emeryturę. Rzadkie. I niebezpieczne.

Ludzie tacy jak Frank nie przechodzą na emeryturę. Pracują, aż padną. Emerytura czyni z nich cele pozbawione ochrony. Frank będzie się czuł cholernie bezbronny. Ale plotka nie jest do końca pewna. Po pierwsze, źródło. Nieważne, jak pijany i rozemocjonowany był Jamieson – nie ma mowy, żeby wygadał się przed barmanką. Bez względu na to, jak była chętna i powabna. Kenny ją wymyślił. Informację zapewne gdzieś podsłuchał. Albo usłyszał od kogoś, do znajomości z kim nie chce się przyznać. Czyli kłamie na temat źródła. No i co. Jeżeli prawdziwe źródło jest wiarygodne, nie ma to znaczenia. Fisherowi nie podoba się również to, jak Kenny mówi o Jamiesonie. Zawsze po nazwisku. Może po prostu dostosowuje się do

Fishera. On sam go tak nazywa, bo go osobiście nie zna. Ale Kenny powinien. Do jasnej cholery, w końcu jest jego kierowcą. Pracuje z nim praktycznie codziennie. Powinien mówić o nim „Peter”. A mówi tak, jakby go ledwie znał. Na ile w istocie jest blisko Jamiesona?

– Mówisz, że został zmuszony do odejścia? – Naciśnij, ale nie za mocno. Trzeba wyluzować. Informacja jest ciekawa. Pytaj delikatnie i pochwal go.

– Chyba tak – mówi Kenny. Znowu się denerwuje. – Wątpię, by sam chciał odejść. Jest dobry. To znaczy, nie jest dobrym człowiekiem. Jest przestępcą, a więc jest zły. Ale miły z niego gość. Cóż...

– Dobrze, Kenny – mówi Fisher. Nie ma cierpliwości siedzieć i słuchać, jak kolejny kryminalista udaje, że nim nie jest. Albo że jako jedyny w całej branży jest uczciwy. Wszyscy tak mówią. Niektórzy nawet w to wierzą. – To, co mówisz, brzmi interesująco. Myślę, że możemy jednak współpracować. Nie zapomnę, że nam pomogłeś. Jeszcze tylko jedna rzecz. Jeżeli Frank odchodzi, to ktoś musi przyjść na jego miejsce. Wiesz kto? – Nie wspomina, o jaką pracę chodzi. Ignoruje fakt, że Frank był człowiekiem od mokrej roboty, bo to by oznaczało, że Kenny wiedział, a nie powiedział. Kenny się do tego nie przyzna. Fisher nie będzie go zmuszał.

Kenny podejrzanie intensywnie mruga. Zapomniał, że nie wiedzą o Calumie. A powinni. Od niego się nie dowiedzą. W każdym razie jeszcze nie teraz. Zachowa to dla siebie na później. Może na zawsze. Nigdy nie wiozł Franka na robotę. Ani razu. Stary Frank był zawsze miły i uprzejmy, ale nigdy go nie potrzebował. Calum tak. Ten jeden raz, ale fakt pozostaje faktem. To czyni go winnym współudziału. Zawiózł Caluma na osiedle. Zginęło tam dwóch ludzi. Mówią, że było to morderstwo i samobójstwo, ale Kenny wie lepiej. To była robota Caluma. Musiała być. Podwójne morderstwo. A Kenny go tam zawiózł.

– Nie wiem – mówi wreszcie. – Może kogoś planują, ale nie słyszałem. To zresztą nie jest działka Jamiesona, tylko Younga. Chyba on się tym zajmuje. Rekrutacja, kadry, te sprawy.

– Nawet gdy chodzi o decyzję tak istotną jak to, kto ma zastąpić Franka MacLeoda?

Kenny wzrusza ramionami.

– Chyba tak. Nie wiem. Wiem, że on się tym zajmuje. Oczywiście, ostatnie słowo należy do Jamiesona, ale zwykle to Young wykonuje całą wstępną robotę. To wszystko, co wiem.

O nie, myśli Fisher, nie wszystko. To wszystko, co jesteś gotów w tym momencie powiedzieć, ale wiesz o wiele więcej. Kenny na pewno coś zatrzymuje dla siebie. Nie można znać kogoś tak ważnego jak Frank, nie wiedząc wiele o jego kumplach. Jeżeli

Kenny jest sprytny, to zachowa do własnej wiadomości to, co najlepsze. Będzie się tym dzielił latami po kawałku. Przemilczy wszystko, co mogłoby mu zaszkodzić. Co by go pogrążyło. Co zniszczyłoby jego pozycję w organizacji Jamiesona albo parasol bezpieczeństwa, który próbuje dla siebie stworzyć. Na razie wystarczy. Frank MacLeod. Fisher siada wygodniej, zastanawiając się nad tym, jak najlepiej wykorzystać tę informację. Kenny wciąż tam jest. Siedzi, zimny i zdenerwowany. Czekają, by mu powiedziano, że spotkanie dobiegło końca.

– Takie właśnie rzeczy potrzebuję wiedzieć – mówi Fisher. – Gdybyś jeszcze coś takiego usłyszał, daj mi znać. Masz numer, który ci dałem?

– Tak.

– Świetnie – mówi. – Dzięki za przybycie. Wyjdź pierwszy.

Kenny wychodzi, ostatni raz zerkając tęsknie na kubek z herbatą. Fisher wciąż myśli. Rozważa. Najlepiej byłoby aresztować Franka MacLeoda. Ale tego nie może zrobić. Nic na niego nie ma. Frank to zabójca, ale jest dobry. Na tyle dobry, by nie zostawiać śladów. Co teraz zrobi? Zwolniony przez jedną organizację, może pójść do innej. Z niejednej przez lata zrobił sobie wroga. Nie można działać w branży tak długo i nie narobić sobie wrogów. Ale ktoś się znajdzie. Ktoś go zatrudni. Ktoś szukający wiarygodnego nazwiska. Pragnący dołączyć do swojego zespołu kogoś znamienitego, z reputacją. Kolejny ambitny młodzian. Taki jak Jamieson, kiedy angażował Franka. Frank robi to dla poczucia bezpieczeństwa. Potrzebuje ochrony. Jeżeli zmuszono Franka do odejścia, to znaczy, że coś się wydarzyło. Coś niewybaczalnego. Nie wysyła się kogoś takiego jak Frank MacLeod na zieloną trawę z powodu obaw, że się starzeje. Musiał coś schrzanić. Albo kogoś przekreślić. Raczej schrzanić. Był zbyt bezpieczny tam, gdzie był, żeby z kimś zadrzeć. Musieli go wylać za niekompetencję.

Myje kubek w zlewie. Fisher pojedzie stąd prosto do domu. Ma ładny mały domek, ale życie w nim nudzi go. Nudzi go wszystko poza pracą. Nie ma nic złego w tym, że się kocha tylko pracę, z wyłączeniem całej reszty. W każdym razie nie według Fishera. I wcale to nie czyni z człowieka smętnego nudziarza, prawda? Co jeszcze mogłoby się z tym równać? Frank MacLeod, zostawiony na lodzie. Odślonięty i pozbawiony ochrony. Szukający jakiejś tarczy. Musi wiedzieć, że stał się dla wszystkich celem numer jeden. Każdy, kto ma powód go nienawidzić, ma teraz szansę go zabić. I będą próbować, jeśli dowiedzą się, że Jamieson go zwolnił. Dlatego Frank będzie się spieszył. Jeden człowiek już wie, że jest bezbronny. To Jamieson. Jamieson jest twardy, bezwzględny. Czarujący, jak mówią, ale bezwzględny. On będzie pierwszy w kolejce do pozbycia się Franka. Jamieson nie jest głupi. Prawie nikt nie wie o jego sprawkach tyle co Frank. Będzie potrzebował gwarancji, że Frank nie sygnie. Dlatego Fisher też musi się spieszyć.



Telefon. Nie od Younga, lecz od samego Jamiesona. To niezwykle. Brzmi nieswojo. Zawsze pogodny, przyjazny, jakby był twoim kumplem. Nie tym razem.

– Calum, tu Peter. Chcę, żebyś podjechał do klubu. Kieruj się prosto do biura.

– W porządku – mówi Calum. Nie musi nic dodawać. Wygląda to na kolejną robotę. Tak sugerowałaby późna pora. Ale robotę inną niż zwykle. W normalnych okolicznościach dzwoniłby Young. Wszystko jest tak zorganizowane, że zawsze on dzwoni. Konsekwencja jest ważna.

– Przyjeźdź od razu – mówi Jamieson i kończy połączenie. Dotąd specjalnie starał się być zawsze przyjazny dla Caluma. Mówić tonem lekkim i swobodnym. Zawsze chwalić. Teraz był oficjalny. Rzeczowy. Jak nie on.

Calum odkłada słuchawkę. Idzie po kurtkę do szafy i upewnia się, że nie ma na sobie nic, co dałoby się zidentyfikować. Sprawa wygląda niepokojąco. Może będzie musiał jechać prosto na robotę. Kluczyki samochodowe, wychodzi. Jedzie do klubu. Nie ma sensu gdybać. Nawet nie próbuj odgadnąć, o co w tym chodzi. Dojedziesz na miejsce i się dowiesz. Po co spekulować? Nie lubi jeździć w nocy. Skup się na prowadzeniu. Young nie jest w to wciągnięty. Dlaczego? Może jest. Może też tam będzie; po prostu nie on dzwonił. Dlaczego Jamieson wydawał się taki przygnębiony? Musi chodzić o Franka. Nie ma innego wyjścia. Kiepskie wieści na temat Franka oznaczają kiepskie wieści dla Caluma. Na miłość boską, przestań gdybać. Po prostu znajdź miejsce do zaparkowania. To nie takie proste w tej okolicy. Dwa razy wzdłuż ulicy, aż coś się zwolni. Krótki spacer do klubu.

Jest zimno, ale sądząc po ludziach stojących pod klubem, trudno byłoby się domyślić. Młode – niekiedy za młode – dziewczyny w krótkich – niekiedy za krótkich – sukienkach. Jakby było lato. Śmieją się i rozmawiają, czekając na wejście. Stoją w czymś w rodzaju kolejki. Dziewczęta i chłopcy, próbujący nawzajem zrobić na sobie wrażenie. Kiedyś tak nie było. Klub ledwie zipsał. Jamieson postawił go na nogi. Zrobił z niego modne miejsce, a w ślad za tym przyszyły zyski.

To nie najlepsze miejsce na biuro, myśli Calum, mijając tłumek oczekujących. Jamieson jest na tyle grubą rybą, że mógłby znaleźć sobie coś spokojniejszego, mniej na widoku. Poza wszystkim innym chodzi o nostalgię. To był pierwszy legalny interes, jaki przejął. Wtedy posiadanie tu biura miało sens. To też miejsce sukcesu Jamiesona, gdzie dowiódł, że radzi sobie na legalnym rynku. To zawsze wiele oznacza dla ludzi z branży. Lubią pokazać, że są skutecznymi biznesmenami bez względu na okoliczności. Dzisiaj Jamieson buduje imperium, jednak już dawno



powinien był przenieść się gdzie indziej. Ale nie robi tego. Tu ma swoją strefę komfortu.

Kilka osób przygląda się Calumowi. Zwiesza głowę, bo chce, aby zostawiono go w spokoju. Mija oczekujących i kieruje się do drzwi. Kilka osób uważa, że postępuje nieuczciwie. Bramkarze patrzą na niego, gotowi go zawrócić. Jeden go rozpoznaje i daje znak koledze, żeby nic nie mówił. Odsuwają się, przepuszczając go. Bez jednego słowa. Wiedzą, jak mają postępować. Wiedzą, kto przyszedł się zabawić, a kto – do szefa.

Wchodzi do środka. Dudniąca muzyka i ludzka ciżba. Niektórzy to lubią. Ocieranie się o obcych ludzi, na poły ogłuszonych i w większości pijanych. Sala taneczna na prawo, schody na wprost. Siedzą tam cztery osoby. Płacząca dziewczyna pocieszana przez przyjaciółkę. Kilka stopni wyżej namiętnie całująca się para. Calum przechodzi obok nich. Uważa, żeby nikogo nie potrącić. Nie zwrócić na siebie uwagi. Nie potknąć się na tych zdradliwych schodach. Nikt z czwórki siedzących tam osób nie zwraca na niego uwagi. Wchodzi do sali bilardowej.

Tutaj jest spokojniej. Mniej ludzi. Trzy stoły w użyciu, pół tuzina moczymord opartych o bar. Kilku spogląda na niego, gdy ich mija, ale żadne spojrzenie nie zatrzymuje się na dłużej. Znają swoje miejsce. Jamieson nie obnosi się z tym, co robi; nie chwali się tym, ale ludzie nie są głupi. Wiedzą, że komuś, kto idzie do gabinetu szefa, lepiej zbyt długo się nie przyglądać.

Puka do drzwi. Zazwyczaj jest tak, że stoi się na korytarzu i czeka, aż Jamieson zawoła. Nie chodzi o dobre maniery, raczej o to, by wchodząc niespodziewanie, nie zobaczyć czegoś, czego nie powinno się widzieć. Przy Jamiesonie to mało prawdopodobne, jest na to zbyt ostrożny. Ale nigdy nie wiadomo. Ze środka dobiega stłumione wołanie. Calum otwiera drzwi, przestępuje przez próg, szybko zamyka za sobą drzwi. Jamieson jest sam, siedzi za biurkiem jak zwykle. Kanapa po prawej jest pusta. Nie ma Younga. To dziwne. Calum próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek miał z Jamiesonem spotkanie w cztery oczy.

– Chodź, siadaj – mówi Jamieson, wskazując na krzesło przed biurkiem.

Calum zajmuje miejsce, próbując wyczytać coś z twarzy szefa. Przede wszystkim wygląda na zmęczonego. I zdenerwowanego. Calum nic nie mówi, czeka, aż Jamieson zagai. O cokolwiek chodzi, zaraz się dowie.

– Musimy przeprowadzić rozmowę – mówi Jamieson. – Być może niełatwą.

To nigdy nie jest coś, co chciałoby się usłyszeć na początek. Calum siedzi, nieporuszony. Umyślnie nieporuszony. Nie pokaż mu, że się przejmujesz. Niech nie myśli, że łatwo cię wystraszyć. Ze spokojną miną czeka, co szef ma do powiedzenia.

– Musimy porozmawiać o Franku – mówi Jamieson. Ton jego głosu sugeruje, że

nie ma na to ochoty. Że wolałby porozmawiać o czym innym. – Widziałeś, co się stało – mówi, podnosząc dłoń w geście rozpaczy. – Schrząnął to. Niemilosiernie. Będę z tobą szczery, Calum. Nie powinienem był cię wysyłać. Nie zasługujesz na to, by ryzykować w ten sposób. Ktoś taki jak Frank zna zasady. Wie, że jeżeli utknie, to nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Posłałem cię tam, a nie powinienem był. Przepraszam. Ty spisałeś się na medal, ale mimo to jest mi głupio. – Okazuje słabość, pozwala Calumowi zobaczyć, że potrafi przyznać się do błędu. W tej branży większość uznaje to za słabość. Tutaj się nie przeprasza. Zwłaszcza kiedy jest się szefem. Moment na uniesienie brwi.

Calum kiwa głową. Przyjmuje przeprosiny, starając się pokazać, że nic wielkiego się nie stało. Ale myśli ma chmurne. Nie chce słuchać tej skruszonej przemowy. Wie, dokąd to prowadzi.

– Cała ta sprawa z Frankiem – mówi Jamieson. – Cała ta robota to była pomyłka. Powinienem był wiedzieć, że chłop nie da rady. Jego biodro i tak dalej. Chciałem wierzyć, że da się wejść dwa razy do tej samej rzeki. Jakby się nic nie zmieniło. Ułatwiało mi to życie. Potrzebuję dwóch ludzi od mokrej roboty. Ciebie i jego. Nawet jeżeli nastąpiła nieoczekiwana zamiana miejsc, chciałem, żebyście byli to wy dwaj. Może ty stałeś się numerem jeden, a on rezerwowym, ale wciąż wy dwaj. Utalentowani ludzie, którym mogę zaufać. Niełatwo o takich. Nie masz pojęcia – mówi z ponurym uśmiechem.

Cała ta szczerłość tworzy ciężką atmosferę. Jamieson to wyczuwa. Czas przejść do rzeczy.

– Frank przeszedł na emeryturę. Próbuję zatrzymać go przy sobie w roli doradcy, ale nie sądzę, żeby się na to zgodził. Nie na długo w każdym razie. To nie ten typ. Może pojawiać się tu raz na jakiś czas, ale chcę, żebyś odtąd myślał o nim jak o emerycie.

Jest w tym ostrzeżenie. Od tej chwili nic Frankowi nie mówisz. Nie chodzisz do niego po pomoc albo radę. Nie mówisz mu o robotach, jakie wykonujesz dla organizacji. Frank stał się kimś z zewnątrz.

– To... – Calum urywa, szukając odpowiedniego słowa. – Smutne. – To zdaje się właściwym określeniem. Prawdziwym, lecz niezobowiązującym.

– Tak jest – mówi Jamieson i kiwa głową na znak, że istotnie tak myśli. Calum jeszcze nigdy nie widział go przygnębionego. Jamieson zawsze trzyma gardę. Bez względu na to, co czuje, potrafi blefować z kamienną twarzą. To jedna z tych rzadkich chwil, kiedy nawet nie próbuje. Świadomie demonstruje Calumowi, ile to wszystko dla niego znaczy. To gest zaufania. Gest, który Calum niespecjalnie ma ochotę przyjąć. – Smutne, lecz prawdziwe – mówi Jamieson. – Popełnił błąd, który nie ma

prawa się powtórzyć. W gruncie rzeczy powinien już nie żyć. Gdybym tamtej nocy postąpił właściwie, byłby dzisiaj martwy. – Calum czyta między wierszami. Franka należało zostawić własnemu losowi. Uratowanie go przysporzyło jedynie kłopotów. Widać, że Jamiesonowi niełatwo powiedzieć coś takiego o przyjacielu, ale ma rację. Dla organizacji byłoby lepiej, gdyby Frank zginął tamtej nocy.

To awans. Ta okropna, bolesna wymiana to coś, co uchodzi tutaj za krok naprzód w karierze. Jest tylko jedna rzecz, którą Jamieson może teraz powiedzieć.

– Rozumiesz, co to dla ciebie oznacza. Franka nie ma. Jest skończony jako cyngiel. Ty stajesz się naszym głównym człowiekiem od mokrej roboty. – Pauza. – Nie chcę, żebyś myślał, że po prostu tak wyszło. Byłoby tak samo, nawet gdyby Frank pozostał aktywny. Jesteś w szczytowej formie; ostatnie kilka robót ostatecznie tego dowiodło. Nadszedł twój czas.

Calum potakuje. Wyraża uprzejmą zgodę. Nie pora na okazywanie entuzjazmu. To nie w jego stylu. Nie teraz, a najlepiej w ogóle.

– Wiesz, to nie jest jakaś cholerna ceremonia – mówi Jamieson z uśmiechem. Teraz bardziej przypomina zwykłego siebie. Czupurnego, przetykającego wypowiedzi grubym słowem. – Przekazanie znicza czy coś takiego. Wszystkie te bzdury to... po prostu bzdury. Wiesz, że normalnie nawet bym o tym nie wspomniał. Myślę, że sam byś do tego doszedł. Tyle że to nie są zwyczajne okoliczności. Nie po tym, co się stało. – Znowu mówi ciszej. Posępniej.

Wydaje się, że wszystko zostało powiedziane. Calum odchrząkuje. Stara się wymyślić coś stosownego. Jakąś błyskotliwą odpowiedź. Coś, co nie zabrzmiałoby jak zwyczajne kłamstwo. Mógłby podziękować, ale to byłoby nieszczerze. Wcale nie jest wdzięczny.

– Cóż, dobrze, że mi to mówisz – odzywa się wreszcie. – To znaczy o Franku. Nie wiedziałbym, jak go traktować, gdybym go spotkał na ulicy. – To nieprawda, wiedziałby. Jak zawsze ostrożnie.

Jamieson się uśmiecha.

– Sam byś do tego doszedł. Posłuchaj, Calum, wiem, że nie jesteś z nami długo. I że jesteśmy pierwszą organizacją, dla jakiej pracujesz. W każdym razie regularnie, nie z doskoku. To wszystko może wydawać ci się niezbyt ważne. Może nawet być ci nie w smak. Domyślam się, że nie czujesz się jeszcze z nami w pełni komfortowo. Naprawdę, rozumiem to. Przyzwyczajony jesteś do większej swobody. Chcę, żebyś wiedział, że to rozumiem. Nie będiesz naszym jedynym człowiekiem do zadań specjalnych. Nie zamierzam cię nadmiernie obciążać. Będę się starał tak wszystko ułożyć, żeby ci pasowało. Oczywiście, czasem mogę nie móc nic poradzić. Ale będę próbował. Zapewnię ci również najlepsze w mieście wsparcie i ochronę.

To są profesjonalne obietnice. Rozsądne, szczodre i przewidywalne. Niektóre z nich będą dotrzymane, inne są mniej pewne. Jamieson nie może zagwarantować najlepszego wsparcia i ochrony – może jedynie starać się je zapewnić. Chyba czas iść. Powiedzieli wszystko, co miało być powiedziane. W każdym razie Jamieson. Calum głównie milczał.

– Doceniam to – mówi Calum. Wygłaszaj odpowiednie zdania, by konwersacja toczyła się gładko. – Chyba zaczynam się do tego przyzwyczajać. Tyle że tamta sprawa z rękami wszystko spowolniła. – Podnosi dłonie. Wciąż pokryte bliznami. Wciąż brzydkie. Jamieson potakuje na zgodę. Być może to już wreszcie koniec. Calum nie jest typem rozmownym, ale to Jamieson już wie.

– Jest jeszcze coś – mówi Jamieson. Wzrok spuszczonej, twarz znowu zboląła. Atmosfera nagle gęstnieje. Zdaje się, że to dla tej chwili Calum został tu dzisiaj wezwany. – Nie wiem... – mówi Jamieson i urywa. – W świetle faktu, że znalazł się na emeryturze i poza wewnętrznym kręgiem, nie wiem, jak Frank zareaguje. To dla niego duża zmiana. Po raz pierwszy od czterdziestu kilku lat nie robi tego, co robił. Wiem, że pewnie miał przerwy i tak dalej, ale... – zawiesza głos. Teraz poprosi Caluma o coś nieprzyjemnego. Prawie nie musi tego mówić. – Chodzi o to, że ufam Frankowi. Normalnie ufam mu nad życie. Nie sądzę, by zrobił cokolwiek, czego nie powinien robić. Nie sądzę. Ale nie mogę być stuprocentowo pewny. Nie chcę, żebyś robił mu jakąkolwiek krzywdę; tylko żebyś go obserwował. Ostrożnie, oczywiście. Na emeryturze czy nie, Frank to nie jest ktoś, kogo chciałbyś wkurzyć. Po prostu obserwuj go i patrz, co się dzieje. Jestem przekonany, że nic, ale mimo to chciałbym wiedzieć.

Calum kiwa głową. Milczy. Nie jest to robota, której by chciał. Pod każdym względem nie jest. Ale musi potakiwać. I wie, że w końcu to zrobi. Oczywiście było, że Jamieson każe śledzić Franka. Dziwne tylko, że zleca to innemu cynglowi.

– W porządku.

– Wiem, że to ci nie w smak – mówi Jamieson, podnosząc rękę w pojednawczym geście i uśmiechając się znacząco. – Jesteś cynglem. Taka robota jest trochę poniżej twojej godności, zgadzam się. Ale musi ją wykonać ktoś, komu ufam. Ktoś dobry w tym, co robi. A ty jesteś naprawdę dobry. Myślę również – tu przybiera ton nieco bardziej refleksyjny – że dobrze byłoby, żebyś właśnie ty na to spojrział. Wiesz, co Frank powinien teraz robić. Łatwiej niż inni zauważysz coś niepokojącego. Tobie rzuci się to w oczy. Myślisz jak on – mówi z uśmiechem. – Możesz nie być tego świadom, ale tak jest.

Odwlekał to, ile się dało. W nadziei, że Young zadzwoni i wszystko odwoła. Niestety. Nie zadzwonił. Teraz więc to George musi wykonać pewien telefon. Zrób to delikatnie, powiedział Young. Jasne, bo karki znane są ze swojej subtelności. To głupia robota. Głupia i zdradliwa. Kark próbujący w delikatny sposób wykiwać cyngla. Co mogłoby pójść nie tak? Calum nie jest w gorącej wodzie kąpany. Nie wpada w szal z byle powodu. Z drugiej strony wie, jak kogoś ukarać.

Powinien był zadzwonić poprzedniego wieczoru. Żeby mieć to z głowy. Zawsze tak działał. Ludzie myślą, że to zdecydowanie. Może nawet entuzjazm. Ale to tylko zdrowy rozsądek. Masz robotę, to ją zrób. Nie przeciągaj sprawy. Potem będzie trudniej. Większość robót zleczanych karkom jest prosta, więc nie ma sensu nad nimi deliberować. Zrób, co masz do zrobienia, i tyle.

Byłoby łatwiej, gdyby znał Emmę. Zadzwonić, usiąść, pogadać. Przedyskutować temat. Wytłumaczyć jej. Nie zdradzać nic kompromitującego, ale powiedzieć tyle, by sama mogła się domyślić. Dać jej szansę wykazać się wrażliwością i odejść. Żadnego złamanego serca, tylko zdrowy rozsądek. Ale nie, to nigdy nie jest takie proste. Nie zna jej. Raz ją widział, z trudem przypomina sobie, jak wygląda. Pamięta jej przyjaciółkę Annę Milton. To z nią spiknął się tego wieczoru. Ładna mała blondynka. Podobała mu się przez jakieś dziesięć minut. Potem zaczęła go drażnić. Naprawdę drażnić. Wkurzający śmiech. Lepiąca się. Głośna. Był już na tyle wstawiony, że przestał zwracać uwagę. Ale rano, kiedy się zbudził, wszystko wróciło. Powiedział, że do niej zadzwoni. I proszę, minął miesiąc, a on dzwoni.

Sądząc po głosie, jest nieco zdezorientowana. Nie rozpoznaje numeru.

– Cześć, Anno, tu George. Pamiętasz mnie?

Milczenie.

– O tak, pamiętam – mówi. Uprzejmy głos, który odebrał telefon, zniknął, zastąpiony przez krzykliwy i gniewny, który ona tak lubi. – Pamiętam, że dałam ci numer. Obiecałeś zadzwonić.

– I dzwonię – odpowiada szelmowskim tonem. – Nie uwierzyłybyś, ile czasu zajęło mi odzyskanie twojego numeru. Dopiero wczoraj odebrałem telefon. Po wielu tygodniach – improwizuje. – Pewnie jesteś na mnie solidnie wkurzona, co?

– Niby skąd odebrałeś telefon? – pyta Anna. Nie jest rozgniewana, raczej zdziwiona. On już wie, że ją ma.

– Nie winię ciebie – mówi. Nie ma zamiaru odpowiadać na jej pytanie. – Słuchaj,

co powiesz na lunch? Ja stawiam. W ramach przeprosin.

– Dzisiaj?

– Jasne, jeżeli masz czas.

– Tak... myślę, że mam.

Zrób to. Załatw sprawę. Jedno spotkanie przy lunchu, potem już nigdy nie będziesz musiał dzwonić. Skieruj rozmowę na Caluma. Zdradź jej garść sekretów, by miała z czym pobic do Emmy. A potem udawaj, że wszystko jest normalnie i wcale nie wbiłeś właśnie przyjacielowi noża w plecy.

Ubiera się. Podjedzie po nią. Pojadą do dobrego lokalu. Łatwiej kontrolować przebieg rozmowy, gdy okoliczności są przyjemne. Nie ma potrzeby rezerwować stolika, wystarczy nie wzbudzać zainteresowania na miejscu. Nie może wywołać awantury. I tak Calum może się o tym dowiedzieć na tyle sposobów... Anna może powiedzieć Emmie, a ta – Calumowi. Wymienić jego imię. Zwłaszcza, jeżeli się na niego gniewa. Ładna koszulka, zwykłe spodnie. Włosy uczesane. To wystarczy. Wychodzi, wsiada do auta. Przypomina sobie, gdzie Anna mieszka. Porządna okolica jak na studentkę. Czynniki pewnie płatny z konta mamusi i tatusia. Nie żałuje jej bogatych rodziców. Też brały od swoich, gdyby było co.

To nie o niej myśli, jadąc. Myśli o Calumie. Swoim przyjacielu. Czy Calum też go za takiego uważa? Jasne. Nie żeby miał ich wielu. Ale George'a musi do nich zaliczać. Przynajmniej od tamtej nocy. To do niego zadzwonił. Jemu ufał. Potrzebował kogoś, kto mu pomoże. Kto go uratuje, mówiąc szczerze. Zabił Davidsona, ale ten poranił mu dłonie. Był więc do niczego. Psychikę miał mocną, ale sam nic by nie zdołał. Potrzebował kogoś zaufanego. George pojechał. Środek nocy. Pilny telefon. Nie wiedział, w co się pakuje. Calum go docisnął. Nie było miejsca na wątpliwości. Wykonali robotę, i zrobili to dobrze. Pozbyli się ciała. Ich notowania u Jamiesona wzrosły. George był pierwszą osobą, do której Calum zadzwonił. Był tym, któremu Calum ufał najbardziej, gdy sprawy się skomplikowały. A George tak mu się odpłaca.

Anna czeka przed domem. Zagląda do wnętrza samochodu, gdy George zjeżdża na bok. Ładna jest, trzeba to przyznać. Gdyby było inaczej, nie miałyby życia z taką osobowością.

– Dobrze cię widzieć – mówi z najmiłszym uśmiechem, na jaki potrafi się zdobyć.

– Szkoda, że tyle to trwało, ale przecież możemy to nadrobić.

On odwzajemnia uśmiech.

– O tak – mówi sugestywnym głosem. Co tam Young mówił o subtelności? W takim razie chyba w ogóle nie powinien nic robić za pośrednictwem Anny.

– Dokąd idziemy? Znasz jakieś fajne miejsce?

– Najlepsze, na jakie mnie stać. Spodoba ci się. Ma klasę.

– Nie sądziłam, że jeszcze to od ciebie usłyszę, niegrzeczny chłopaku – mówi Anna.

Już działa mu na nerwy. Nie traci czasu. Niech cierpi. Męka zdrady wydaje się lżejsza, gdy ona też będzie cierpieć.

Są w restauracji. Na całe szczęście nie ma tłoku. Już zamówili. Ona czeka na George'a. Chce go zapytać o telefon. On zmieni temat. Nie komplikuj kłamstw. Wymów się niepamięcią. Skieruj rozmowę na Caluma. Podano im. Jedzą oboje, dzięki czemu ona milczy. Nie wspomniała jeszcze o telefonie. Może w ogóle nie wspomni. Może nie chce przeciągać struny. Zadowolony się ogólnikowym kłamstwem.

– Jak studia? – pyta George. To uprzejmy sposób skierowania rozmowy w stronę Emmy.

– Jestem zadowolona. Chociaż czasem brakuje mi w tym wszystkim zaangażowania. Nie mogę się doczekać, kiedy zrobię dyplom i zacznę pracować. Jest tyle rzeczy, które chcę robić.

George potakuje między kęsami. Kultura przede wszystkim. Robi, co może, żeby okazać zainteresowanie.

– Pozwól, że cię o coś zapytam – mówi Anna. Odkłada sztućce. Wyciąga rękę nad stołem. Zapowiada się strzał z grubej rury, myśli George. – Z czego ty żyjesz? Chyba wiem, ale chciałabym to usłyszeć od ciebie.

To pytanie, na które on nie chce odpowiadać; ale przyszli tu, by właśnie o tym porozmawiać. Jednak George nie powie tego nikomu. Nie jest gadułą, to pewne na bank. Zresztą to może być policyjna ustawka. Anna może być irytująca, ale nie jest głupia. George nie lekceważy faktu, że mogłaby go załatwić na szaro. Może nawet jest na podsłuchu. Biedny ten sukinsyn, który musi słuchać jej nagrań.

– A sądzisz, że z czego? – odpowiada pytaniem. Do tego łobuzerski uśmiech.

– Nie, ja zapytałam pierwsza. Czym się zajmujesz? – Mówi cicho, konspiracyjnym szeptem.

Znowu ogólniki.

– Wszystkim po trochu. Łapię fuchy. Co podleci.

Anna marszczy brwi.

– Jeżeli nie odpowiesz szczerze, to nic z tego nie będzie.

Nie odpowie szczerze, i nic z tego nie będzie. A jednak ich znajomość musi

przetrwać do końca tej rozmowy. Potem może spokojnie popaść w zapomnienie.

– Dobrze, będę z tobą szczery. Zajmuję się najróżniejszymi rzeczami. Nie wszystkie z nich są – jak by to ująć? – do końca zgodne z prawem. Przyznaję, ocieram się czasem o szemrane interesy. Ale nic poważnego – mówi. Unosi rękę na znak, że nie kłamie. Stara się, żeby jego głos brzmiał autentycznie. – Wiem, że część z tego, co robię, nie przynosi mi chwały. Ale nigdy nie przekroczyłem pewnej granicy. – Czas zwesłować rozmowę w pożądanym kierunku. – Znam ludzi, którzy ją przekroczyli, przyznaję. Czasami zadawałem się z typami spod ciemnej gwiazdy. Przyjaźniłem się z ludźmi, którzy robią rzeczy, jakich nie pochwalam. Ja chciałem tylko zarobić na życie. Trzymać się z dala od kłopotów. Jak dotąd mi się udało. Nie chcę, żebyś wzięła mnie za jakiegoś oprycha; nie jestem nim. Może kiedy byłem młodszy. Teraz już nie.

Pozwala jej to przetrwać. Najpierw pomyśli o sobie. Na ile może mu zaufać? Czy powinna wyjść już teraz? Oszczędzić sobie kłopotów. George jest dobrym kłamcą; jego opowiadanie nawróconego grzesznika powinna przekonać Annę. W przeszłości trochę grzeszył, teraz żyje uczciwie. Ona chce w to wierzyć, więc uwierzy. Gdy rozważy już własną sytuację, przejdzie do pozostałych rzeczy, które powiedział. O przyjaciółkach, jakich ma. Zacznie się zastanawiać, jak odnosi się to do niej. W końcu dojdzie do Emmy. W swoim czasie. George nie popędza jej, czeka. Sama do tego dojdzie. Lada moment.

– Masz przyjaciół, którzy są mocniej zaangażowani w takie sprawy?

– Jasne, mam i takich.

– Czy należy do nich twój Calum?

No i proszę. Oto chwila, na którą czekał. Musi to umiejętnie rozegrać. Nie przesadzić. Zacząć od milczenia. Jakby żałował, że rozmowa w ogóle przybrała ten obrót. Jakby wcale nie chciał rozmawiać o Calumie. A teraz coś powiedz.

– Nie chcę narobić mu kłopotów – mówi.

Anna robi marsową minę.

– Odpowiedz, tak czy nie.

– Posłuchaj – mówi George. – Calum to dobry chłopak. Lubię go. Nie żebyśmy byli bardzo bliskimi kumplami, ale dogadujemy się. Wiem, że był zamieszany w to i owo. – Chwila zadumy. – Nie chcę się wdawać w szczegóły. Wiem po prostu, że robił rzeczy, które według mnie nie są w porządku. Co nie znaczy, że jest złym człowiekiem. Jako kumpel nigdy mnie nie zawiódł.

– Jakiego rodzaju rzeczy? Coś poważnego?

– Posłuchaj, i tak powiedziałem już za dużo. Nie chciałbym, żeby do niego dotarło,



że obgaduję go za plecami. – To wyznanie brzmi szczerze. Bo jest szczerze. – Calum to mój kumpel. Nie będę na jego temat plotkował. Lubię go, tyle że nie chciałbym zarabiać na życie tak jak on. – Kolejna pauza. Niech ma czas się zastanowić nad tym, co powiedział. – Nie rozmawiajmy o nim, dobrze? Cieszymy się naszym spotkaniem. Musimy dać sobie szansę.

Nie wspomniała więcej o Calumie. W ogóle niewiele mówiła. W pewnym momencie zaczęła nawet sprawiać wrażenie osoby lekko nie w humorze. George jakoś dobrnął do końca spotkania. Dziwna rzecz. W pracy robił różne nieprzyjemne rzeczy. Spuszczał manto ludziom, którzy na to nie zasługiwali. I to dobrym ludziom. Wtedy nie współczuł im tak, jak teraz współczuje Annie. Wychodzą; ona nałożyła już płaszcz. Wsiadają do auta i George odwozi ją do domu. Przez większość czasu milczą.

– Cóż, miło było – mówi ona. Są pod jej domem. Mówi to dla fasonu. Wcale nie było miło. – Masz mój numer. Jeżeli chcesz, możesz zadzwonić. – W jej głosie nie ma entuzjazmu. Jakby wiedziała, że i tak nie zadzwoni.

– Zrobię to – mówi George. Nie zrobi. – Było mi bardzo przyjemnie. – Nie było. Anna uśmiecha się i znika za drzwiami. George wraca do auta. Nienawidził każdej minuty tej tortury. Nie z powodu Anny, ale tego, co robił. Teraz nienawidzi Johna Younga. I siebie.

Calum pożycza samochód z warsztatu, gdzie pracuje starszy brat. William zawsze się cieszy, gdy widzi Caluma. Zawsze troszczy się o młodszego brata, bez wnikania w niepotrzebne szczegóły. Wie wystarczająco wiele o tym, co robi Calum, by nie zadawać niewygodnych pytań.

– Mogę go potrzebować na jakiś czas. Może nawet parę tygodni.

William kiwa głową.

– Mam coś dla ciebie. To nawet nie auto klienta, tylko moje. Tanio kupiłem. Cwaniacka robota, facet miał ciśnienie na kasę, więc trochę go przycisnąłem.

– Trochę?

– Potrzebował gotówki na już – wzrusza ramionami William. – Auto jest lekko zabrudzone. Będę je musiał porządnie wypucować przed sprzedażą. – Prowadzi Caluma do biura na zapleczu. – Ale sporo na nim zarobię. – Zamyka drzwi. – Co to za robota, że na tak długo go potrzebujesz? – pyta. Zatroskany brat. Autentyczna troska.

– W gruncie rzeczy nic nielegalnego – odpowiada Calum. – Spokojna głowa, nikt go nie podciągnie.

– To nie o samochód się martwię – mówi William, podając mu kluczyki.

Tym razem nie pytał o rękę. Po aferze z Davidsonem Calum przez jakiś czas nie odwiedzał ani matki, ani brata. Niech rany się zagoją. Kurz opadnie. Potem poszedł do matki na niedzielny obiad. Opowiedział jej bajeczkę o tym, że pomagał koledze w drukarni. Tę samą, którą tak nieprzekonująco zaserwował Emmie. Konsekwencja jest ważna. Matka kupiła historyjkę. Nigdy nie zadawała zbyt wielu pytań, a poza tym odpowiedź mogłaby jej się nie spodobać. Był tam też William. On nie dał się nabrać, nawet na chwilę. Nie zapytał, co się stało, nie jest naiwny, ale parę razy sprawdził, czy u Caluma wszystko w porządku. William zna branżę. Działa na jej obrzeżach; pomaga chłopakom i od czasu do czasu wpada mu trochę dodatkowego grosza. Dostarcza auta, przemalowuje je, przebija numery. Zapewne orientuje się, kto to Słodas, wie mniej więcej, co się dzieje. Chciałby, głównie przez wzgląd na matkę, żeby młodszemu bratu się wycofał. Ale teraz już na to za późno. Calum za głęboko w tym siedzi. Williamowi zależy na jego bezpieczeństwie, ale nie przestanie mu pomagać. Pożycza mu auta, kiedy Calum ich potrzebuje, bez względu na ryzyko. Nigdy nie bierze za to ani grosza. Zawsze dobry brat.

Siedzi pod domem starego w aucie, które pachnie wątpliwie. Szpieguje jednego z niewielu ludzi, których poważa. Nuda obserwacji. Obserwuje drzwi wejściowe,

które się nie otwierają. Zaparkował kilkadziesiąt metrów od domu. Na tyle daleko, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Istnieje minimalna szansa, że Frank go zobaczy. Ten ostatni powinien wiedzieć, że jest śledzony. Stary wyga taki jak Frank powinien się domyślić, że ma kogoś na ogonie. To oczywiste, że Jamieson będzie chciał się maksymalnie zabezpieczyć. Że świat chce wiedzieć, co zrobi Frank. Na razie, jak się zdaje, nie robi wiele. Calum może się tylko domyślać, że Frank jest w środku. Z tego, co wie o jego rozkładzie dnia, tak by wynikało. Może nie wyjść przez cały dzień. Do klubu w każdym razie nie musi już chodzić. A powinien; powinien właśnie regularnie tam bywać. Tak, żeby teraz Jamieson znalazł się pod lekką presją. Być użytecznym, na ile to możliwe. Może nie mieć na to ochoty, ale jest to forma ochrony. Przychodzisz, wykonujesz pracę doradcy, jaką ci zaproponowano. Odbudowujesz zaufanie.

Frank tego nie robi. Nie ta mentalność. Calum widział to u paru innych starszych gości. Uważają się za osobną część branży. Mentalność eksperta. Spędzasz kilkadziesiąt lat, pracując jako cyngiel – to rzadkość – i patrzysz na świat z innej perspektywy. Chodzi o anonimowość i instynkt samozachowawczy. Całe życie ukrywania tego, co naprawdę robisz. To cię zmienia. Franka też musiało zmienić. Wszystko, co wiąże się z wyjściem na światło dzienne, Frank uzna za sprzeczne z intuicją, groźne nawet. Przyjacielska oferta fuchy dla emeryta zostanie odrzucona. Jest cynglem. I zawsze nim będzie. Tyle czasu spędzasz na uczeniu się tego, że zwyczajnie nie możesz stać się kimś innym. Tak się przywiązujesz do pracy, że ta zaczyna dominować nad twoim życiem. Niszczy je.

Ile to trwa? Calum myśli. Prawie nie spogląda na dom. Nie ma na co patrzeć. Ile czasu minie, zanim on sam nie będzie już w stanie żyć inaczej? Pracuje w branży już ponad dziesięć lat. Od ośmiu czy dziewięciu jest cynglem. Zaczął wcześniej i spodobało mu się. Mało roboty, dobre pieniądze, cisza i spokój. Życie wolnego strzelca. A teraz został wciągnięty do organizacji. Robi, co mu każą. Odmowa nie wchodzi w grę. Wkrótce będzie myślał tak jak tamci starsi. Cyngiel i kropka. Jakakolwiek inna propozycja pracy będzie obelgą. Jakiegokolwiek inne życie stanie się niewyobrażalne. Sama myśl o degradacji do roli konsultanta sprawi, że Frankowi zrobi się niedobrze. Jego pozycja jako człowieka od mokrej roboty powinna być uszanowana. Ludzie powinni rozumieć, że jest to specjalizacja, że tych umiejętności nie da się zastosować gdzie indziej. Powinni uznać jego wartość. Zaoferowanie mu roli, która jest często używana jako przykrywka, jest dla niego poniżające. Dlatego powie „nie”. Dlatego to się musi skończyć źle. Calum nie widzi innego wyjścia.

Po południu drzwi się otwierają. Starszy mężczyzna, skulony, w puchowej kurtce, wychodzi. Zamyka za sobą drzwi. Na klucz. Idzie frontową alejką do furtki. To Frank, niewątpliwie, ale wygląda tak mizernie. Człowiek widzi go w pracy, a wtedy jest inny.

Młody jak na swój wiek. Pomarszczony, jasne, ale w sile wieku. Teraz powłóczy nogami i wydaje się drobny. Nowe biodro sprawia, że trochę kuleje. Może od upadku pod mieszkaniem Tommy'ego Scotta mu się pogorszyło. Cały świat widzi we Franku zwykłego staruszka. Bo tak właśnie chce być postrzegany. Jako słaby i bezbronny. Cichy jegomość z błyskiem w oku, muchy by nie skrzywdził. Calum łapie, o co chodzi. Rozumie, że dla ludzi spoza branży tworzy się specjalny wizerunek. Nie trzeba wyglądać na zabijakę, kiedy się wykonuje robotę. Spluwa robi wystarczająco mocne wrażenie.

Dzięki Bogu nie idzie w tę stronę. Idzie w przeciwną, tak jak Calum przewidział, dlatego zaparkował w tym miejscu. Idzie do pubu. Wypije kufelek. Wróci do domu. Pewnie robi to codziennie. Kiedy ma dzień dla siebie. Calumowi wydaje się to cokolwiek smutne. Wolałby raczej zostać w domu. Od samotności w pojedynkę gorsza jest samotność w tłumie. Frank idzie ulicą. Pada i jest zimno, ale robi to, co zwykł robić. Calum obserwuje go z odległości. Niech skręci za róg. Da mu parę minut. Zapuszcza silnik. Podjeżdża do skrzyżowania, widzi Franka daleko w przodzie. Calum skręca w prawo, żeby pojechać dłuższą drogą. I tak będzie pod pubem pierwszy. Będzie patrzył, jak Frank wchodzi do środka i jak wychodzi na zewnątrz. Potem znowu pod dom. To nudne. I choć przykro to mówić, również uwłaczające. Jeżeli Jamieson tak bardzo ceni umiejętności Caluma, to dlaczego zleca mu taką podłą robotę?

Siedzi, patrzy, jak Frank wchodzi do środka. Jak po nim wchodzi i wychodzą smutne twarze. Sami nieudacznicy, co do jednego. Środek dnia roboczego, a oni w obskurnym barze. Wyglądają tak, jakby widzieli już w życiu wszystko. Uważają Franka za jednego z nich. Gdyby tylko wiedzieli. Wypicie tego, co pije, zajmuje Frankowi ponad pół godziny. Potem wychodzi. Wraca tam, skąd przyszedł. Kaptur naciągnięty na głowę. Wydaje się taki filigranowy. Calum nigdy wcześniej tego nie zauważał.

Gdy Frank wystarczająco się oddala, Calum zapuszcza silnik. Szybko zawraca i jedzie tą samą – dłuższą – drogą z powrotem pod dom. Życie Franka musi być nudne. Jedynym urozmaiceniem były praca i związany z nią dreszczyk emocji. Sekretne życie, dzisiaj utracone. Oto nadchodzi. Kuleje trochę bardziej, niż gdy wychodził. Nie był gotów na powrót do pracy. Calum teraz to widzi. Jamieson powinien był to dostrzec. Ktoś kulejący po operacji biodra to żaden cyngiel.

Frank wrócił do domu. Szybko zapada zmierzch. W dużym pokoju pali się światło. Śledzenie kogoś to sztuka. Bycie śledzonym również. Frank mógł się domyślić, że ktoś za nim chodzi. Mógł nawet zauważyć Caluma. Ale nie wychodzi z roli. Robi, co może, by pokazać, jak dobrym jest pracownikiem. Przez cały czas może być w kontakcie z inną organizacją. Jeżeli wie, że jest śledzony, to zdaje sobie sprawę, że

jego połączenia telefoniczne są monitorowane. Ma swoje lata, ale zna współczesne sztuczki. Musi znać. Jak wszyscy zawodowcy. Może tam siedzieć i planować cokolwiek. Załatwienie Jamiesona. Również Caluma. A może niczego nie przeczuwa. To byłaby kompromitacja. Człowiek z jego doświadczeniem, jego wiedzą, nieświadomy tego, co się wokół niego dzieje. Niewybaczalne. W przeszłości nie popełniłby takiego błędu. Nie kiedy był w formie. To nie jest przeszłość. Jest już ciemno. Wieczór. Robota na dzisiaj skończona. Calum jedzie do domu.

Przez większość dnia przeglądał stare zapiski. Niektóre jeszcze z lat siedemdziesiątych. Gdzieniedzie wspomina się o Franku MacLeodzie. Kieruje podejrzenia w stronę jego ówczesnych pracodawców. Ale nie ma tu nic, co pozwoliłoby na sporządzenie aktu oskarżenia. Choćby wątego. Nawet dzisiaj, dziesiątki lat później, jest jasne, że Frank MacLeod był winny. Nie we wszystkich sprawach. W niektórych trudno powiedzieć. Czasami był pewnie niewinny. Nie żeby w mieście był jedynym człowiekiem od mokrej roboty. W kilku przypadkach ktoś na siłę próbował dopasować go do sprawy. Byli w desperacji. Mieli ofiarę i chcieli skazać Franka za morderstwo. Niestety dla nich, pomiędzy tymi dwoma faktami, tam, gdzie powinny być dowody, ziało pustką.

Zawsze ci sami dwaj. Dwaj gliniarze, którzy nigdy razem nie pracowali. Jeden przeszedł na emeryturę, zanim ten drugi został detektywem. Obaj zafiksowani na punkcie Franka MacLeoda. Przekonani, że to oni go posadzą. Ten starszy zakończył służbę dwadzieścia lat temu: Richard Whyte. Fisher pamięta tego młodszego. Pracował jeszcze, kiedy Fisher zaczynał. Nazywał się Douglas Chalmers. Wyznawca starej szkoły. Dobry policjant, ale jemu też nie udało się dopaść Franka.

Fisher siedzi przy biurku, przed sobą ma świstek papieru. Staje się taki sam jak ci dwaj starzy gliniarze czy raczej ich zdradza? Być może to drugie. Oni by tak myśleli, ale czasy się zmieniają. Frank nie jest już taką grubą rybą jak kiedyś. Dzisiaj znalazł się poza organizacją. W dodatku skaptowanie go jako informatora oznacza w pewnym sensie ujęcie go. Jasne, nie jest to dożywocie, na które zasługuje. To byłoby idealne, ale to się nie stanie. Frank zawsze był na to zbyt dobry. A potem się postarzał, jak każdy. Poddał się operacji biodra. Najwyraźniej nie jest już w formie. Przestaje więc być wielką zdobyczą i staje się przynętą. Może doprowadzić do Jamiesona. Do całej jego organizacji. To byłoby warte gwarancji bezpieczeństwa. Nie tej, na którą naprawdę zasługuje. Jak wielu ludzi zabił? Powinien siedzieć. I może jeszcze będzie. Obiecuj mu bezpieczeństwo w zamian za informacje. Kiedy będziesz je miał, aresztuj go mimo wszystko. A potem zapomnij o tym, że będziesz miał jeszcze kiedyś jakiegoś informatora. Cholera, zawsze wszystko musi iść jak po grudzie. Z ludźmi takimi jak Frank MacLeod nigdy nie ma łatwo.

Ma numer na świstku przed sobą. No dalej, wyrzuć go do kosza, mówi sobie. Wybierz nagrodę pocieszenia, czyli samego MacLeoda. Śledź go. Pamiętaj, że nie ma ochrony, i poczekaj, aż powinie mu się noga. Wtedy posadź go na ławie oskarżonych. Poczekaj, aż powinie mu się noga – to żart. Fisher przeciąga dłonią po stosie teczek. Ani jednego błędu w żadnej z nich. Ani jednego. Nie ma powodu, dla którego miałby

skusić właśnie teraz. A właściwie jeszcze mniejszy powód. Brak parasola ochronnego oznacza większą ostrożność.

Mniej pracy. Człowiek taki jak Frank przystosuje się do okoliczności. Szansa na zatrzymanie go maleje. Pozostaje nadzieja kontaktu. Pogadać z nim. Zaoferować gałązkę oliwną. Dać mu jedyną ochronę gwarantującą emeryturę na wolności. Wcale nie musi się zgodzić. Na wolności, ale byłby wrogiem tych wszystkich, na których kapuje. Wciąż musiałby się ukrywać. Aż nadeszłoby nieuniknione.

Bierze telefon i dzwoni. Jedyne sposob, żeby się przekonać. Długi sygnał. Kolejne. Nie ma sekretarki. Rozłącza się. Albo nie ma go w domu, albo nie odbiera. Może należałoby się tam przejść, ale nie tak się postępuje z informatorem. Pojawienie się policjanta przed drzwiami śmiertelnie ich przeraża. Fisher to wie. Zna z doświadczenia. Wieją wtedy gdzie pieprz rośnie. Najpierw szukają ochrony szefa. Jeżeli, tak jak Frank, nie mają szefa, schodzą pod ziemię. Traci się ich na zawsze jako źródło informacji. Subtelne manewry. Jak podrywanie nieśmiałej dziewczyny. Powoli, spokojnie, żadnych gwałtownych ruchów. Zresztą Frank MacLeod nie jest zwyczajnym informatorem. Nikt nie ma takiego doświadczenia. Znajomości branży, pracujących w niej ludzi, jej związków z policją. Musi tyle wiedzieć. Nie boi się tych samych rzeczy co inni. Jeżeli w ogóle się boi.

Fisher siedzi na komisariacie, na dworze jest już ciemno, snuje przypuszczenia. Każdy cyngiel byłby niespokojny, to jasne. Poza dawną organizacją, szukający miejsca dla siebie. Ale ze starym Frankiem może być inaczej. On może mieć plan. Być może już coś takiego przeżył. Wie dokładnie, co robić. Już skontaktował się z organizacją gotową go przyjąć pod swoje skrzydła. Większą niż Jamiesona. Sprzeda duszę następnemu starzejącemu się sukinsynowi takiemu jak Alex MacArthur. Wyśpiewa mu wszystko, co wie o Jamiesonie. Temu ostatniemu zawaliłby się świat. Największe zagrożenie dla Franka przestałoby istnieć, jego bezpieczeństwo byłoby niemalże gwarantowane. Nie oszukujmy się, że pomiędzy tymi ludźmi istnieją jakieś więzy lojalności. Są zmienni jak wiatr. Idą tam, gdzie są profity. Gdzie nie osiągną ich konsekwencje własnych czynów. Generalnie to chciwi tchórze. To, że Frank jest stary i szczwany, nie czyni go innym.

Wybiera numer po raz drugi. Minęło dwadzieścia minut. Frank mógł już wrócić. A może rutynowo nie odbiera pierwszego telefonu z nieznanego numeru. Może tym razem odbierze. Telefon na tamtym końcu linii dzwoni. Fisher nie zastanawiał się, co powie. Nie ma sensu. Ci ludzie potrafią być nieprzewidywalni. Jedyne, co można zaplanować, to własne podejście. Uprzejme, ale nie przyjacielskie. Nie dzwonisz po to, by się zaprzyjaźnić. Stanowcze, ale nie agresywne. Muszą wiedzieć, że to ty rozdajesz karty, ale też powinni czuć się przy tobie bezpieczni.

– Halo? – Nieufny głos. Nie młody, ale i nie starczo drżący.

– Czy rozmawiam z Frankiem MacLeodem?

Króciutkie milczenie.

– Tak jest. Czym mogę służyć? – Jeżeli nie jest stary, to na pewno staromodny. O wiele zbyt dobrze wychowany jak na współczesnego gangstera.

– Nazywam się Michael Fisher. Wie pan, kim jestem?

Kolejna pauza. Tym razem dłuższa.

– Tak, wiem.

Fisher nie przerywa tej chwili ciszy. Niech Frank zbierze myśli, niech się zastanowi, co oznacza ten telefon. Niech się otrząśnie, żeby pozbyć się poczucia zaskoczenia.

– A zatem zapewne domyśla się pan, po co dzwonię. – Ton rzeczowy. Dwaj faceci, którzy z niejednego pieca chleb jedli, prowadzą szczerą rozmowę.

– Może jednak mi pan powie – mówi Frank. Brzmi to odrobinę bezczelnie. Pewnie to u niego naturalne. Dzwoni do niego gliniarz, więc się jeży.

Słusznie, Fisher powinien był to przewidzieć. Frank może być inteligentny, ale ma za sobą czterdzieści lat życia w określonych warunkach. Nic dziwnego, że w takim momencie reaguje instynktownie.

– Frank, wiem, że pewnie nie chcesz ze mną rozmawiać – przechodzi na ty – ale jest parę rzeczy, które jak sądzę, powinieneś usłyszeć. Znalazłeś się poza organizacją. Ja to wiem, ty to wiesz, wie każdy. Tajemnica poliszynela. – To niewinne kłamstwo, ale wkrótce stanie się prawdą. – Wiem, w jakiej sytuacji cię to stawia. Chcę przedstawić ci propozycję. – Pauza, odczekać chwilę. Usłyszeć, jaka będzie reakcja. Przez krępująco długi czas nie ma żadnej reakcji.

Zastanawia się, to już coś. Wielu kazałoby mu się wypchać, w ogóle nie słuchając, co ma do powiedzenia. Ale nie stary Frank. On ma więcej rozumu w głowie. Ile więcej, to się okaże. Wciąż milczy.

– Nie żądam od ciebie niczego w tym momencie – mówi Fisher. – Dobrze byłoby spotkać się twarzą w twarz. Wtedy obaj łatwiej ocenimy, czy coś ma szansę z tego wyjść.

Na drugim końcu linii rozlega się westchnienie. Jest w nim irytacja, ale nie obrzydzenie.

– Nie sądzę, żeby wyszło coś dobrego dla któregokolwiek z nas – odpowiada Frank.

Czas wyłożyć część kart na stół.

– Może nie – mówi Fisher. – Ale z drugiej strony mogę ci zaoferować coś, czego



nie da ci nikt inny. Znalazłeś się poza organizacją. Bez względu na to, co zrobisz, staniesz się celem. Wiesz, jak to działa. Ja mogę zaoferować ci bezpieczeństwo. Kryjówkę, ochronę: wszystko, co trzeba. Mogę uchronić cię przed więzieniem. Nie proszę teraz o odpowiedź. Ale spotkajmy się.

Kolejna pauza.

– Mam teraz twój numer – mówi Frank cicho. – Daj mi się zastanowić. Oddzwonię.

Poszło lepiej, niż przypuszczał. Nie było to twarde „nie”. Raczej „zapewne nie”, a to jest coś, nad czym można popracować. Frank zadzwoni. Trochę to potrwa, ale jeżeli uda im się spotkać, to dla Fishera będzie to połowa sukcesu. Gdy ktoś zgadza się na spotkanie, zwykle oznacza to, że już się zdecydował. Spotkanie to ryzykowna sprawa, więc samo to już jest rodzajem zobowiązania.

Jest na komisariacie sam. Chłopcy z nocnej zmiany przyszli i poszli. Bóg wie dokąd, pewnie do kantyny. Nieważne. Dzisiaj akurat nie jest w nastroju, by zrządzić. To jego jedyna szansa. Szansa, by rozwikłać sprawę Scotta, a być może także Wintera. Może jeszcze kilka innych. Szansa, by załatwić Petera Jamiesona. By zrobić coś, co rzeczywiście będzie miało jakieś znaczenie. Tak rzadko się to ostatnio przytrafia Fisherowi. Łapiesz głupka ze spluwą, który myśli, że jest gangsterem, i wsadzasz go do paki na dziesięć lat. W ciągu dwóch tygodni jego miejsce zajmuje trzech innych. Aresztujesz uzależnionych od bycia znanymi, tych, którzy mają się za celebrytów i tak właśnie żyją. Przez ten czas naprawdę ważni ludzie pozostają w ukryciu. Bezpieczni. Aż wreszcie trafia ci się szansa. Okazja jedna na dekadę, by załatwić całą organizację. To może być naprawdę to.

Budzik dzwoni o wpół do ósmej. W tygodniu Frank zawsze wstaje o tej porze, a w weekend o ósmej. Przychodzi mu teraz do głowy, że mógłby porzucić ten zwyczaj. Że powinien był ignorować go przez całe dorosłe życie. Nigdy nie miał normalnej pracy. Żeby coś wytwarzać, produkować. Zawsze tylko niszczył. Niszczyciele nie muszą wcześniej wstawać. Ale on wstanie. Tak długo nabierał tego nawyku, że teraz nie potrafi się go pozbyć. Gdy żyje się życiem pełnym niespodzianek, trzeba wypracować sobie pewną rutynę. Frankowi poprawia to samopoczucie. Nie kontrolujesz swojej pracy. To ona pozwala ci na życie takie, a nie inne. Tworzysz więc rutynę i jej przestrzegasz.

Wstał, wziął prysznic, ubrał się, zszedł na dół na śniadanie. Teraz rozmyśla nad swoją sytuacją. Na czym stoi? Wygląda na to, że jest sam. Nie przychodzi mu do głowy żadna inna organizacja, dla której chciałby pracować. Jest wiele, które by go chciały, bez wątpienia. Mógłby znaleźć robotę, gdyby miał taką potrzebę. I ochronę, której rzeczywiście potrzebuje. Dostałby ją, ale oczekiwano by od niego tak wiele w zamian. Musiałby im dać Jamiesona i wszystkich jego ludzi. Przyjęliby go tylko ze względu na to, co wie. Jego umiejętności zlekceważyliby, uznając go za emeryta, jak Jamieson. To nie byłby krok naprzód. Poza tym nie chce im dawać Jamiesona.

Robi sobie drugą kawę. Tym razem odrobinę mniej mleka. Rozgląda się po mieszkaniu. Patrzy na dobra, które zgromadził. Nic. A w każdym razie nic, bez czego nie mógłby żyć. Żadnej rodziny. Przyjaciół, których nie mógłby zostawić. Całe życie niegromadzenia niczego. Wtedy nie miał takiego wrażenia, ale z perspektywy lat to jasne. Cały ten czas, cała jego praca. Na końcu jednak nie ma się nic.

Idzie do sklepu. To tylko wymówka, żeby wyjść z domu, nic więcej. Kupić parę rzeczy, których pewnie i tak nie potrzebuje. Bochenek chleba, który spleśnieje i trzeba go będzie wyrzucić. Karton mleka, z którego zużyje połowę. Gazeta, z której przeczyta może trzy strony. Zakłada płaszcz i wychodzi. Szybki rzut oka wokoło – nic, czego by nie rozpoznawał. Po robocie zwykle sprawdza bardzo dokładnie. Wiadomo, że może spodziewać się odwetu, bez względu na to, kim była ofiara. Jeżeli była członkiem organizacji, może się na niego czaić zawodowiec. Takiego trudniej zauważyć, ale zawodowiec raczej się nie zdarzy. Organizacje nie mszczą się na cynglach; mszczą się na tych, którzy ich posłali. Co innego, gdy chodzi o kogoś spoza organizacji. Ktoś próbuje się wzbogacić, wchodzi w drogę komuś potężniejszemu. Nie jest związany z żadną organizacją, po prostu próbuje zarobić na sobie i rodzinę. Nie da się nigdy przewidzieć reakcji jego bliskich. Ludzie popadają w emocje, przysięgają zemstę.

O akcji ze Scottem w ogóle nie myśli jako o robocie. W końcu to nie Frank strzelał. To Calum wykonał zadanie, nie Frank. To ofiary Caluma, kolejne dwa nazwiska na jego liście. Nie wiadomo, jak o tym myśleć. Dziwne, że wciąż zaprzęta mu to głowę. Scott i McClure. Zwykle tyle czasu po akcji zapomina już o ofierze. Przed robotą nie myśli o niczym, a potem po prostu wykonuje, co do niego należy. Gdy tylko to zrobi i znajdzie się w bezpiecznym miejscu, natychmiast wraca do życiowej rutyny. Myśli i robi to co zwykle, a ofiara jest tylko nazwiskiem w gazetowej notce. Zdaje sobie sprawę, że brzmi to bezwzględnie, ale taki dystans to konieczność. Nie można przez całe życie myśleć o robotach, które się wykonało, nie dałoby się tak żyć. A jednak idąc do sklepu na rogu, znowu myśli o Scotcie i McClurze. Dwaj ludzie, których nie zabił. A powinien był. Ale nie zabił. Być może będą ostatnimi celami, na które polował.

Jest w sklepie. Pakuje towary do koszyka, ledwie na nie spoglądając. Coś musi zrobić. Nagle zdaje sobie sprawę, że musi coś zrobić. Nie może dalej żyć w ten sposób. Może być cichym staruszkiem, jeśli tylko robota dostarcza mu dreszczyku emocji, ale nie bez niej. Bez roboty jest tak naprawdę wrakiem, czekającym tylko na koniec. Stawia koszyk na ladzie; ekspedientka nabija towar na kasę. Widuje ją kilka razy w tygodniu, a nie ma pojęcia, jak jej na imię. Jest po trzydziestce, może przed czterdziestką. Odrobinę sterana życiem, ale bez obrączki na palcu. Dwadzieścia parę lat młodsza od niego, ale on zawsze myślał o sobie jako o człowieku młodym. Dawniej nigdy nie przyszłoby mu do głowy zaprosić ją na randkę. Za blisko domu. Ale skoro już nie pracuje, to czemu nie? Bo stworzył sobie wizerunek smętnego dziadzia – oto dlaczego. Taka jest cena życia, które prowadził.

Pojedyncza siatka z zakupami; wraca ulicą do domu. Wie, co robi. W miarę atrakcyjna kobieta w sklepie, i wie. Jeżeli kiedykolwiek ma mieć swobodę, by móc wieść takie życie, żeby móc zaproponować kobiecie randkę, to musi być z dala stąd. Poza branżą. Jest tylko jedna organizacja, które może mu to załatwić. Musi zadzwonić do Fishera. Pachnie to zdradą, ale właściwie dlaczego? To Jamieson go wypchnął, a nie odwrotnie. Peter Jamieson wyrzucił go za burtę, a teraz on, Frank, musi znaleźć sobie szalupę ratunkową. Powtarza sobie w duchu, że nie jest to zdrada. Jeszcze nie zdołał siebie przekonać, ale będzie próbował. Wchodzi do domu; odkłada zakupy. Do telefonu. Wciska zielony guzik, by przywołać ostatnie połączenia. Na samej górze biurowy numer Fishera. Wszyscy w branży znają Fishera. Wiedzą, że specjalizuje się w walce z przestępczością zorganizowaną. Twardy. Porządny. Nienawidzą go, bo się go boją.

Naciska guzik ponownie i telefon dzwoni. Może nie ma go w pracy. Czy odważy się zadzwonić ponownie? Raczej nie. Wie, jakie to trudne.

– Halo? – Głos entuzjastyczny, pełen nadziei. Jakby Fisher siedział przez ten cały

czas przy telefonie, czekając, aż Frank zadzwoni. Miło poczuć się kimś ważnym, nawet jeżeli to tylko policja.

– Panie Fisher. Tu Frank MacLeod. Myślałem o tym, co mówił pan wczoraj.

– Świetnie – mówi Fisher. Czekaj na ciąg dalszy, ale ten nie nadchodzi.

Frank nie może się zmusić, żeby to powiedzieć. Podjął już decyzję, ale dopóki nie powie, nie jest zdrajcą. Przekonywał sam siebie, że wielu postąpiło podobnie, ale to nie pomaga. Znaczący to tyle, że jest wielu innych zdrajców. Trudno zignorować czterdzieści lat powtarzania, że jest to najgorsza rzecz, jaką można zrobić.

– Myślę, że powinniśmy się spotkać – mówi w końcu. Brzmi to tak, jakby zmuszał słowa, by wyszły mu z gardła, jakby chciał się ich pozbyć. – I to wkrótce – dodaje. Trudno ukryć nerwy.

– Wkrótce to dobry pomysł – zgadza się Fisher. To ważne, żeby się zgodzić, sprawić wrażenie, że nadają na tej samej fali. – Masz jakieś preferencje co do miejsca?

Frank myśli. Gdzie, do cholery, robi się coś takiego? Gdzie będzie bezpiecznie? Nigdzie, taka jest prawda. Miejsce ma zapewne mniejsze znaczenie, niż gliniarz sądzi. Jeżeli jesteś pod obserwacją, to wszędzie będzie źle. Jeżeli nie jesteś, to prawie wszędzie będzie bezpiecznie.

– Jest dom, którego moglibyśmy użyć – mówi Fisher, zniecierpliwiony przedłużającą się ciszą. – Albo mogę podjechać do ciebie, jeżeli wolisz. Wybór należy do ciebie.

Na pewno nie będzie zapraszał gliniarza do domu. To głupi pomysł, Fisher powinien to wiedzieć. Spotkanie w miejscu publicznym byłoby dopuszczalne, gdyby miał pewność, że nikt ich nie zauważy.

– Chyba ten twój dom byłby najlepszym wyjściem. Gdzie to jest?

Jeszcze nie jest za późno, żeby się wycofać. Pójść do Jamiesona, powiedzieć o telefonie od Fishera. Powiedzieć, że ma się adres domu, w którym Fisher spotyka się z informatorami. Jamieson może go obserwować, a nuż czegoś się dowie? Coś takiego mogłoby im pokazać, że wciąż jest użyteczny dla organizacji. Nie, nie spojrzeliby na to w ten sposób. Wbili już sobie do głowy, że jest starym pierdzielem, który nie ma im nic do zaoferowania. Gdyby im powiedział o tym telefonie, nabrałoby podejrzeń. Już postrzegają Franka jako osobę podejrzaną. Wie, jak to było z innymi, wie, że to samo jest z nim. Ale wciąż nie jest za późno, żeby się wycofać.

Umawiają się na następny dzień. Przed południem. Nie wie, czy pójdzie. Zdecyduje się w ostatniej chwili. Dopóki nie przestąpi tamtego progu, nie jest zdrajcą. A wszystko to przez cholernego Tommy'ego Scotta. Co za żart! Scott wreszcie jest

ważny, ale tylko dlatego, że nie żyje.

Niełatwo było znaleźć to miejsce. Ukryte w bocznej uliczce, właśnie taka mała dziupla, jakiej się spodziewała. Calum powiedział jej, że to nieduży interes, ale wystarcza bratu na życie. Przed wejściem wzdłuż ulicy stoją zaparkowane auta, jest tylko tyle wolnego miejsca, żeby był przejazd. W środku, przy podnośniku, stoi mechanik. Wydaje się za młody na Williama. Żałuje, że nie wie, jak ten cały William wygląda. Podchodzi do niego. Ten zdążył ją już zauważyć.

– Jak ci mogę pomóc, złotko? – pyta.

– Szukam Williama MacLeana – odpowiada. Żadnych szczegółów. Nikomu. Emma wie, że musi postępować ostrożnie, nawet jeżeli chodzi tu o brata jej chłopaka.

– Niestety, jest zajęty, mogę jakoś pomóc?

– Nie, to musi być William. Jest tutaj?

Mechanik z westchnieniem udaje się na tyły budynku. Do biura na zapleczu. Stamtąd na warsztat wychodzi okno, w którym widać tył czyjejś głowy. To musi być on. Cóż to będzie za spotkanie! Calum zawsze wyraża się ciepło o bracie, a to już coś. Mechanik wraca.

– Może pani iść – mówi, wskazując brodą na biuro.

Parę drewnianych schodków i jest w towarzystwie Williama, który siedzi przy niewielkim biurku z komputerem. Ciasno tu, mało miejsca. William kiwa głową na powitanie, spogląda pytająco na Emmę. Wygląda na odrobinę zdenerwowanego. Boi się, że jest klientką, która przyszła z reklamacją. Jeszcze gorzej: adwokatką w imieniu klientki z reklamacją. Widać podobieństwo do Caluma. Te same usta i broda. William jest może odrobinę przystojniejszy. Nie wygląda na wyraźnie starszego. Brakuje mu bystrej miny Caluma.

– Szukała mnie pani? – pyta William, starając się, żeby zabrzmiało to przyjaźnie. Sprawdza, czy dłoń ma czystą, zanim wyciągnie ją na powitanie. Ktoś mógłby się doczepić do plamki oleju.

– Pan to William MacLean?

– Tak.

– Brat Caluma?

Nagła reakcja. Ostre spojrzenie. Uprzejmy uśmiech znika. Wzrok Williama pokazuje, żeby uważała na to, co mówi. Może mu się nie podobać to, czym Calum się para, ale to wciąż jego brat.

– Tak – mówi chrapliwie. Dłoń, już wyciągnięta, wycofuje się.

– Nazywam się Emma. Jestem dziewczyną Caluma.

Znowu gwałtowna reakcja. William podskakuje na krześle i wbija wzrok w dziewczynę. Podejrzliwy wzrok. To dla niego najwyraźniej nowość.

– Chciałabym tylko coś wyjaśnić – mówi Emma. Pospiesz się. Niech to się nie zamieni w rozmowę o ich związku. – Pamięta pan, co się działo tydzień temu? W środku nocy?

– Aha – mówi ostrożnie. Ona milczy, czeka na dalszy ciąg. On nie wie, o co w tym wszystkim chodzi. O nic dobrego w każdym razie. To nie są rzeczy, jakie powinna mówić dziewczyna brata. – Słucham.

– Dzwonił pan do Caluma, prawda?

– Hm... tak, dzwoniłem. – Kiwa głową niepewnie. Intensywnie myśli. Calum użył go jako alibi. Dziewczyna nabrała podejrzeń, może myśli, że Calum kręci coś na boku. – Zgadza się, dzwoniłem.

Wcale nie wygląda na przekonanego. Może to dlatego, że tamtej nocy był pijany. A może dlatego, że kłamie. Chyba raczej to drugie. Emma nie ufa mu.

– Na pewno pan do niego dzwonił? Pamięta pan, co mu pan powiedział?

Teraz na jego twarzy pojawia się zacięty wyraz. Taki, który szybko nie zniknie. Dziewczyna zadaje niewygodne pytania, a do tego niezbyt grzecznie.

– Powiedziałem, że dzwoniłem do niego, prawda? Na czym właściwie polega problem, Emmo? – Wymawia jej imię jak wyzwisko.

– Nie powiedziałam, że jest jakiś problem, chcę tylko wiedzieć. – Przechodzi do defensywy. Robi się trochę agresywna. To nie pomaga. – Po prostu nie jestem pewna, czy jest pan ze mną szczerzy.

Błąd.

– Nazywasz mnie kłamcą? – Podnosi głos. – Mówisz, że nie dzwoniłem? Nazywasz też Caluma kłamcą, tak? Mówisz mi, że mój braciszek cię okłamuje. Na pewno jesteś jego dziewczyną?

Wszystko idzie nie tak. Musi się wycofać.

– Niech pan posłucha, chcę tylko wiedzieć.

– Tak, jasne, ale dlaczego, do cholery, pytasz mnie? Zapytaj Caluma. Jeżeli mu nie ufasz, to nie powinnaś z nim chodzić. Jeżeli w ogóle chodzisz. Jezus, pojawiaasz się tu i robisz mi aferę, kiedy ja nawet o tobie nie słyszałem. Wielka mi dziewczyna, o której nigdy nie wspomniał! – Krzyczy teraz. Wstaje i przytrzymuje drzwi, by mogła wyjść.

Odprowadza ją wzrokiem, kiedy Emma opuszcza teren warsztatu. Dokładnie ten typ, który podoba się Calumowi. Inteligentna i nieokiełznana. Wyciąga telefon z kieszeni. Ekran jest brudny. Któregoś dnia wreszcie go wyczyści. Dzwoni do Caluma. Nic. Czeka, aż włączy się sekretarka. Nagrywa się, mówiąc bratu, że właśnie odwiedziła go kobieta podająca się za jego sympatię. Pytała o noc sprzed tygodnia. Oczywiście, potwierdził, ale jeżeli to naprawdę jest jego dziewczyna, to powinien mieć się na baczności. Ładna, ale wścibska. Nieodpowiedni typ dla niego. Rozłącza się. Co ma zrobić? Zawsze stara się pomagać bratu, ale wie, że to nie w porządku. Chce, żeby Calum był bezpieczny. Może właśnie jakaś stanowcza dziewczyna potrafiłaby zmusić brata do zmian w życiu. A może nie? Może jest już na to za późno? William wie, jak działa branża. Jeżeli już w to wdepnąłeś, bardzo trudno będzie ci odejść.

Emma musi odwiedzić jeszcze kogoś. To spotkanie będzie pewnie równie nieprzyjemne, jak poprzednie, ale może dowie się czegoś więcej. Tym razem nie da się zbyć. Wspina się po schodach na górę i puka do drzwi. Otwierają się dopiero po dłuższej chwili. George wygląda nieświeżo, może ma kaca. Gapi się na nią. Nie wygląda na zdziwionego, raczej na rozczarowanego. Dłonią przeciąga po zmierzwionych włosach. Szkoda, że nie złapała aluzji, myśli. Zadawanie pytań to najgorsze, co mogła zrobić.

– Mogę wejść? – pyta.

– Chyba tak będzie lepiej – odpowiada George i odsuwa się, by ją wpuścić. Właśnie dlatego nie angażuje się w żadne związki. Jedyna kobieta, z którą mógłby być na poważnie, musiałaby mieć tyle samo tajemnic co on. Z nim to jeszcze możliwe. Ale dla Caluma nie ma takiej w całym mieście. Zamyka drzwi i idzie za nią.

– Wiem, dlaczego zaprosiłeś Annę na lunch – mówi Emma, stając pośrodku dużego pokoju.

– Poważnie?

– Tak. Po to, by robić aluzje na temat Caluma. Ponieważ nie masz dość śmiałości, by powiedzieć mi to w twarz. Cóż, stoję przed tobą. Słucham.

Co ma na to odpowiedzieć? Cholera, niektórzy ludzie chyba się uparli, żeby na siłę utrudniać innym życie.

– Co ty robisz? – pyta ją. Poważnie i nieco gniewnie. Nie może się powstrzymać. – Nie jesteś aż taka głupia. Co ty, do cholery, robisz, przychodząc tu i zadając takie pytania? Przecież wiesz. Sama to przed chwilą powiedziałaś.

– Jasne, że wiem – potakuje Emma, a w jej oczach wzbierają łzy. George milknie. – Wiem, że tydzień temu wyszedł w środku nocy. Rzekomo po brata, ale wiem, że to nieprawda. Wiem, że tamtej nocy zginęło dwóch chłopaków. Teraz jego brat go kryje,



a ty próbujesz mnie od niego odepchnąć.

Płacze już na całego, a George stoi i się przygląda. Dwóch chłopaków zginęło tamtej nocy. Scott i McClure. Nie może tego wiedzieć. Niemożliwe.

– Widzę, że kojarzysz fakty – mówi szeptem.

– Powiedz mi, że się mylę – żąda.

George milknie. Na odrobinę zbyt długo.

– Oczywiście, że się mylisz. Zachowujesz się jak histeryczka. – Nie brzmi to przekonująco. Nic a nic.

Emma kiwa głową.

– Przynajmniej teraz już wiem. – Kieruje się do drzwi, spoglądając krzywo na George'a.

– Mylisz się – mówi on głośno. – Kompletnie się mylisz.

– Och, nie martw się. – Otwiera drzwi. – Nie powiem mu, że jesteś kablem. Zupełnie nic ci nie grozi.

George podchodzi do drzwi. Pójdzie za nią. Nie, nie pójdzie. Po co pogarszać sprawę? Emma trzaska za sobą drzwiami. Nie żeby była w błędzie. Jest niebezpiecznie blisko prawdy.

Zaraz po telefonie Franka pojechał tam, gdzie mieli się spotkać, i wszystko przygotował. Dwa małe dyktafony, jeden w przedpokoju, drugi w kuchni. Nie żaden supersprzęt, ale wystarczy. Te nagrania nie będą nigdy odtwarzane w sądzie. Fisher chce je mieć na własny użytek, do archiwum. Żaden inny glina o tym nie wie i nigdy się nie dowie. Z tego, co mówi ktoś taki jak Frank, nie może uronić nawet słowa. Co innego z osobnikami pokroju Kenny'ego McBride'a; im można kazać coś powtórzyć. Frankowi – nie. Jako informator jest na liście specjalnej. Jest tam z powodu tego wszystkiego, co widział i robił.

I w tym właśnie tkwi trudność. Jak opanować chęć posadzenia go do kicia? Są informatorzy, bęcwały niskiego szczebla, z którymi da się nawiązać relację. Nie przyjaźń, ale obustronny komfort komunikacji. Z Frankiem MacLeodem nigdy tak nie będzie. Fisher zawsze będzie patrzył na niego jak na zabójcę. Kogoś zbyt utalentowanego – i obdarzonego zbyt wielkim szczęściem – by znaleźć się w więzieniu. Oczywiście, jeżeli w ogóle się pojawi. Wielu nie dociera na pierwsze spotkanie; rura im mięknie. Przychodzą za drugim albo trzecim razem. Albo, co bardziej prawdopodobne, wszelki słuch po nich ginie. Tak może być z Frankiem. Albo przyjdzie na pierwsze spotkanie, albo w ogóle.

Tak się składa, że Frank siedzi u siebie w kuchni i rozmyśla mniej więcej nad tym samym. Jeżeli nie pójdzie na to spotkanie, to już nigdy nie pójdzie. Oddać się w ręce policji, myśli, być na ich łasce. Będzie musiał dać im dobre informacje. Rzeczy, które mogą wykorzystać, żadne badziewie. Nie będą zainteresowani wspominkami z dawnych czasów. Mogą z jego pomocą zamknąć parę starych spraw, ale nie to będzie ich priorytetem. To obecne pokolenie ich interesuje. Nie jest to kwestia moralności, już nie. Przekonanie, że kapusie to najgorsze plemię, no i co? Kiedy zostałeś wypchnięty z organizacji, zostawiony na lodzie, stare reguły przestają mieć zastosowanie. Nie mogą kazać ci odejść, a potem żądać, żebyś grał według ich reguł. Tę grę zagra według własnych zasad. Zostaje jednak kwestia osobista. Jeżeli chce wyprowadzić się z Glasgow, zacząć gdzieś nowe życie, musi dać im Jamiesona.

W gruncie rzeczy Johna Younga poznał jako pierwszego. Nie był pod szczególnym wrażeniem. Trochę zimny, trochę zbyt wymijający. Odwiedził kiedyś Franka. Przedstawił się, powiedział, że jest prawą ręką Petera Jamiesona. Frank wiedział oczywiście, o kogo chodzi, wiedział też że Jamieson to płotka. Nie ktoś, dla kogo zamierzałby pracować. Wtedy wierzył jeszcze, że będzie pracował z najlepszymi. Young prosił go, by spotkał się z Jamiesonem, zanim podejmie decyzję. Frank się zgodził. Spotkali się w pubie. Mała spelunka, jedyny lokal, jaki Jamieson wtedy

posiadał. Pub, parę biur bukmacherskich, trochę terenów przemysłowych. Nic wielkiego. Miał jednak ambicję. Dużo energii, silną osobowość. I dużo planów, czym ujął Franka. Nie był kolejnym marzycielem, pełnym wielkich pomysłów, które nigdy się nie ziszczą. Jamieson był ambitny, to prawda, ale miał też łeb nie od parady. Jego cele były realistyczne; to, co zamierzał, było szczegółowo uzasadnione i mogło się udać. Był robiącym największe wrażenie młodym szefem, jakiego Frank spotkał od wielu lat. Jakiś tydzień później zgodził się pracować dla Jamiesona. Nigdy nie żałował tej decyzji. Najlepsza w karierze. Nigdy nie pracował dla organizacji lepiej zarządzanej niż ta należąca do Jamiesona. Fakt, że nie była to organizacja rodzinna, bardzo pomógł. Pracować dla niej było przyjemnością.

Zakłada płaszcz, zgarnia kluczyki samochodowe z szafki w korytarzu. Ignorować sentymenty. To jest sekret bycia dobrym cynglem. Dennis Dunbar go tego uczył. To klucz do osiągnięcia czegokolwiek w tej branży. Frank nauczył się tego sam. Miał dobre mniemanie o Peterze Jamiesonie. Nie myślał o nim jako o synu, raczej jako o bratanku. Kochał chłopaka, co tu wiele gadać. Ale teraz to już przeszłość. Tamten Peter Jamieson już nie istnieje. Ten nowy jest zagrożeniem, z którym trzeba sobie odpowiednio poradzić. Jedzie pod adres podany przez Fishera. Nie potrzebuje nawigacji, nie musi sprawdzać na mapie. To jego miasto. Tu urodzony, tu wychowany, zna jego każdą piędź. Dzisiaj jest inne niż kiedyś i ciągle trzeba się uczyć, ale tego nigdy nie zaniedbywał. Żaden porządny zawodowiec nie zgubi się we własnym mieście.

Zaparkował ulicę od miejsca spotkania. Siedzi w aucie, nie spieszy się, myśli. Przejechał ulicą, obejrzał dom. Zwykły szeregowiec, łatwo zostać zauważonym przez sąsiadów. Nie najlepsza lokalizacja. Ale jeżeli nie jest śledzony, to nie ma to znaczenia. Jak dotąd nie zauważył, żeby ktoś za nim chodził. Gdyby był śledzony, na pewno by to zauważył. Jest Frankiem MacLeodem. Śledził dziesiątki ludzi, zna wszystkie sztuczki. Ma dziwne uczucie, że powinien być śledzony. Gdyby role się odwróciły, on kazałby obserwować Jamiesona. Przynajmniej przez chwilę, żeby zobaczyć, jak zareaguje.

Podejmij decyzję. Przestań zwlekać. Wysiada z auta, blokuje drzwi pilotem. Idzie wolno za róg. Biodro doskwiera dzisiaj trochę bardziej. Lekarz uprzedzał, że przez jakiś czas może pobolewać. Ostrzegął, że będą dni takie jak dzisiaj.

Pukanie do drzwi. Fisher szybko się tam skrada. Patrzy przez wizjer. To Frank, jest sam. Fisherowi kilka razy przyszło do głowy, że może to być pułapka. Może gdyby praca nie szła mu ostatnio tak kiepsko, uwierzyłby w to. Jeżeli Słodas walczy z Jamiesonem, to istnieje związek pomiędzy tym ostatnim a zabójstwami Wintera, Scotta i McClure'a. Związek, który mógłby okazać się groźny dla Jamiesona, gdyby śledztwo dało rezultaty. Jamieson nie jest głupi. Nie zaatakuję gliny, dopóki ten nie

zagrozi mu bezpośrednio. To zawsze ostateczność. Ale tutaj mieliby dobrą okazję. Posłać najpierw kierowcę na przynętę. Wszystko jest robione nieoficjalnie. Kierowca zdradza informację o cynglu. Fisher dzwoni do cyngla, umawia się z nim na spotkanie w cztery oczy w tajnym domu. Nikt poza nimi dwoma o tym nie wie. Dobry Boże, to byłaby idealna pułapka.

Frank przestępuje przez próg, jest sam. Wygląda drobno, staro i zwyczajnie. Jak starszy gość, którego można spotkać na ulicy. I o to właśnie chodzi. Nie zapominaj. Frank kiwa głową na powitanie, ale nic nie mówi. Drzwi się zamykają. Stoją obaj w korytarzu, u podnóża schodów. Panuje tu nieprzyjemny półmrok. Nadaje ton.

– Chodźmy – mówi Fisher i kieruje się do kuchni. Przyzwyczył się do tego domu. Ostrożność podpowiada, żeby się rozejrzeć za czymś innym. Jeżeli przez dłuższy czas spotykasz się z ludźmi w jednym miejscu, ktoś w końcu to rozgryzie. Frank idzie za detektywem. Ten pokazuje MacLeodowi, żeby zajął miejsce przy stole. Ku uldze Fishera Frank to robi. Gdyby to była pułapka i Frank miał go zabić, już by się to stało.

– Mogę ci zrobić filiżankę herbaty, Frank? – pyta. Spoufala się z tym starym mordercą.

– Nie, dzięki.

Frank widzi, że Fisher się stara. Widzi, że napięcie i jemu się udziela. Fisher go oczywiście nienawidzi. Jasne, że tak. To wróg. Nie przyszli się tu zaprzyjaźnić. Przyszli ubić interes. Szansa nowego życia. Jedyna szansa. Nawet praca dla innej organizacji nic tak naprawdę nie zmieni. Jedyny rekiet, jaki może w tej chwili dać mu ochronę, to policja.

– Cieszę się, że przyszedłeś – mówi Fisher. Siada naprzeciwko niego, mina poważna. – Wiem, że to nie będzie łatwe. Dla żadnego z nas. Jesteśmy z dwóch różnych stron barykady. Ale sądzę, że obaj jesteśmy realistami. Musimy być. Mamy szansę pomóc sobie wzajemnie. Jest to szansa, która może się nie powtórzyć. – Milknie, czeka na Franka.

– Może jednak napiję się herbaty.

Fisher sięga po mleko. Wie, o co w tym chodzi. Frank po prostu chciał go uciszyć. Typowe dla kryminalisty. Nawet ci rzekomo wielcy, z samego szczytu hierarchii. Wszyscy są tacy sami. Te same drobne cwaniactwa, uniki, ta sama niechęć. Nie są w stanie się powstrzymać. Wchodzi im to w nawyk, zamieniają spotkania takie jak to w ciężką orkę. Wiedzą, co ma być powiedziane, ale czekają z tym do ostatniej chwili.

– Mleko, cukier?

Frank potrząsa głową. Pewnie nawet nie wypije tej cholernej herbaty. Gra tylko o trochę więcej czasu. Żeby móc się zastanowić nad tym, co zrobił. O trochę więcej

czasu, którego nie powinien potrzebować. Fisher stawia przed nim filiżankę, siada przy stole. Koniec zwlekania.

– Jeżeli dobrze rozumiem, nie pracujesz już dla Petera Jamiesona.

Frank zerka na niego.

– Nie jest to do końca ściśle. – Mówi cicho, niewiele głośniej od szeptu. Zmusza Fishera do wyłączenia słuchu. – Moja rola się zmieniła. Niekoniecznie na lepsze.

Fisher kiwa głową.

– Jeżeli nie chcą cię na pokładzie, to masz tylko jedną szansę na zaczęcie wszystkiego od nowa – mówi. Frank spogląda znacząco na detektywa, a potem kieruje wzrok z powrotem na ten sam punkt na stole, którym tak się interesuje od początku wizyty. Spojrzenie ma oznaczać, że ma więcej niż jedną opcję. Może mieć tylko jedną legalną, ale obaj wiedzą, że to nie ma znaczenia. – Ja mogę załatwić ci nowe życie. Dać ci ochronę, jakiej nie dostaniesz nigdzie indziej. Wiem, że mógłbyś pracować dla kogoś innego, ale to nie jest dla ciebie najlepsze rozwiązanie. Już masz wielu wrogów. Praca dla kogoś innego jeszcze pogorszyłaby sprawę. Baczenie bym się przyglądał, żeby sprawdzić, co robisz dla nowego szefa. Wielu innych też weźmie cię pod lupę. Ale mogę wysłać cię tam, gdzie nikt nie będzie o tobie wiedział. Do innego miasta. Do innego kraju, jeżeli tego chcesz. Możesz zacząć normalne życie.

Specjalnie zachował to ostatnie na koniec. Frank też o tym wie. Fisher miał już w życiu do czynienia z członkami starej gwardii takimi jak Frank. Ale z niewieloma. Żadnego nie prowadził jako kontaktu, nie kogoś z tak wysokiego szczebla w organizacji. Wszyscy mają jednak pewną wspólną cechę. Pragnienie, by żyć jak normalni ludzie. Po prostu parę lat normalności, bez konieczności nieustannego oglądania się za siebie. Niektórzy są na tyle głupi, by próbować przejść do cywila bez ochrony. Na tyle egoistyczni, by próbować tworzyć normalne związki, które narażają tę drugą osobę na niebezpieczeństwo. Ale nie Frank. On wydaje się na to zbyt inteligentny.

– Myślisz, że możesz zagwarantować mi bezpieczeństwo?

Fisher wie, jak na to odpowiedzieć.

– Obaj wiemy, że nie dam ci stuprocentowej gwarancji. Nikt ci takiej nie da. Ale i tak będzie lepsza od tego, co zaoferowałyby ci hipotetyczny pracodawca. Jeżeli ktoś cię zatrudni, będzie chciał, żeby świat o tym wiedział. Na tym polega sedno sprawy. Zostajesz w mieście, na oczach wszystkich. Co krok musisz się oglądać za siebie.

Nie ma co, chłopak wie, jak usprawiedliwić zdradę. Frank spogląda na niego ponownie. Nie chłopak. Raczej cokolwiek zaniedbany mężczyzna w średnim wieku. Twarz porwana zmarszczkami, nieogolona. Widać, że były grane zarwane noce. Wory

pod oczami. Nic dziwnego, że jest zestresowany.

– Co chciałbyś dostać ode mnie?

– Ile się da. Nie oczekuję, że pogrążysz samego siebie. Nie jestem naiwny, wiem, że wiele rzeczy z wielu powodów będziesz chciał zatrzymać do własnej wiadomości.

– Postępuj z nim rozsądnie. Nie stawiaj żądań. Niech myśli, że może nie będzie aż tak źle. Trudno zwieść kogoś takiego jak Frank, ale warto spróbować. – Wiesz, że będę potrzebował czegoś w miarę dużego. Świeżego i dużego. Zapewnienie ci nowego życia to duża inwestycja. Trudno o takie w dzisiejszych czasach. Musiałbym poprzeć to czymś naprawdę dobrym. Wiem, że masz w zanadru niemało wartościowych informacji, którymi mógłbyś się ze mną podzielić.

Frank kiwa głową, ale nic nie mówi. Dlaczego wszyscy ci starcy mają nieprzeniknione twarze? Fisher czeka na odpowiedź. Czas na decyzje.

Coś dużego. Coś niedawnego. Coś, co go nie pogrąży. Frankowi nie przychodzi do głowy żadna z grubszych robót Jamiesona, w którą nie byłby zamieszany. Może Lewis Winter? Ale tam też odegrał drobną rolę. To do niego Calum udał się po telefonie od Glena Davidsona. Ale Frank przekazał tylko informacje. Za to nie mogą go posadzić. To by było w sam raz. W sam raz? Jasne. Ale co potem? Gliny aresztują Caluma MacLeana. Młodego chłopaka, który jest wierną kopią Franka sprzed trzydziestu lat. Talent. Spokojnego chłopca, który umie pracować. Umie żyć. Aresztują George'a Daly'ego. To dobry chłopak. Dobry kark. Jedyne sympatyczny kark, jakiego Frank w życiu spotkał. Większość karków to typy niewybaczalnie głupie i irytujące. Ale nie George. Aresztują Johna Younga. W porządku. To akurat dałoby się przeżyć. Jedyne, co ratuje Younga, to fakt, że jest bliskim przyjacielem Jamiesona. Uczciwy, inteligentny i lojalny. A potem aresztują Petera Jamiesona. Nie żeby na to nie zasługiwał. Wszyscy zasługują. Ale Jamieson. Cholera! Tyle zrobił dla Franka. Przechodził samego siebie. Wszystko, czego Frank potrzebował. Od pierwszego dnia. Nigdy nie zadawał pytań. Był nie tylko szefem. Był przyjacielem. Czegoś tak rzadkiego nie składa się w ofierze.

Frank wstaje. Nie nagle. Nie targany emocjami. Jest starym człowiekiem, który pogodził się z sytuacją.

– Muszę cię przeprosić – mówi do Fishera. – Nie wątpię, że starałbyś się dla mnie najlepiej, jak umiesz. Jesteś dobrym gliną; dlatego się ciebie boją. Jesteś wytrwały. Nie lubią tego. Dziękuję ci za propozycję, ale muszę odmówić. Myślałem, że może dam radę to zrobić. Ale to nie dla mnie. Za długo w tym siedzę. Wybacz.

Fisher wstaje. Cholera! Było tak blisko. Tak cholernie blisko.

– Posłuchaj, nie musisz teraz decydować. Oferta pozostaje w mocy. Dam ci mój numer komórkowy. Możesz zadzwonić o każdej porze. Nigdy nie jest za późno. –

Wie, że brzmi to desperacko. Nieważne. Informator z najwyższej półki właśnie zamierza wyjść, a nie jest typem, który by wracał.

– Nie sądzę, żeby było to konieczne. W razie potrzeby znajdę cię. Ale nie spodziewam się, żeby do tego doszło. – Uśmiecha się smutno. – Nic więcej nie mogłeś zrobić.

Frank wychodzi. Wiadomo, że nie wróci. Fisher ma wrażenie, że najlepsza okazja w życiu właśnie wymknęła mu się z rąk. Śledztwo w sprawie zabójstwa Scotta utknie w martwym punkcie. W najlepszym wypadku mogą twierdzić, że to Słodas dostarczał Scottowi towar. Co jest nieprawdą. W każdym razie nie bezpośrednio. Nic więc z tego nie będzie. Kolejne śledztwo, które skończyło się niczym. Kolejna porażka Michaela Fishera. Kolejna okazja do szyderstw dla tamtych zbójców. Ludzie tacy jak Jamieson i Słodas podśmiewający się z niego za plecami. Rozpieprzają to miasto od góry do dołu, a jednak uchodzi im to na sucho. Uchodzi, bo Fisher nie jest w stanie zakończyć sukcesem żadnego śledztwa.

Wali pięścią w stół. I jeszcze raz. Na tyle mocno, że nabija sobie siniaka. Nie czuje się od tego lepiej. Zabiera miniaturowe dyktafony – plastikowe ustrojstwa wielkości pendrive'a. Żaden z nich pożytek. Zachowa je jednak; dobrze móc kiedyś udowodnić, że spotkał się z Frankiem MacLeodem. Zakłada płaszcz, wychodzi. Wsiada do samochodu. Jest zimno i mokro.

Pojechał za Frankiem do tego nieznanego domu. Trochę to dziwne. Frank minął dom, zaparkował ulicę dalej i cofnął się pieszo. Byłoby miło, gdyby odwiedzał przyjaciela albo rodzinę. Może nawet kochankę. Calum nie słyszał, żeby Frank kiedykolwiek miał kochankę. Byłoby miło, ale kto zadaje sobie tyle trudu, żeby odwiedzić kobietę? Wychodzi na to, że mógł to być ktoś z innej organizacji. To, czego obawiał się Jamieson. Nie jest to coś, co Calum chciałby przekazać. Zaparkował u wlotu ulicy, tyłem do domu, w którym zniknął Frank. Gdy ten wyjdzie, skieruje się zapewne w drugą stronę po samochód. Calum już wie, że nie pojedzie za nim. Frank zniknął w jednym z domów przy ulicy, zanim Calum zaparkował. Nie jest do końca pewny, w którym, ale gdy Frank wyjdzie, będzie jak na dłoni.

Trwa to jakiś czas. Nie ma nic nudniejszego na świecie niż śledzenie kogoś. Siedzi się i obserwuje nudne życie tej osoby. Film dokumentalny z konsekwencjami. Sprawdza telefon. Dwa nieodebrane połączenia od Emmy. William i George też próbowali się do niego dodzwonić. Mogą poczekać. Od Emmy nie odebrał już parę razy wczoraj. Skąd ta natarczywość? Chce do niej zadzwonić, ale nie może. Gdy tylko wystuka numer, Frank pojawi się w drzwiach, i będzie musiał przerwać połączenie. Zawsze tak jest. To, jak się gniewa na niego za nieodbieranie, będzie niczym w porównaniu z szalem, w jaki wpadnie, jeżeli Calum zadzwoni, a potem się rozłączy. Nie odbieraj dalej. Obserwuj Franka. Gdy tylko Frank zrobi coś godnego uwagi, Calum może donieść o tym Jamiesonowi. Przy odrobinie szczęścia to zakończy sprawę. Rób, co do ciebie należy. Ale jakie to nudne, człowieku. Krople deszczu ściekają po przedniej szybie. Przynajmniej nikt mu się nie przyjrzy. Calum spogląda we wsteczne lusterko, czeka. I czeka.

Drzwi się otwierają i wychodzi Frank. Nawet nie rzuca okiem na ulicę. Zakłada kaptur i wraca tą samą drogą, którą przyszedł. Widać wyraźnie, że utyka. Nie sprawdza, czy ktoś go śledzi. Calum potrząsa głową. Facet robi się nieostrożny. Teraz można zrozumieć, dlaczego Scott go wykiwał. Nie myśl tak. To Frank MacLeod. Kto wie, czy właśnie nie idzie do auta po spluwę. Może po to, by wykończyć ciebie. Obserwuj. Skup się. Pilnuj frontu i tyłów. Jeżeli Frank go zauważył, to on, Calum, może być tu celem. Mija pięć minut. Dziesięć. Nic. Frank musiał pojechać do domu. Tkwić tu, by się przekonać, czy ktoś jeszcze stamtąd wyjdzie, byłoby narażaniem się na niebezpieczeństwo. Może ten ktoś tam mieszka i w ogóle nie wyjdzie. Może nikogo tam nie ma. Może Frank coś stamtąd zabierał albo coś zostawiał. Cóż, zaryzykuje. Lepiej sprawdzić.

Ktoś wychodzi z domu. Szybko przebiega do auta zaparkowanego tuż obok. Za



kierownicą zasiada z gniewnym rozmachem. Calum nie rozpoznaje tej osoby w lusterku. Za mocny deszcz, za duży dystans. Chyba w średnim wieku. Ciemny płaszcz i spodnie. Nic to nie mówi. Cholera, jego samochód zaparkowany był odwrotnie niż Caluma. Zaraz wyjedzie drugim końcem ulicy. Czas złamać parę zasad. Calum zapuszcza silnik, zanim cel odjedzie. To pierwsza złamana zasada. Teraz próbuje zawrócić na trzy w wąskiej uliczce. Zwraca na siebie uwagę, jeżeli ktokolwiek patrzy. To druga. Zawrócił. Rusza w pościg. Ma szczęście. Zauważa tamtego, jak skręca za róg. Zmniejsza trochę dystans, ma go na widoku. Teraz będzie już z górki. Śledzisz ostrożnie. Nie robiąc nic, co odbiegałoby od normy. Gdy sam z nawyku się rozglądasz, czy ktoś cię nie śledzi, staje się to łatwe.

Agresywnie prowadzi ten jegomość. Szybko startuje ze światła, wyprzedza. Przyciąga niemało uwagi. Coś, czego Calum nie może zrobić. Musi zwolnić. Nie przesadzaj. Nie daj się ponieść. Tamten i tak nie zdoła się zanadto rozpedzić. Ruch uliczny nigdy nie zawodzi. Gdy się wie, jak go wykorzystać, można łatwo spostrzec śledzącego i łatwo mu uciec. Calum jedzie za autem czerwonego koloru. Zapewne pachnie ono o wiele ładniej niż ten mały gruchot, którego pożyczył mu William. Ale nie wygląda, żeby było w o wiele lepszym stanie. Tak blisko jeszcze nie był. Za chwilę znowu złapie dystans, ale najpierw chce się przyjrzeć. Nie kierowcy, lecz samochodowi. Zapamiętać numer, kierowcę potem się ustali. Oczywiście, jeżeli auto zarejestrowane jest na niego. W tej branży często nie jest. Ale numer zapamiętać trzeba. Jadą tak od kwadransa. Zaczyna się to robić irytujące. Telefon wibruje w kieszeni. Dzwonek wyciszony. Pewnie znowu Emma. I znowu nieodebrane.

Tamten zwalnia. Włączył kierunkowskaz. Zjeżdża na bok. Na mały prywatny parking otoczony z trzech stron wysokim murem, z których jeden to tylna ściana budynku. Calum jedzie dalej. Widzi szyld przy wejściu do budynku, ale nawet nie potrzebuje patrzeć. Wie, że to komenda policji. Nigdy nie był w środku, ale wie, gdzie się znajduje. Okrąża kwartał, żeby rzucić okiem na kierowcę, ale ten już zniknął. Musiał skierować się prosto do tylnych drzwi. Wejście komiwojażera. Nie jest to miejsce, w którym Calum powinien się szwendać, więc jedzie dalej. Frank, ty głupi kutasie. Umówiłeś się z gliną. Czy wiedział w ogóle, że to glina? Ale wdepnąłeś. A raczej wdepnie, jeżeli Calum zda sprawę. Może powinien poczekać. Dać facetowi szansę pokazania, że nie wyrzuca właśnie w błoto czterdziestu lat kariery.

Wraca pod dom Franka. Przejeżdża obok. Samochód jest. Miał nadzieję, że go nie będzie. Że będzie stał pod klubem, a Frank będzie rozmawiał z Jamiesonem. Będzie mówił mu, że ma gliniarza w garści. Niestety. Wrócił prosto w domowe pielesze, do suchego i ciepłego wnętrza. Calum uczyni to samo. Na nic więcej się na razie nie przyda. Próbuje wymyślić powód, dla którego mógłby nie zgłaszać dzisiaj sprawy Jamiesonowi. Wie, że powinien. To jego zadanie. Jeżeli pozna interesujący fakt, ma

go zgłosić. Poznał. Dowiedział się, że Frank MacLeod spędził dwadzieścia minut na *tête-à-tête* z gliną. Tylko oni dwaj. Wszystko po cichutku. Ale *cui bono*? Frank idący do glin. Jezu, to się w głowie nie mieści. Jeżeli przekroczył Rubikon, to wszyscy są skończeni. Calum jest ugotowany. Jamieson i Young też, i każdy, kto kiedykolwiek dla nich pracował. Frank tak wiele wie. Za wiele.

Wraca do mieszkania. Nie panikuje. Calum tak naprawdę nigdy nie panikuje. Jest odrobinę smutny z powodu Franka; głównie niezadowolony, że znowu będzie musiał się przeprowadzać. Jeżeli Frank wsypał, wszyscy będą musieli się zbierać. Szukać nowego punktu zaczepienia. To coś, co dałoby się przekuć na jego, Caluma, korzyść. Szansa na wydostanie się spod skrzydeł organizacji. Jeżeli organizacja Jamiesona się rozpada, to Calum jest wolny. Musi tylko nie dać się zamknąć. To będzie praktycznie niewykonalne, gdy zostanie w mieście. W kraju. Ale jeżeli to było dopiero pierwsze spotkanie tych dwóch, to może Frank aż tak wiele nie wygadał. Może dopiero się umawiali. Co oznacza, że jest jeszcze czas, by zamknąć mu usta. Jeżeli Calum złoży dziś swój raport.

Wchodzi po schodach, wolniej niż zwykle. Myśli. Wtedy zauważa ją. Siedzi na szczycie schodów z telefonem w dłoni.

Emma siedzi przy kuchennym stole, czeka, aż on usiądzie. On wolałby nie siadać. Wie, co się kroi. A w każdym razie się domyśla. Im szybciej usiądzie, tym szybciej to nastąpi.

– Dzwoniłam do ciebie – mówi Emma. Wygląda na wzburzoną. Gniewną.

– Tak – odpowiada Calum. – Pomagałem Williamowi w warsztacie.

– Musimy porozmawiać. – Emma patrzy na niego. No, zaczyna się. Przyjmuje poważną minę. Jest w tym dobra. – Chcę cię o coś zapytać.

On siedzi naprzeciwko, patrzy na nią. Próbuje wy badać jej uczucia. Widzi, że to dla niej nieprzyjemne. Nie tylko smutne, lecz także przerażające.

– Mów dalej.

– Nie zapytam cię, jak zarabiasz na życie. Myślę, że wiem. To znaczy orientuję się w ogólnym zarysie, nie znam szczegółów. Tak naprawdę nie chcę wiedzieć. Wolałabym nie.

Może nie chce wiedzieć dlatego, że bardziej by ją to zdenerwowało, ale nie tak to brzmi. Brzmi tak, jakby chciała móc się w razie czego wszystkiego wyprzeć. Zdaje sobie sprawę, że niewiedza potrafi być błogosławieństwem.

– Chcę cię zapytać. Czy istnieje szansa, że... – urywa i się śmieje. Nie jest to wesoły śmiech. – Wiem, że to głupio zabrzmiało. Ale czy byłbyś gotów rzucić to, co robisz, dla mnie?

To go zaskakuje. Siedzi, Emma zabiła mu ćwieka. Ona prosi go, żeby rzucił robotę – dla niej. Kobieta, którą zna może od dwóch miesięcy. Prosi go o wielką ofiarę. Po prostu nie rozumie. Taka jest prawda. Jej się wydaje, że to jest romantyczne. Że ona go ratuje z poniżenia, jakim jest życie przestępcy. Odejście z roboty oznaczałoby narażenie się na wielkie niebezpieczeństwo. I jej też.

– To nie tak... – Jak jej to powiedzieć, by nie sprawić wrażenia, że gra drugie skrzypce w tym, co robi? – To tak nie działa. Nie można odejść. – Ile ona wie?

– Zawsze można odejść – mówi Emma. – Jeżeli się naprawdę chce.

Jest taka szczerza. To jedna z jej poważniejszych wad. Myśli, że pozjadała wszystkie rozumy.

– Nie wiem, czym dokładnie według ciebie się zajmuję. Być może, gdybym zaczął planować teraz, mógłbym odejść za kilka miesięcy. Tyle że byłoby to nie odejście, lecz ucieczka.

– Wiem, że mnie okłamywałeś – mówi Emma. – Okłamałeś mnie nie dalej niż przed pięcioma minutami. Wiem, że nie byłeś dzisiaj u brata. Pewnie kłamiesz od samego początku. Jaka ja jestem głupia.

Calum wzdycha.

– Ja nigdy... – Nie, nie może dokończyć tego zdania, żeby znowu nie skłamać. Umie kłamać przekonująco. W każdym razie lepiej niż jego brat. Lepiej niż George. – Chcę być z tobą maksymalnie szczery. Ale o pewnych rzeczach lepiej, żebyś nie wiedziała.

Emma kiwa głową. Wyjmuje chusteczkę z kieszeni, mnie ją w dłoniach.

– Nie jestem aż tak łatwowierna, mój drogi – mówi cicho. – Wiedziałam, że kłamiesz. Ale nie chciałam znać prawdy. Cóż, teraz się zainteresowałam.

Trudno na coś takiego odpowiedzieć.

– W porządku.

– Wiem, że tamtej nocy w zeszłym tygodniu nie pojechałeś pomóc bratu. Wiedziałam to wtedy. Wiedziałam. Ale nic nie zrobiłam. Pomyślałam, że chodzi o coś niedobrego. Ale doszłam do wniosku, że lepiej nie pytać. – Pauza. – Wiesz, że zginęło wtedy dwóch chłopców?

O Boże, tylko nie to. Myślał, że Emma ma więcej rozumu w głowie. Jeżeli uważa, że mogło chodzić o morderstwo, to powinna zdawać sobie sprawę, że milczenie to najlepsze wyjście. Teraz Calum musi skłamać. Nie ma wyboru.

– Hejże hola, momencik. Mam nadzieję, że nie sugerujesz, że miałem coś wspólnego z czyjąś śmiercią. – Ma wrażenie, że zabrzmiało to przekonująco. Uważał, żeby nieopatrnie nie zdradzić jakiegoś szczegółu, o którym dotąd nie było mowy. Był szczerze oburzony. Zaszokowany.

Emma potrząsa głową.

– Nie, z początku tak nie myślałam. Ale potem poszłam do twojego brata. Okłamał mnie co do tamtej nocy, podobnie jak ty. Kiepski z niego kłamca. Za długo zastanawia się nad odpowiedzią. Chyba nie jest aż tak bystry. A potem spotkałam się z George'em. On też próbował kłamać. Wspomniałam o tych zabitych. Widziałam jego reakcję. Ja wiem.

Calum próbuje się zaśmiać. Nie brzmi to sensownie w jego uszach. Ani w jej.

– Nie wiem, co George ci nagadał, ale musisz wiedzieć, że to nie ja. Jezu, Emma, co ty mówisz? – „Co ty robisz?”, chciałby zapytać. „Dlaczego podnosisz alarm w całym mieście?”. Wypytuje George'a. Kogoś, kto, jak musi wiedzieć, również pracuje w branży. Uważa, że jak się to skończy? To właśnie jest problem z ludźmi z zewnątrz. Naprawdę sądzą, że są nietykalni. Myślą, że ponieważ postępują zgodnie

z prawem, to inni potraktują ich uczciwie. Myślą, że chroni ich własna przyzwoitość. Mylą się.

– Posłuchaj, nie wiem, jak głęboko byłeś w to zamieszany. Wiem, że byłeś, więc proszę, nie okłamujmy się już na ten temat. – Podnosi dłoń, żeby zamknąć mu usta. – Ja po prostu... myślę, że jesteś dobrym człowiekiem. Albo, no nie wiem, że możesz się takim stać. Jeżeli będziesz chciał. Proszę tylko, żebyś zerwał z tym życiem. Znalazł lepsze.

Calum zamyka oczy. Nie może jej wytłumaczyć.

– Przykro mi, Emmo. To tak nie działa.

Ona patrzy na niego i potrząsa głową. Bierze jego słowa za brak woli. Życie wydaje jej się proste. Chcesz coś zrobić, więc robisz to.

– Maksymalnie ułatwię ci sprawę – mówi. – Albo kończysz z tym, co robisz, albo koniec z nami. To naprawdę nieskomplikowane.

On uśmiecha się krzywo, co akurat w tym momencie nie jest najlepszą reakcją. Myśli o pracy. A gdyby Emma poznała prawdę? Jaka byłaby jej reakcja? Wtedy nie byłoby ultimatum. Odeszłyby, bez względu na to, co by jej obiecał.

– Gdyby to było takie proste, jak myślisz, już bym to zrobił. Ale nie mam takiej możliwości.

Ona kiwa głową. Nic nie mówi. Zaciska usta, stara się ukryć emocje.

Mija dwadzieścia sekund ciszy. Potem głębokie westchnienie. Takie, które świadczy o podjętej decyzji. Emma wstaje, bierze torebkę. Spogląda na Caluma ponad stołem. Teraz w jej oczach jest już tylko smutek.

– Do widzenia – mówi i kieruje się do drzwi.

Calum naprawdę żałuje, że nie jest w stanie nic powiedzieć. Powinien powiedzieć coś, co pozwoliłoby jej zrozumieć, a jednocześnie go nie znienawidzić. Coś, co mogłoby uratować ich związek. Związki to taka rzadkość w jego życiu. To konkretne rozstanie będzie bolesne, wie o tym. Ale jaka jest alternatywa? Wszystko, co przychodzi mu do głowy, brzmi głupio. Ona otwiera drzwi.

– Nie chcę robić tego, co robisz – mówi Calum. Ona zatrzymuje się i patrzy na niego. Potem przestępuje przez próg i zamyka za sobą drzwi. A on znowu jest w punkcie wyjścia. Tam, gdzie zawsze powinien być. Sam.

Wygląda przez okno, obserwuje krople ściekające po szybie. Życie samotnika. Jak Frank znosił to przez tyle lat? Calum zastanawia się nad tym od godziny. Nie myśli zbyt wiele o Emmie. Lubił ją, ale wszystko trwało zaledwie dwa miesiące. Jej towarzystwo sprawiało mu przyjemność, ale po tak długiej przerwie byłoby tak z każdą. Calum ma dwadzieścia dziewięć lat, Frank – sześćdziesiąt dwa. Dodatkowe trzydzieści trzy lata takiego życia. Aż do wpadki ze Scottem wydawało się, że Frank świetnie sobie z tym radzi. Musiał mieć momenty takie jak ten, kiedy gra wydawała mu się niewarta świeczki. A może nie. Może zawsze był twardszy niż Calum. Pewnie nigdy się nie dowie. Żaden cyngiel nie zwierzy się drugiej osobie z kryzysu emocjonalnego. Co ciekawe, odczuwa coś takiego dopiero od pół roku. Wcześniej nigdy. Był zadowolony z życia, jakie miał. Dopóki miał nad nim kontrolę, plusy przeważały nad minusami.

Gorzkie postanowienie. Czas coś zrobić. Popracować. Próbując ratować własny tyłek, Frank wystawia na szwank bezpieczeństwo wszystkich pozostałych. To niewybaczalne. Jamieson musi się dowiedzieć. Calum zakłada kurtkę, bierze kluczyki od samochodu. Koniec roztrząsania tematu. Takie masz życie i już; nie pogarszaj go.

Wchodząc w to, wiedział, co na się decyduje. Z czego będzie musiał zrezygnować. Teraz nie ma prawa kręcić nosem. Ma robotę. Ma forszę. Ma życie. Będzie musiał się z tym pożegnać, jeżeli Frank sypnie. Można nie lubić życia, które się wie, ale mimo to trzeba je chronić.

Zamyka za sobą drzwi, zbiega po schodach, wychodzi na deszcz. Rozgląda się powoli, nie bacząc, że trochę zmoknie. Ostrożność jest ważniejsza od komfortu. Upewnij się, że nikt cię nie śledzi. Jest teraz w trybie roboczym. Pojedzie do Jamiesona i złoży mu raport. To ważne. Gdyby Frank się dowiedział, próbowałby do tego nie dopuścić. To Franka szuka wzrokiem, ale tylko pusta ulica odwzajemnia spojrzenie Caluma.

Parkuje przecnicę od klubu. Idzie żwawo, ale nie za szybko. Tak jak powinno się iść przy tej pogodzie bez zwracania na siebie uwagi. Przed klubem nikogo nie ma, skręca więc w boczną alejkę. Wchodzi służbowym wejściem. Żaden ze stałych klientów nie patrzy na niego. Znają swoje miejsce. Nie dla nich filowanie na ludzi, którzy nie lubią być obserwowani. Przygląda mu się paru gości przy stołach bilardowych. Jednym z nich jest Kenny, kierowca. Calum kiwa mu głową na powitanie i nic nie mówi. Ten drugi to Marty. Alfons i lichwiarz. Prawdziwa szuja, a do tego ma niewyparzoną gębę. Cieszy się jednak popularnością ze względu na to, co dostarcza. Wszyscy aspirujący gangsterzy chcą znać gościa, który organizuje

prywatne imprezy z dziewczynkami. Osiąga też spore zyski, więc Jamieson i Young są w stanie ścierpieć jego towarzystwo raz na jakiś czas.

Marty zapewne przybył na spotkanie. Podał już wiadomość do gabinetu szefa. Caluma to nie obchodzi. Wpychanie się bez kolejki to naprawdę nie jest najgorsza rzecz, jaką w życiu zrobił. Maszeruje korytarzem do drzwi Jamiesona. Ochrona beznadziejna, myśli. Puka do drzwi, czeka na reakcję.

– Wejść – da się słyszeć po chwili. Otwiera drzwi i wchodzi do środka. Jamieson siedzi za biurkiem. Siedzi zwrócony w stronę Younga, który jak zwykle zajął miejsce na kanapie. Obaj na niego spoglądają. Patrzą na krople wody kapiące na ładną wykładzinę. Calum przybrał surowy wyraz twarzy, by dać do zrozumienia, że sprawa jest poważna. Zresztą i tak zwykle ma taką minę – nie wymaga to z jego strony żadnego szczególnego wysiłku. Być może ci dwaj nie wiedzą jeszcze, co się kroi. Jamieson daje znak Youngowi, żeby zostawił ich samych.

Calum siada naprzeciwko Jamiesona. Szef potrafi zachować kamienną twarz. Robi to na zawołanie, ale nie tym razem. Tym razem wygląda na zmartwionego. Wie, że Calum chce mu coś przekazać, a nie pojawiałby się tu wieczorem, cały mokry, gdyby nie było to coś ważnego.

– A więc? – mówi Jamieson.

Jest gorzej, niż się spodziewasz, myśli Calum. Ale nie powie tego na głos. Niech Jamieson sam to oceni.

– Śledziłem go wczoraj i dzisiaj. Wczoraj nic. A dzisiaj pojechał spotkać się z jednym gościem. W domu przy Renfrew. Siadłem potem temu drugiemu na ogonie. Zatrzymał się w Cowcaddens. Przy komendzie. Zaparkował na wewnętrznym parkingu, wszedł bocznym wejściem. Był jednym z nich.

Powiedział Jamiesonowi wszystko, co ten powinien wiedzieć. Teraz Jamieson milczy. Siedzi, wpatrując się w blat biurka. Jakby zadano mu pytanie, na które nie zna odpowiedzi, ale nie chce się do tego przyznać. Zapomniał języka w gębie.

– Jesteś pewien, że to był glina? – pyta wreszcie. To głupie pytanie.

– Nie wchodziłby bocznym wejściem na komendę, gdyby nie był. – To oczywiste.

Jamieson myśli intensywnie. O tym, że wszystkie śledztwa przedsięwzięte przeciwko jego interesom miały swój początek na tamtej komendzie. O tym, że gdyby Frank miał sypnąć, to tam właśnie by poszedł. Są gliniarze, którzy daliby wszystko, żeby dopaść Jamiesona. Zagwarantują Frankowi ochronę, żeby złapać grubszą rybę. Frank mógłby zapewne wynegocjować dobry układ.

– Musieli się wcześniej kontaktować – mówi Calum. Nie zamierza siedzieć cicho i słuchać, jak Jamieson myśli. – Może jest jakiś ślad w billingach. – Gdyby chodziło

o kogoś innego, Jamieson nie potrzebowałby dodatkowych dowodów. Ale chodzi o Franka.

– Opowiedz mi o gliniarzu – mówi Jamieson cicho.

– Nic szczególnego. W średnim wieku, powiedziałbym. Prowadził czerwone renault. Nie przyjrzałem mu się dokładnie, ale zapisałem numer. – Wyjmuje z kieszeni kurtki świstek papieru i kładzie na biurku. To nie musi być ważne, ale może. – Jedyne, co zauważyłem, to to, że kiedy wychodził, wyglądał na zdenerwowanego z jakiegoś powodu. Wyszedł po Franku. Dał mu parę minut. Otworzył szarpnięciem drzwi samochodu, zamknął z trzaskiem. Miałem wrażenie, że coś rzuca na fotel pasażera, nie wiem co. Wyglądał jak ktoś, komu nie udało się spotkanie. – Daje Jamiesonowi odrobinę nadziei. Nic więcej. Fakt, że spotkanie w ogóle miało miejsce, mówi wszystko. Frank nie dostałby ochrony, gdyby grubo nie sypnął. Nie po tym wszystkim, co zrobił. Sugestia, że ich pierwsze spotkanie nie było jakimś wielkim sukcesem, nie daje pocieszenia.

Jamieson kiwa głową. Obaj wiedzą, że nastrój, w jakim był glina, nie ma znaczenia. Frank złamał podstawową zasadę. W branży jest mnóstwo durnych zasad, z których większość warta jest tyle co nic. Większość nie jest w ogóle przestrzegana. Istnieją tylko dlatego, że ludzie chcą uchodzić za twardzieli. Żeby wyglądało, że są dobrze zorganizowani. Tak naprawdę liczą się tylko dwie rzeczy. Pieniądze i policja. Po pierwsze, szefa nie przekręca się na kasę; takie zachowanie zostanie ukarane. Po drugie, nie rozmawia się z policją; takie zachowanie zostanie ukarane surowo. Reszta to drobiazgi. Całe to gadanie o lojalności i honorze – zwykłe rojenia. Ludzie robią okropne rzeczy i uchodzi im to na sucho, ponieważ jest z tego zysk. Pieniądz jest bogiem. Policja to diabeł. Frank przestaje z szatanem i będzie musiał za to zapłacić. Obaj o tym wiedzą. Ale nic się nie wydarzy, dopóki Jamieson o tym nie zdecyduje. Nieważne, że działania Franka dotyczą ich wszystkich. Calum mógłby zrobić coś na własną rękę i nikt by mu nic nie zrobił. W końcu by mu wybaczone. Ale samowolne działanie świadczyłoby o słabości szefa; czegoś takiego się nie robi.

– Dobra – mówi Jamieson. – Muszę się nad tym zastanowić. – Kończy spotkanie.

Calum wstaje, kieruje się ku drzwiom. Otwiera je, nie spodziewając się usłyszeć nic więcej.

– Pewnie będę w kontakcie – mówi Jamieson. Cicho i bez entuzjazmu. – Wkrótce. – Co oznacza: bądź gotów.

Calum schodzi po schodach. Opuszcza klub bocznym wejściem, żeby nie patrzeć na ludzi. Na szczęśliwych ludzi, udających się na tańce. Szukających rozrywki. Nie chce na nich patrzeć. Emma zniknęła z jego życia. Odejście Franka oznacza, że jest teraz jedynym cynglem Jamiesona. Najbliższa robota będzie najpewniej bardzo



nieprzyjemna. Ale robota to robota. Wyłącza go z rzeczywistości. Sprawia, że życie przestaje być nudne. Przepenia każdą chwilę świadomością. Daje ulgę. Rozgląda się, wsiadając do auta. Nikogo. Zapuszcza motor. Ma coś do zrobienia.

Dzisiejszym problemem jest Frank i jest to problem dużego kalibru. To oznacza kolejną rozmowę z Jamiesonem. Znowu walenie głową w mur. Nikt tego Jamiesonowi nigdy w twarz nie powiedział, ale wielu uważa, że to Young jest mózgiem całej operacji. Jamiesonowi to nie przeszkadza, nigdy nie zaprotestował. On i Young wiedzą, jaka jest prawda.

Young jedzie do klubu. Może jeszcze złapie Jamiesona, zanim ten pojedzie do domu, a może nie. Próbuje sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek zdołał nakłonić Jamiesona do zrobienia czegoś, czego ten by nie chciał. Czegoś ważnego. Jasne, parę razy zgodził się na drobne rzeczy, które nie były po jego myśli. Nigdy nie odmówi Youngowi małego zwycięstwa. Ale nie w sprawie, która naprawdę ma znaczenie. Tutaj zawsze decyduje Jamieson. Young nie ma złudzeń. Jest strategiem i rekrutantem; jest prawą ręką. Ale to nie on rozdaje karty.

Zajeżdża pod klub. Na ulicy cicho. Nie widać bramkarzy, ale nie powinno być zamknięte. Na miejscu będzie ekipa sprzątająca. Wchodzi po schodach, mijają stoły. W rogu samotny osobnik bawi się telefonem. To Kenny. Czyli Jamieson jeszcze jest. Idzie korytarzem. Wchodzi do gabinetu po krótkim pukaniu. Jamieson siedzi za biurkiem – gdzież by indziej? W dłoni trzyma szklanekę whisky. Nie wygląda na kogoś, kto chce usłyszeć potwierdzenie swoich najgorszych obaw. To będzie dla niego cios. Chce wierzyć, że Frank by go nie zdradził. Jeden z niewielu, którym zaufał. Frank zostaje odsunięty i od razu pędzi na policję. To cios. Muszą działać. Pogodzić się z rozczarowaniem i przejść do brudnej roboty. Jamieson podnosi wzrok na Younga. Ma agresywną minę, ale to typowe, kiedy się napije. Jest albo przekornym pijakiem, albo nieprzyjemnym. Granica może być cienka.

– Czego chcesz, John? – pyta. Głos ma jak dzwon. Kiedy pije, nie płacze mu się język. Trzeba na niego spojrzeć. Widać po oczach.

– Wracam z rozmowy z naszym informatorem na policji, młodym Higginsem. Gliniarzem, z którym spotkał się Frank, był niemal na pewno Michael Fisher. Prowadzi śledztwo w sprawie śmierci Scotta i McClure’a. Ostatnio zaniedbał je na rzecz czegoś innego. Jakiegoś informatora z najwyższej półki. – To wystarczy. Jamieson powinien wiedzieć, co robić.

– Aha – mówi tylko Jamieson i pociąga kolejny łyk. Spogląda na bok, odwracając wzrok od Younga. – Chcesz go kropnąć, prawda? – To oskarżenie.

– Nie – odpowiada Young. – Nie chcę. Ale obaj wiemy, że musimy to zrobić. Nie sądzę, żeby dużo im zdradził na pierwszym spotkaniu. Przy drugim będzie już musiał

dać im coś ważnego. Musimy temu zapobiec. Jeżeli to zrobi, jesteśmy ugotowani. Wszyscy. Chciałbym, żeby to było zrobione tej nocy.

– Nie – mówi Jamieson. Tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Young wyszedł. Przez parę minut stał, czekając, aż Jamieson się zgodzi, a potem oznajmił, że zjawi się ponownie rano. Próbował robić obrażoną minę. Jamieson się nie przejmuje. Bez wielkich trudności przekona Younga. Nieraz to robił. Ale Frank. Frank odszedł. Na zawsze. Jeżeli rozmawia z policją, to odszedł na zawsze. A tak mu ufał. Jezu, czego mu nie opowiadał! I czego Frank dla niego nie robił. Frank wie wszystko. Z najdrobniejszymi szczegółami. Sukinsyn! Co za sukinsyn. Jamieson zrobiłby wszystko, żeby zatrzymać go przy sobie. Dałby mu dobrą robotę. Nie mokrą. Na to starego durnia już nie stać. Ale coś innego. Coś ważnego. Ale nie. Frank okazał się jak te wszystkie małe gnojki próbujące zdobyć to, czego pragną, za darmo. Jeżeli mu to nie wychodzi, wbija ci nóż w plecy. Idzie na policję. Pal licha, gdyby to była tylko konkurencyjna organizacja.

To musi być pomyłka. Nieporozumienie. Frank jest człowiekiem starej daty. Nie kimś, kto by zdradził. W każdym razie nie tak łatwo. Jeden czy drugi małolat, tak, ale nie Frank. Może został wrobiony. Może gra z gliną w kotka i myszkę. To byłoby wyjaśnienie.

Może poszedł do gliniarza, żeby zastawić na niego pułapkę? Fisher od dłuższego czasu sprawia kłopoty. Może Frank w coś gra, żeby zaimponować Jamiesonowi? Żeby przekonać go, że wciąż nadaje się na cyngla. Ale nie. Nie oszukuj się, chłopie. Jedyne, co Frank mógłby zrobić Fisherowi, by udowodnić światu, że nie wyszedł z wprawy, to go zabić. Frank nie jest taki głupi. Żaden cyngiel nie byłby taki głupi. Zabicie gliny to ostateczność. Zawsze. Jest bezcelowe, chyba że okoliczności są naprawdę wyjątkowe. Martwego glinę zastępuje żywy, dyszący żądzą zemsty. Nie, Frank nie ogrywa gliny. Jedyne gra, na jakiej się zna, nazywa się „zabijanie”.

Łuski zaczynają mu opadać z oczu, jeśli chodzi o Franka. Myśli o wszystkim, do czego Frank nie jest zdolny. Do czego zapewne nigdy nie byłby zdolny. Jasne, był jednym z wielkich cyngli, ale to wszystko. Specjalizował się w jednej dziedzinie. Nie miał szerszych umiejętności. A dzisiaj? Nic szczególnego. Spójrzmy na trzy zlecenia, które dla organizacji wykonał Calum MacLean. Wintera załatwił podręcznikowo. Frank nie zrobiłby tego lepiej. Davidson okazał się polem minowym, a jednak Calum dał sobie radę. Frankowi nie poszłoby tak dobrze. O nie. A potem Scott. Odwróćmy role. Frank pewnie nawet by nie próbował. A nawet gdyby, byłoby mu trudno. To była gruba robota. Czy Frank też zachowałby aż tak zimną krew? Trudno w to uwierzyć. Może bez niego będzie lepiej. Lepiej bez przyjaciela.

Sięga po telefon. Numer Franka zna na pamięć. Czeki. Stary w łóżku czy na

kolejnym spotkaniu? Frank odbiera. Jego głos nie jest zaspany. Ale nie da się ukryć, że brzmi staro. Nigdy tak nie było. Zawsze brzmiał po prostu jak Frank. Dobry, stary Frank. A teraz słyhać, że posunął się w latach.

– Frank, tu Peter.

– Peter. – Lekka pauza. Może to nic, ale zwykle nie brakowało mu języka w gębie.  
– Coś się stało?

– Myślę po prostu, że musimy się spotkać i pogadać. Ustalić, na czym stoimy. Wiesz?

– Tak, chyba tak.

– Wpadniesz do klubu rano, powiedzmy o dziesiątej? Zobaczymy, na czym stoimy. Jestem pewny, że przyda się to nam obu.

– Jasne – mówi Frank – o dziesiątej. Do zobaczenia.

Sądząc po głosie, nie był zdenerwowany. Może nie jest. Może nie ma powodu. A może po prostu jest dobrym kłamcą. Siedzi w tej branży wystarczająco długo. Po latach praktyki człowiek robi się w tym dobry. Frank nie zaszedłby tak daleko, gdyby się nie nauczył ukrywać emocji. Jamieson dopija ostatnią szklanekę whisky. Czas ruszać do domu. Tutaj nie ma już nic do roboty. Kiepski to był dzień. Zdarzały się takie wcześniej, ale ten może zdobyć palmę pierwszeństwa. Wstaje. Nie chwieje się, co świadczy o tym, że udało mu się wypić z głową. Chodzi o uśmierzenie bólu. Uśmiecha się. Przypomina mu się coś, co Frank kiedyś powiedział. Dobrego cyngla od kiepskiego da się odróżnić po tym, jak wiele pragnie zapomnieć. Wielu cyngli zaczyna pić. Ale nie Frank. I Calum najwyraźniej też nie. Im nie przeszkadza to, co widzieli. Co robili. To ostrzeżenie. Jeżeli kogoś, kto ma taki zawód, nie gryzie sumienie, to znaczy, że może być zdolny do wszystkiego.

Gasi światło. Przechodzi korytarzem do sali bilardowej. Siedzi tam Kenny, minę ma znudzoną. Ale zawsze jest na miejscu, zawsze gotów pomóc.

– Nie powinienem był kazać ci siedzieć tu tak długo – mówi Jamieson.

– Nie ma sprawy – odpowiada tamten. Nie powie nic więcej, prawda? Schodzą po schodach, a kiedy znajdują się na dworze, Kenny przyspiesza, żeby usłuźnie otworzyć drzwi samochodu. Jamieson nigdy tego nie lubił. Jeździ z tyłu. Otwierają mu drzwi. Jakby był jakimś starcem.

– Chciałbym cię o coś zapytać, Kenny – mówi, gdy ruszają spod klubu. – Czy ufasz wszystkim w swoim otoczeniu?

Kenny pochrząkuje niepewnie i wzrusza ramionami. Zdenerwował się. Jamieson uśmiecha się w duchu. Biedny chłopak boi się udzielić złej odpowiedzi.

– Chyba tak – mówi wreszcie.

– A nie powinienes. Musisz sam się o siebie troszczyć. Nie polegać zaadto na innych. To wchodzi w nawyk. Dobry z ciebie chłopak, Kenny, wiem o tym. Porządny pracownik. Dziękuję ci za to – mówi, zapadając się głębiej w kanapę. Nie zdawał sobie sprawy, że jest aż tak zmęczony.

Frank niewiele spał tej nocy. Rozmyślał nad telefonem od Petera. Nie brzmiał on ostrzegawczo. Peter nie był agresywny, nie sprawiał wrażenia, że coś knuje. Zdawało się, że mówi szczerze. Ale to nie powstrzymuje człowieka od myślenia o wszystkim, co może się za tym kryć. Może rzeczywiście chodzi o spotkanie. Jamieson będzie chciał opisać mu nowy zakres obowiązków. Podać szczegóły przyszłości, które – ma nadzieję – przekonają Franka, żeby zaakceptował nową rolę. Równie dobrze może to być pułapka. Nie, nie pułapka. Nie zabiliby go w klubie; to byłoby idiotyczne. Niepotrzebne ryzyko. Ale być może wstęp do likwidacji. Frank wie o wiele za dużo. Znalazł się poza organizacją. Dziadek, który schrzanił prostą robotę. Może Jamieson myśli, że pozbycie się Franka będzie rzeczą prostą. Frank wstaje z łóżka, biodro daje o sobie znać. Może Jamieson ma rację. Co właściwie miałyby im przeciwstawić? Idzie pod prysznic, przygotowuje się do spotkania. Trzeba jechać.

Wychodzi z domu, kieruje się do samochodu. Rozgląda się po ulicy. Nic. Jedzie do klubu. Myśli o wszystkich rozmowach, które odbył z Peterem Jamiesonem. Kiedyś był w stanie na niego wpłynąć. Przekonać go, że pewne rzeczy mają sens, kiedy Jamieson się wahał. Przekonać go, że pewne rzeczy nie mają sensu. Przynajmniej jeden człowiek żyje dzisiaj dlatego, że Frank odradził Jamiesonowi zabicie go. Ale to było kiedyś. Frank był kimś, kogo warto było słuchać. Dzisiaj jest starym człowiekiem wypchniętym z organizacji, kurczowo się jej trzymającym. Wysiada z auta, wchodzi do klubu frontowymi drzwiami. W środku cicho. Po schodach, tych cholernych, zdradliwych schodach. Do sali bilardowej. Stoły zajęte. To ta pora. W klubie panuje cisza, nie ma muzyki; mogą udawać, że skupiają się na grze. Większość i tak jest bezużyteczna, w bilardzie i we wszystkim innym. Kilka twarzy rozpoznaje – stali klienci. Wśród nich jest Kenny, kierowca.

Frank kiwa mu uprzejmie głową.

– Pan na spotkanie z szefem? – pyta chłopak głupio. A po cóż by innego?

– Tak – odpowiada Frank. Kenny odchodzi, by go zapowiedzieć. Frank zauważył, jak bardzo chłopak wydaje się zdenerwowany. Niedobry znak. Kierowca słyszy to i owo. Musi mieć powód do zdenerwowania akurat w obecności Franka. Wraca.

– Proszę – mówi i od razu odwraca się od Franka. Nie chce wdać się w rozmowę. Nie chce być widziany ze skazańcem. Frank zostawia Kenny'ego w spokoju. Nie ma sensu zaczepiać chłopaka. Tak to już jest, kiedy wypychają cię z organizacji. Nie można winić szeregowego pracownika, że od niego stroni. Gdyby odzyskał pozycję, ludzie tacy jak Kenny znowu zaczęliby się do niego garnać.

Podchodzi do drzwi, puka. Wołanie, żeby wejść. Jamieson i Young, obaj na swoich miejscach. Young wstaje; wychodzi. Dobry znak czy zły? Dlaczego Jamieson nie chce, żeby jego główny współpracownik uczestniczył w tej rozmowie? Trudno uniknąć wrażenia, że szykuje się coś nieprzyjemnego. Young nie wychodziłby, gdyby szło o robotę. To on jest odpowiedzialny za szczegóły techniczne. Zawsze przydatny w takich rozmowach. Young mija Franka, nie patrząc mu w oczy. To może być zły znak, ale Frank nie przypomina sobie, żeby Young kiedykolwiek patrzył mu w oczy. Nigdy się nie spoufalali. To kolejna zaleta Jamiesona. Nigdy nie zmusza pracowników, żeby się fraternizowali. Niektórzy szefowie tak robią. Zupełnie niepotrzebnie myślą komitwę z lojalnością. Jamieson potrafił się od tego ustrzec. Niech ludzie robią, co do nich należy. Wystarczy, jeżeli są w tym dobrzy. Young zamyka za sobą drzwi. Zostają we dwóch. Jak wiele razy wcześniej. Ale nigdy w takiej atmosferze. Frank zajmuje miejsce.

– Frank, dobrze cię widzieć – wita go Jamieson. – Jak się trzymasz?

– W porządku. – W defensywnie jest zwykle małomówny.

– Napijesz się?

– Przyjechałem autem.

– Jasne – mówi Jamieson z uśmiechem. Zawodowcy nie ryzykują w ten sposób. Nie pozwolą sobie na wpadkę z powodu jazdy po pijanemu. Na drobnostkę, która może zamienić się w kulę śniegową. Zatem niech butelka stoi tam, gdzie stała. Po co Frank ma myśleć, że Jamieson pije, bo jest słaby. – Musimy się solidnie zastanowić, na czym stoimy – mówi na głos. – Ostatnio chyba nie rozeszliśmy się w najlepszym nastroju.

Frank lekko kiwa głową.

– Mogło tak być.

– Chcę wiedzieć, co myślisz. Czym chcesz się zająć. Jakie masz plany? – Już bardziej bezpośrednio nie może tego ująć. Nie ma mowy, żeby zapytał otwarcie. Frank musi mu powiedzieć. Musi dobrowolnie to wyjawić.

Frank spuszcza wzrok. Zastanawia się, co odpowiedzieć. To jego szansa. Jamieson podaje mu ją na talerzu. Teraz musi być tylko szczerzy. Powiedzieć, że skontaktowała się z nim policja. Że spotkał się z jednym gliną, by wy badać, kto to jest i co ma do powiedzenia. Udać, że poszedł tylko po to, by dowiedzieć się, skąd tamten ma informacje. Jamieson może tego nie kupi, ale nic nie powie. Taki jest Peter; nieważne opakowanie, jeżeli to, co pod spodem, jest bliskie prawdy. Drugiej szansy nie będzie.

– Jestem cynglem, Peter – mówi. Skupia się nie na tym, co trzeba, i wie o tym. – Nie umiem być nikim innym. – Głupi początek. Przeklina siebie w duchu. Nie

dziwota.

– To, że nie robiłeś dotąd innych rzeczy, nie oznacza, że nie byłbyś w nich dobry – mówi Jamieson. – Musisz spróbować.

Frank kiwa głową. Peter użył sformułowania „musisz”. To nie przypadek.

– Posłuchaj – mówi Jamieson i pochyla się, by podkreślić to, co powie. – Znamy się nie od dziś. Myślę, że znamy się na tyle, że nie ma potrzeby owijać w bawełnę. Nie mogę zatrudnić cię jako cyngla. Nie w tym momencie. Rozumiesz to, prawda? Cholera, po tym, co się stało, muszę cię odsunąć. Nie chcę, ale muszę. Tak właśnie jest. To była naprawdę ciężka noc. Nie tylko dla ciebie, ale i dla nas wszystkich. Muszę postępować z rozwagą. Na razie zdejmuję cię z mokrej roboty. Może nie na zawsze, ale na razie. – Pauza. – Zatem co zamierzasz zrobić? Możesz zostać z nami, zajmując się inną działką. Być może w którymś momencie, jeżeli będziesz tego chciał, będę mógł załatwić ci robotę taką jak dawniej. Możesz też pójść do konkurencji, ale czy to jest to, czego naprawdę chcesz? Pełno tam durniów. Wiesz o tym. Wiesz, co to znaczy przejść do innej organizacji. Co jeszcze zostaje? – pyta. Aluzja jest naprawdę wyraźna.

Jedyne, co zostaje, to policja. Frank musi się tylko zaśmiać i powiedzieć, że to niezły zbieg okoliczności. Że właśnie niedawno dzwonił do niego gliniarz z ofertą ochrony. To takie proste. Ale to niemożliwe. Chodzi o zaufanie. Jeżeli komuś powinien ufać w tej branży, to Jamiesonowi. Ale nie może. Po prostu nie może. Czterdzieści lat myślenia w określony sposób, a teraz trzeba się przestawić. Przez całą karierę mówią ci, żebyś nikomu nie ufał. Zachował sceptycyzm. Ufasz ludziom częściowo, ale nigdy do końca. Nieważne, jak dobry jest szef, zawsze zachowujesz coś dla siebie. Powiedzenie Jamiesonowi o spotkaniu z Fisherem wymagałoby całkowitego zaufania. A tego nie ma. Miło byłoby wierzyć, że Peter przyjąłby wersję Franka. Ale to nierealistyczne. Założyłby najbardziej pesymistyczny scenariusz.

– Myślę, że następny krok zależy od ciebie – mówi Frank. Słyszy, jak słowa wydobywają mu się z ust i żałuje, że nie ma odwagi ich zmienić. Odwagi zaufać przyjacielowi.

– Aha – mówi Jamieson i zapada się w fotelu. Nie to chciał usłyszeć. – Skoro tak, to tak. – Zapada niezręczna cisza. Frank patrzy na Jamiesona, widzi smutek malujący się na jego twarzy. – Rozejrzę się – mówi Jamieson bez entuzjazmu – i postaram się znaleźć ci coś do roboty. Coś ciekawego. Pogadamy o tym, może w przyszłym tygodniu.

– Jasne – odpowiada Frank i się podnosi. Co za ulga móc już wyjść. Nie poszło dobrze, wie o tym, i nie chce tu już dłużej być. Nie chce patrzeć na Jamiesona i udawać, że wszystko jest w porządku. W drzwiach rzuca mu ostatnie spojrzenie.



Szef błądzi wzrokiem, wskazującym palcem bębniąc o blat biurka. Wygląda na przygnębionego. Frank chce się pożegnać, ale to oznaczałoby przyznanie, że to już koniec.

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Idzie przez salę bilardową, nie patrząc na Younga, Kenny'ego i pozostałych. Schodzi po schodach, jest już na ulicy. Wsiada do samochodu. Mina wciąż butna. Zawsze taka, gdy ktoś może patrzeć. Odjeżdża i powoli mięknie. Przeklina siebie. Przeklina Jamiesona. Zapłakałby, gdyby umiał. Została jeszcze jedna możliwość. Ucieczka.

Ale dokąd? Szukaliby go. Jamieson nigdzie nie dałby mu spokoju. Jeżeli zniknie teraz, Jamieson uzna, że ktoś mu w tym pomógł. Londyn? Nie, zbyt niebezpiecznie. Nigdzie w kraju nie będzie bezpiecznie. Nie może nawet wyjechać za granicę. Jamieson też go tam znajdzie. Każe go zabić bez względu na miejsce. Sprawa priorytetowa, warta dodatkowego ryzyka. Poza tym gdziekolwiek by Frank nie pojechał, roboty i tak tam nie znajdzie. Glasgow to jego miasto. Od zawsze. Tu go znają. Tam byłby tylko starym człowiekiem o chwalebnej przeszłości. Wielu jest takich. Nikt by go nie zatrudnił. Uciekinier bez grosza przy duszy. Nie. Może dwadzieścia lat temu, ale nie dzisiaj. Musi zostać. Tak to się kończy.

Pociąga łyk whisky. Włącza telewizor. Wyłącza. Słyszy jakiś dźwięk z zewnątrz i podchodzi do okna, by sprawdzić jego źródło. Wszystko jest dobre. Każda wymówka, by nie podejmować decyzji. By nie wydawać wyroku śmierci na Franka. Young przyszedł i poszedł. Wiedział, że nie ma sensu zostawać. To jest coś, co Frank musi załatwić we własnym sumieniu. Coś nowego. Nigdy wcześniej nie było takiej sytuacji. Nigdy wcześniej dylemat nie był aż tak trudny. Aż tak realny. Ile razy podejmował już taką decyzję? Jezu, zbyt wiele. Zlecał zabójstwo kogoś dla dobra organizacji. Dochodzi do momentu, gdy nawet nie myśli się o tym, co się mówi. Tak jest dobrze dla biznesu, więc się to robi. Wydaje się komuś polecenie. Podaje cel; ten ktoś się tym zajmuje. To wszystko. Nic prostszego. Ludzie, których nigdy osobiście nie poznał. Znał tylko ich personalia i wiedział, dlaczego zależli mu za skórę. Zabijanie było łatwe.

Myśli o tym pierwszym razie. To musiało być szesnaście lat temu. Konstatacja sprawia, że czuje się staro. Nie mieli wtedy Franka; musieli zlecić robotę wolnemu strzelcowi. Wysoki chudy gość o końskiej twarzy. Zapomniał nawet, jak się nazywał. Wtedy wydawało się to takie ważne, a dzisiaj nie pamięta jego imienia. Pamięta za to personalia ofiary. Derek Conner. Mały grubas, który uznał, że Jamieson za bardzo rozpycha się na rynku. Siatka Jamiesona była wtedy niewielka. Nie miał przykrywki w postaci legalnego interesu – żył na krawędzi. Było to ekscytujące. Conner miał własną siatkę, wcale nie większą od tej stworzonej przez Jamiesona. Zaczął sprawiać im kłopoty. Istniała możliwość, że ich załatwi. Young znalazł wolnego strzelca, skaptował go, robota została wykonana. Nie bez problemów, z tego co pamięta. Policja wszczęła dochodzenie; nie przyniosło efektów. Ale stracha im napędziło, jemu i Youngowi. Sprawa wydawała się taka poważna. A potem, z każdą kolejną mokrą robotą, stopniowo się przyzwyczajali. Łatwiej było zapomnieć o ofierze, łatwiej nie podejmować się śledztwem. Było tak łatwo. Do teraz.

Sam ze sobą gra w gierki i jest tego świadom. Udaje, że ma decyzję do podjęcia. Nie ma wyboru. Żadnej alternatywy. Jest tylko jedna opcja i musi ją wybrać. Właściwie to Frank ją wybrał. Powtarza to sobie w duchu. Im dłużej to robi, tym bardziej robi się gniewny i tym bardziej zdeterminowany, żeby zadzwonić. Frank sam zgotował sobie ten los. Poszedł na policję; nie przyznał się do tego, kiedy miał szansę. Jak mógł się nie domyślić, że Jamieson wie? Przecież mógł być szczerzy. Jest zapewne jedyną osobą, której Jamieson by wybaczył. Nie zasługuje na pobłażliwość. Nikt, kto ryzykuje bezpieczeństwo tak wielu, nie zasługuje. Frank sprzedaje ich wszystkich, by ratować własną skórę. Nie powinno mu to ująć płazem. Nie można dopuścić, żeby

taki sygnał poszedł w świat. Samo upokorzenie byłoby zabójczym ciosem dla organizacji. Policja przysłałaby na gotowe.

Zadzwoił po Younga. Siedzą tam, gdzie zwykle. W tej zwyczajności jest jakaś pocięcha. W świadomości, że robią to, co należy.

– Musimy to zrobić – mówi Jamieson cicho. – I to dzisiaj. Nie możemy dopuścić, żeby spotkali się po raz drugi. Możesz załatwić to szybko?

Young potakuje.

– Nie powinno być problemu. Zadzwoię do Caluma.

Jamieson dziwnie długo nie reaguje na to oczywiste stwierdzenie.

– Tak – mówi w końcu – ty do niego zadzwoń. Niech wszystko będzie tak jak zwykle. – To niezły żart. Jak zwykle. Czy kiedykolwiek decyzja była tak trudna? Czy kiedykolwiek ofiarą musiał być ktoś, na kim mu zależało? To może być jedyna taka robota w życiu. A jednak trzeba zachować pozory normalności. Niech nikt nie wie, ile cię to kosztuje.

Young wyszedł. Zwykle tego nie robi, ale teraz wydaje mu się to słuszne. Nie chce, żeby Jamieson słuchał, jak wydaje rozkazy, i żałował swojej decyzji. Wybrał prawidłowo. Young chce mu to powiedzieć, ale nie polepszy to sprawy. Nie w tej chwili. Może później, gdy emocje opadną. Teraz Jamieson chce być sam, pić i rozpamiętywać. Youngowi to nawet odpowiada; nie chce, żeby w tym momencie ktokolwiek mu przeszkadzał. Lubi ten etap. Zorganizować wszystko, wydać rozkaz, obserwować efekty. Przechodzi do pomieszczenia na tyłach klubu, zamyka za sobą drzwi, sprawdza, czy wszystko w porządku. Teraz dzwoni do Caluma. Trzy sygnały i jest połączenie. Mała szansa, że odbierze tamta dziewczyna. George dzwonił z informacją, że załatwił sprawę. Pewnie będą ze sobą zrywać, jeżeli jeszcze tego nie zrobili. Kolejna udana akcja.

– Cześć, Calum, tu John Young. Jak ręka? – Calum będzie wiedział, o co chodzi. Jest bystry. Niektórzy cyngle, co tu kryć, nie grzeszą inteligencją. Wykonają zadanie, ale nie potrafią zrozumieć szczegółów. Poskładać do kupy detali. Calum jest inny.

– Ręka w porządku – odpowiada. Zawsze ma taki cholernie zboląły głos. – Gotowa do działania.

– Świetnie, dobrze to słyszeć. Posłuchaj, to, o czym Peter wspominał wczoraj...

– Tak – mówi Calum. Od razu wie, w czym rzecz.

– Jest szansa, że mógłbyś to dla niego wykonać, na przykład dzisiaj?

Ujmuje to bardzo uprzejmie, ale Calum rozumie, że to nie prośba, lecz rozkaz. Dzisiaj to dzisiaj.

– Jasne – odpowiada. – Mógłbym.

– Niech to będzie czysta robota.

– Okej. Mogę potrzebować pomocy. Zadzwoń do George'a.

– Zrób to – mówi Young. Przekazuje Calumowi między wierszami, żeby pozbyli się ciała.

Calum jest powolny. To jego jedyna poważna wada. Dobry, ale powolny. O tym myśli teraz Young. Musi zrobić, co w jego mocy, by kupić Calumowi trochę czasu. A potem myśli o Davidsonie i Scotcie. Wtedy nie był powolny. Z konieczności był szybki jak błyskawica, a jednak świetnie się spisał. Nie ma się czym przejmować.

– Postaraj się zrobić to cicho – mówi Young. – Nie pobudź sąsiadów. Podam ci przez drzwi kopertę z czymś użytecznym.

– Jasne, nie ma sprawy – odpowiada Calum, jakby z lekkim niesmakiem. Nie jest typem człowieka, któremu trzeba by przypominać o konieczności dyskretnego działania. Kto jest rozsądny, ten zdroworozsądkowych rad nie potrzebuje. Ale ucieszy się, kiedy otrzyma kopertę z kluczem do tylnych drzwi Franka.

Young wraca na górę. Zrobił swoje. Pozostaje skrzynką kontaktową, na wypadek gdyby coś poszło nie tak. Będzie czekał z telefonem w pogotowiu. Ale to się zdarza niezwykle rzadko. Raz zadzwonił Frank, by poinformować, że w domu niedoszłej ofiary roi się od glin. To było nieprzyjemne zaskoczenie. Okazało się, że akurat trwa nalot. Young wciąż ma związane z tym podejrzenia. Może ktoś sypnął. Może Paul Greig postanowił wetknąć swoje trzy grosze i zdobyć parę dodatkowych punktów, wskazując na dilera. Nie miało to wielkiego znaczenia. Gościa zapuszkowali na trzy lata. Gdy wyszedł, po jego siatce nie było śladu. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Zwłaszcza gdy celem jest ktoś taki jak Frank. Young musi wierzyć, że Calum okaże się lepszy. A wiara to niepewna rzecz.

Wraca do biura i siada bez słowa na kanapie. Jamieson wie, czym się zajmował. Wie, że jeżeli cokolwiek poszłoby nie tak, dałby mu znać. Cisza oznacza, że wszystko jest przygotowane. Czyli że Frank ma dzisiaj umrzeć.

– Jak idzie poszukiwanie zastępcy? – pyta Jamieson. W jego głosie pobrzmiwa jeszcze smutek, który stara się ukryć. Ton rzeczowy, przyjazny, stara się wykazać zainteresowanie.

– Najpierw pomyślałem o George'u Dalym, ale wciąż nie wykazuje zainteresowania. Nie ma sensu go przymuszać. Następnym oczywistym kandydatem to Shaun Hutton. Gdy załatwimy Słodasa, będzie potrzebował nowego pracodawcy. Tamten telefon w sprawie Scotta pokazuje, że nie jesteśmy mu obojętni. – Starannie unika wzmianki o Franku.

Jamieson potakuje.

– Na razie zostawmy go tam, gdzie jest. Przyda się, dopóki nie wykończymy Słodasa. Co nie potrwa długo. – Mówi tak, jakby zapomniał o istnieniu człowieka nazwiskiem Frank MacLeod.

## 47

Czasami ma wrażenie, że wcale nie chcą, żeby mu się powiodło. Chcą wyników – ale niekoniecznie tych, co trzeba. Albo się goni za statystykami, albo się jest prawdziwym gliną. Te dwa podejścia zazębiają się niezwykle rzadko. W każdym razie tak uważa Fisher. Piętro niżej pracuje mundurowy, który dostał pochwałę za dużą liczbę aresztowań. Fisher nienawidzi gówniarza. Nie jego wina, że szefostwo klepie go po plecach, ale spójrzcie na te aresztowania. Większość to drobiazgi, rzeczy, na które nie powinien tracić czasu. Jasne, ludzie lubią, kiedy aresztuje się chuligana albo awanturującego się pijaka, ale w ogólnym rozrachunku niewiele to zmienia. Tak naprawdę chodzi o to, żeby usunąć z ulic dilerów. Uniemożliwić im zaopatrywanie ćpunów, żeby nie robili włamań i napadów, by zarobić na towar. Trzeba celować w grube ryby, bo przecież ryba psuje się od głowy. To właśnie próbował zawsze robić. Ale wsadzają mu kij w szprychy.

Wkrótce odbije mu palma, sami zobaczycie. Ktoś powie coś, co wyprowadzi go z równowagi. Wtedy wybuchnie, jak to on. Nikt w biurze się tym nie przejmuje; niepokoi ich te kilka dni cichej furii, jakie następują potem. Tymczasem na komendzie zamieszanie, ludzie wchodzą i wychodzą. Znaleziono martwą kobietę. We własnym domu. Nie było gwałtu ani włamania, a jej chłopak zniknął. Wygląda na to, że będzie musiał odpowiedzieć na parę niewygodnych pytań, gdy już go znajdą. Dlatego panuje taki rozgardiasz. Oczywiście, chcą złapać winowajcę, ale w grę wchodzi też ambicja. To powinna być łatwa sprawa. Dlatego chcą być pod nią podpisani. Sukces ma wielu ojców. Nikt nie ma ochoty grzebać się w zadawnionych historiach. Sprawach, które ktoś im w końcu odbierze. Nikt nie chce być tam, gdzie jest dzisiaj Fisher. Ciągłe brak dowodów na to, że McClure nie zabił Scotta, a potem siebie.

Fishera wezwano do gabinetu inspektora Reida. Tam dowiedział się, że śledztwo w sprawie śmierci Scotta i McClure'a zostanie umorzone. Nawet nie tyle oficjalnie zamknięte, ile po prostu porzucone. Zbyt wielu ludzi traci cenny czas na coś, co nie rokuje nadziei na sukces. Ich umiejętności potrzebne są gdzie indziej. To było morderstwo i samobójstwo. Pokaż sprawę koronerowi, przedstaw dowody, a on stwierdzi morderstwo i samobójstwo. I dobrze. Zakończ śledztwo; niech rodziny wreszcie mają to za sobą. Fisher nie wspomniał, że chyba już to się stało. Brak

zainteresowania rodzin obu zabitych był przerażający. Ale bywało i tak. Ofiara nie miała bliskich. Odnajdujesz krewnych i ich informujesz. A ich największym zmartwieniem jest koszt pogrzebu. To może być nieprzyjemne. Rodziny nie przejmą się umorzeniem śledztwa. Zaakceptują wersję morderstwo i samobójstwo i zajmą się życiem dalej. Nie będą naciskać na żadne dalsze działania. Media też nie. Nie poświęca się nagłówków dwójce drobnych dilerów. Żeby dodać sprawie wigoru, potrzebna byłaby presja z zewnątrz.

Ale Fisher też nie będzie naciskał. Inne priorytety. Takie jak Frank MacLeod. Ten kłamliwy, oszukańczy sukinsyn Frank MacLeod. Fisher pojechał za nim. Aż pod klub Petera Jamiesona. Pułapka, by go upokorzyć albo coś mu zrobić. A może stary Frank nie chce palić za sobą mostów. Gra na dwa fronty. To też nie byłoby zaskoczeniem. Nie w przypadku kogoś takiego jak Frank. Może jest jeszcze szansa. Musi tylko uświadomić Frankowi, że tak naprawdę ma tylko jedno wyjście. Dobrze byłoby, gdyby Frank czuł do Fishera sympatię, ale nie jest to konieczne. Miło, gdy informator mówi z własnej woli, ale skoro nie chce, to trzeba go zmusić. Jak twardo zagrać z gościem takim jak Frank? Który zna każdą sztuczkę, jaka istnieje? Każdy może się przestraszyć. To jest klucz. Wszyscy ci starzy goście trzęsą się o własne życie. Strach jego utraty jest kluczem. Niech uwierzy, że Fisher jest jedynym, który zapewni mu przetrwanie. Uczyni siebie jego jedyną szansą.

Jest w aucie, jedzie do domu Franka. Dość siedzenia na zewnątrz i przyglądania się przejeżdżającym samochodom. Musi przejąć inicjatywę albo nic z tego nie będzie. Nie pozwoli dać się zmarnować kolejnej szansie. Latami pracuje się porządnie, osiąga dobre wyniki. Potem ponosi się kilka porażek i ludzie zaczynają człowieka obwiniać. Myślą, że się skończył. W przeszłości sam to robił. Wie, jak to jest. Gliniarz się starzeje – inni zaczynają pytać, czy jeszcze się nadaje. Czy jest wystarczająco za pan brat z nowoczesnymi technikami. I czy wciąż ma parcie na sukces. Niektórzy je tracą. Zrobili swoje, teraz myślą o emeryturze. Ale nie Fisher. Jego odejście będzie wymuszone, wie o tym. Wciąż ma parcie na sukces, tylko ciągle coś mu nie wychodzi.

Siedzi w samochodzie pod domem Franka. Auto tamtego jest na miejscu, więc pewnie on sam też. Fisher rozgląda się po ulicy, po czym wysiada. Nic podejrzanego. Żadnych obserwatorów. Podchodzi do drzwi, puka. Po mniej więcej dwudziestu sekundach Frank otwiera. Jego oczy zdradzają zaskoczenie.

– Cześć, Frank.

– Wejdz – mówi. Jego głos brzmi chrapliwie. To również go zdradza. Nie chce, żeby ktoś zobaczył, że spotyka się z gliną. Nie chce, żeby Jamieson wiedział, że się spotkali. To oznacza, że to raczej nie jest pułapka, że Frank naprawdę znalazł się poza organizacją. Spotyka się z ludźmi, żeby ustalić, na czym stoi. Czyli jest szansa go

przygwoździć.

Frank prowadzi go do dużego pokoju. Fisher siada, nie czekając na zaproszenie. Gospodarz przygląda mu się, próbując znaleźć właściwie słowa.

– Czy mogę zapytać, dlaczego tu jesteś? – pyta, siadając naprzeciwko Fishera. Zawsze uprzejmy. Stara szkoła, czarująca różnica pokoleniowa. Dzisiaj większość ludzi przekłębaby Fishera za niezapowiedzianą wizytę.

– Chcę porozmawiać – odpowiada Fisher.

– Chyba jasno dałem do zrozumienia, że nie będę z tobą rozmawiał. – Ton głosu nieco ostrzejszy. Pokazuje, że nie podoba mu się ta wizyta. To niepotrzebne. Fisher nie jest głupi; wie, co Frank ryzykuje. Frank też to wie. Ryzykuje życie, a presja rośnie ze wszystkich stron.

– Chcę jasno powiedzieć, że musisz ze mną porozmawiać. Myślę, że nie masz wyboru. Możesz nie zdawać sobie z tego sprawy, ale tak jest. Ja jestem twoją ostatnią szansą. Być może niezbyt atrakcyjną, ale ostatnią. Jasne, możesz próbować uzyskać ochronę od kogoś innego. Wkraść się w łaski innej bandy zbirów. Możesz kurczowo trzymać się Jamiesona, jak zakochany nastolatek dziewczyny, która go nie chce. Ale jak ci ludzie by zareagowali, gdyby wiedzieli o naszych spotkaniach?

Frank się śmieje. Siedzi i śmieje się Fisherowi w twarz. Nie jest to odpowiedź, jakiej detektyw oczekiwał.

– Nie wiedziałem, że jestem aż tak śmieszny – mówi Fisher, patrząc na Franka pytającym wzrokiem.

– Ależ jesteś. Nie myśl, że nie wiem, o co tu chodzi. To jest twoja ostatnia szansa. Jesteś zdesperowany, więc próbujesz wyrzucić na mnie presję. Przychodzisz tu, żeby mnie zastraszyć. Jesteś policyjnym odpowiednikiem karka. Myślisz, że nie widać, w jakiej jesteś desperacji? – Rozbawienie zniknęło z jego głosu. Teraz jest poważniejszy, bardziej wyzywający.

Fisher marszczy brwi. Nikt nie lubi być nazywany desperatem, nawet jeżeli to prawda. Gliniarz taki jak on nie może pozwolić, by było to aż tak oczywiste dla innych.

– Frank, tu nie chodzi o mnie, ale o ciebie. Zaczynam się zastanawiać, czy dostrzegasz powagę swojej sytuacji.

Frank znowu się śmieje.

– Myślisz, że nie wiem, na czym stoję? Ależ wiem, wierz mi. Nie wygląda to wesoło. Zdaję sobie z tego sprawę. Ale ty chcesz, żebym uznał, że jesteś moim jedynym wybawieniem.

To się robi bez sensu. Fisher wstaje.



– Posłuchaj – mówi. – Powiem ci, co zrobię. Nie przestanę na ciebie polować. Nie przy tym wszystkim, co masz na sumieniu. Masz dwa dni, żeby do mnie zadzwonić i zgodzić się na współpracę. Jeżeli to uczynisz, zapewnię ci ochronę. Znajdę ci bezpieczne miejsce do życia i zagwarantuję, że nie będziesz oskarżony. Jeżeli nie, to wykonam parę telefonów. Wiem, że sam cię nie dopadnę. Marzę o posadzeniu cię na ławie oskarżonych, ale to niemożliwe. Jednak ktoś taki jak Peter Jamieson nie potrzebuje tylu dowodów co sąd. Od razu uzna cię za winnego. Jeden mój telefon i tak będzie.

Kieruje się ku drzwiom i wychodzi. Czuje się beznadziejnie. Jak przestępca. Grozić komuś śmiercią. Nieważne, kto to jest ani co zrobił. Zaczynasz zniżać się do tego poziomu i przegrywasz. Może już przegrał. Sprawa Scotta i McClure'a za szybko zwiędła. Frank wyslizgnie mu się z rąk, wie o tym. Czyli znowu porażka.

Frank stoi przy oknie w dużym pokoju i patrzy na odjeżdżającego Fishera. Nie sądził, że tego małego sukinsyna będzie na to stać. Ma chłop jaja. Co nie zmienia faktu, że jest zdesperowany. Żałośnie zdesperowany. Coraz mniej wygląda na kogoś, kogo należałoby się bać. Bać się trzeba Jamiesona. Może Fisher do niego zadzwoni, ale Frank w to wątpi. Nie ten typ człowieka. Może to bez znaczenia.

Cały czas myśli o spotkaniu z Jamiesonem. To prawie nieważne, ile Jamieson wie. Ich rozmowa była taka niezręczna. Jakby byli wrogami, a nie wieloletnimi przyjaciółmi. Frank widział już takie sytuacje. Widział je prawie wszystkie. Ale nigdy nie dotyczyło go to osobiście. Była to rozmowa, jakiej się doświadcza, gdy człowiek znajdzie się do tego stopnia poza organizacją, że staje się zagrożeniem. Rozmowa z byłym pracownikiem, który wie za dużo. Którego trzeba uciszyć. Widział to. Sam ich uciszał. Oszukiwał sam siebie, wmawiał sobie, że jemu się to nie przytrafi. Że jego relacja z Peterem Jamiesonem to coś więcej. To była tylko ułuda. Cyngle nie przechodzą na szczęśliwą emeryturę. Nikomu się nie upiecze.

Krąży po mieszkaniu, dosłownie chodzi w kółko. Żeby wyrzucić z siebie trochę nerwowej energii, zanim wyruszy. Właściwie to cieszy się, że może to zrobić. Czuje niemal ulgę. Gdyby Emma wciąż tu była, nie zdołałby przygotować się tak właściwie. Cóż, „właściwie” to złe określenie. Nie istnieje „właściwie”. Liczy się to, co zadziała. Chodzenie po mieszkaniu, planowanie, co zrobić z każdą kolejną półgodziną – to działa w przypadku Caluma. Coś przekąsi. Coś lekkiego, nic, od czego miałyby dostać rozstroju w najmniej oczekiwanej chwili. Najgorsze nerwy są właśnie na etapie przygotowań. Ostatnie dwie czy trzy godziny przed wyjściem na robotę. Kiedy już się zacznie, jest o czym myśleć. Dobry cyngiel jest tak skupiony, że potrafi zapanować nad nerwami. Trzeba myśleć jasno. Na razie chodzi w kółko i planuje.

Jest po północy, gdy wychodzi. Czarne dżinsy, wygodne czarne adidasy, zwykła granatowa bluza. Spluwę odebrał parę godzin temu od tego samego dostawcy co zawsze; zwróci po robocie. To raczej kosztowny wynajem niż kupno. Tym razem wziął tłumik. Rzadko ich używa. Kosztowne i niewygodne. Bierze się je tylko na trudną robotę, gdzie trzeba przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Tak jak tym razem.

Jedzie autem tam, gdzie umówił się z George'em. Na robotę pojedą dostawczakiem załatwionym przez George'a. Kolejny raz, gdy będą musieli pozbyć się ciała. Nie lubi tego. Ale tu chodzi o Franka. Jamieson chce, by okazano mu maksimum szacunku; potraktowano na tyle dobrze, na ile to możliwe, gdy się kogoś zabija. W pozbyciu się ciała chodzi też niewątpliwie o zatarcie śladów. Niech to wygląda jak kolejne zaginięcie. Cholera, zbyt wiele trudnych robót z rzędu. Rośnie szansa, że coś pójdzie nie tak. Miło byłoby dostać parę łatwych. Ale to jest cena, jaką się płaci. Cena pracy dla organizacji. Nigdy nie jest łatwo.

Skręca na parking przy sklepie cash-and-carry. Wisi tam kamera, ale tej nocy nie będzie działała. Budynek jest własnością Jamiesona albo kogoś, kto dla niego pracuje. To skomplikowane, ale Jamieson ma tu udział i George już się tym zajął. W tym punkcie bezpieczeństwo Caluma nie zależy od niego samego. George siedzi już za kierownicą dostawczaka. Wóz jest mały, stary, biały, bez żadnych napisów. Nic, co ktoś mógłby zapamiętać. Tyle że jego wiek powoli zaczyna zwracać uwagę. Calum musi wspomnieć o tym Youngowi, niech znajdzie coś nowszego. Swoje auto zostawia otwarte, z kluczykami za osłoną przeciwsłoneczną. To ryzyko, które musi podjąć. Nie chce, by znaleziono przy nim jego kluczyki. Nie chce, by znaleziono przy nim cokolwiek. W przypadku tej roboty nie powinno to być problemem. Cel go zna. A jednak trzeba pomyśleć o wszystkim; upewnić się, że nie ma się przy sobie nic, po

czym mogliby człowieka zidentyfikować. Wsiada do dostawczaka. Wita się z George'em skinieniem głowy.

George wygląda kiepsko, jeszcze go takim nie widział. Jak po wielu nieprzespanych nocach. Chyba balangował. Ale może to nerwy. Franka otacza rodzaj aury. Najgroźniejszy cyngiel w mieście, jak wszyscy twierdzą. George nie powinien się na to nabierać. Ludzie zyskują sławę, ale to jak zabawa w głuchy telefon. Zaczyna się od plotki, ta zatacza coraz szersze kręgi, i nim się obejrzysz, już jako pewnik przyjmujesz kompletne nonsensy. Ludzie stają się znani z rzeczy niewiele mających wspólnego z tym, co naprawdę zrobili. Jasne, Frank był jednym z wielkich. Calum też był gotów w to uwierzyć – dopóki nie przestąpił przez próg mieszkania Tommy'ego Scotta. Widok Franka siedzącego na podłodze, pilnowanego przez Ciemniaka McClure'a, zburzył ten wizerunek. Frank był wielki. Ale już nie jest. Teraz stał się problemem. Takie jest życie. George może się denerwować, ile chce. Jest kierowcą i pomoże w pozbyciu się ciała. Zabiciem zajmie się Calum.

– Masz wszystko, co jest potrzebne? – pyta. Zorganizowanie narzędzi do ukrycia ciała zostało poruczone George'owi.

– Myślę, że tak. Dwa szpadle, duży worek płócienny, parę plastikowych toreb. – Wzrusza ramionami. Calum jest w tych sprawach drobiazgowy. Wręcz irytująco drobiazgowy. Ale dla George'a to nie pierwszozna. Żadnych niespodzianek.

– Jedźmy – mówi Calum. Jest wpół do pierwszej w nocy; gdy dotrą na miejsce, będzie po pierwszej. Chce się z tym szybko uporać. Dom może być obserwowany od frontu, więc trzeba to zrobić po cichu i bez zwlekania. Przez kogo obserwowany? Przez inną organizację. Na przykład Słodasa. Albo przez policję. Może nie tylko Jamieson wydał na Franka wyrok. Nieważne. Musi przestać o tym myśleć, skupić się na robocie. Pal lichy, co robią inni. I tak nie będzie łatwo.

George prowadzi. Są prawie na miejscu. Siąpi deszcz, a to niedobrze. Rozmiękła ziemia oznacza odciski stóp, a George nie wziął plastikowych reklamówek, którymi mogliby owinąć buty przy pogrzebie. Ślady stóp to nie jest trop, który chciałoby się zostawiać. Jeżeli chodzi o dom Franka, to nie przejadą od frontu, by sprawdzić, czy ktoś nie patrzy. Ogród Franka wychodzi na ogród sąsiedniego domu przy następnej ulicy, pomiędzy nimi jest wąski zaułek. Tam wejdą. George parkuje przy wylocie zaułku. Jeżeli ktokolwiek obserwuje dom Franka, jest gdzieś niedaleko. Calum spogląda na George'a. Ten jest zwykle gadatliwy, ale teraz jakoś nie ma nic do powiedzenia. To tego rodzaju robota, myśli Calum.

– Daj mi dziesięć minut, a potem zjaw się po cichu – mówi.

– Okej – odpowiada George. – Powodzenia, stary.

Lekkie skinienie głową. Calum zakłada kominiarkę, otwiera drzwi samochodu.

Próbuje zachowywać się jak najciszej. Idzie, przyciskając się do muru biegnącego na tyłach ogrodów. Nie najlepsze miejsce na robotę. Rząd przytulonych do siebie bliźniaczych domów. Zbyt wiele sypialnianych okien wychodzących na zaułek. Trudno będzie wytaszczyć stąd ciało, żeby jakiś sukinsyn nie zerkał zza firanki. Zwłaszcza jeżeli najpierw padnie strzał. Tłumik wyciszy hałas, ale zostaje jeszcze błysk. Miejmy nadzieję, że zasłony będą zaciągnięte. Ofiara może narobić rumoru. No i nawet z tłumikiem na lufie strzał nie jest bezgłośny. W tym sensie lepiej byłoby użyć noża, ale to oznaczałoby dużo bałaganu. Krew wszędzie. Ślady pozostałyby na zawsze. Jest w połowie drogi do ogrodu Franka. Liczy domy po kolei, żeby się nie pomylić. Omija pojemniki na śmieci i rower przypięty przez jakiegoś optymistę do rozpadającej się drewnianej furtki. Jak dotąd cisza, ale oto dociera do furtki Franka.

Podnosi skobel powoli, bezszelestnie. Naciska furtkę, zagląda do środka. Na tym etapie nie spodziewa się jeszcze przeszkód. Zaczyna się, gdy wejdzie do środka. Jedyne obawy jest taka, że Frank będzie tam stał i czekał na niego. Jest to mało prawdopodobne, ale to nie jest zwyczajny cel. Calum wchodzi, zamyka za sobą furtkę. Szuka wzrokiem okien. Nie światła – Frank nie byłby aż tak lekkomyślny. Wygląda ruch. Franka celującego do niego z otwartego okna. Nie, nie zabiłby człowieka we własnym ogrodzie. Nie jest taki głupi. Da się wytłumaczyć huk we wnętrzu domu, ale nie przedziurawione ciało leżące na trawniku. Postaw się na miejscu Franka. Co byś teraz robił? Musi mieć jakiś system alarmowy. Nie może po prostu sobie spać, myśląc, że nic mu nie grozi. Nie Frank. Musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa i być na nie przygotowany. O tym właśnie myśli Calum, skradając się do tylnych drzwi. Wyjmuje klucz z kieszeni, wkłada go bezdźwięcznie do zamka. Przed przekręceniem klucza wyciąga pistolet z kieszeni. W tym momencie zaczyna wyglądać pułapek.

Wiedział, co zrobi, dziesięć minut po wyjścia Fishera. W gruncie rzeczy poczuł ulgę. Po raz pierwszy, od kiedy doszedł do siebie na podłodze w mieszkaniu Tommy'ego Scotta, wie dokładnie, co ma zrobić. Po raz pierwszy od tamtego czasu ma poczucie kontroli. Miło, że jasność myśli wróciła, nawet jeżeli tylko na niedługo. Przechodzi do trybu roboczego. Myśli o wszystkim, czego będzie potrzebował. Planuje, rozważa, rozgrywa w głowie różne scenariusze. Gdyby na tym polegało życie, wszystko byłoby w porządku. Potrafi to robić, i to robić dobrze. Na tę robotę nie potrzebuje dużo sprzętu. Szukać musiał jedynie paszportu. Frank, podobnie jak Calum, lubi porządek. Wszystko ma swoje miejsce. Nic nie powinno się gubić. To dobre podejście, zawsze można sięgnąć w znane miejsce po to, czego się akurat potrzebuje. Tylko że paszport nie leżał, jak powinien, w szafce przy łóżku, pod nigdy nieużywaną książeczką czekową. Wciąż był w bocznej kieszonce jednej z toreb podróżnych, z którymi pojechał do Hiszpanii. By wypoczywać w słońcu na koszt Petera Jamiesona.

To będzie Calum. Nietrudno to wydedukować. Peter okaże na tyle szacunku, by wysłać swojego najlepszego człowieka. Praktycznie jedyne, ale mógłby zatrudnić wolnego strzelca. Young rozgląda się już za następcą Franka. Zapewne wybierze Shauna Huttona. To oczywisty kandydat. To niewątpliwie on dał znać Jamiesonowi tamtej nocy, by mu się podlizać. Dostanie posadę, gdy nadejdzie odpowiednia chwila. Nie byłby pierwszym wyborem Franka. Zbyt postrzelony. Jeszcze nigdy nie pracował u nikogo na stałe. Poza tym potrzebują kogoś, kto będzie mógł działać wspólnie z Calumem. Gdy rozprawią się ze Słodasem, wezmą na cel kogoś większego. Będą akcje, w których jeden cyngiel to za mało. W swoim czasie Frank był na kilku takich. Jeżeli nie ufasz temu drugiemu, doświadczenie może być nieprzyjemne. Zaczynasz czekać na jego potknięcie. Może być trudno znaleźć kogoś, z kim Calum będzie chciał pracować. Frank uśmiecha się na myśl o tym ostatnim. Zawsze taki chmurny i milczący. Nieco wyniosły. Innym cynglom nie będzie się uśmiechać perspektywa pracy z nim. Ale i tak się zgodzą. Zgodzą się, bo jest dobry.

Ponieważ Calum jest dobry, Frank musi się lepiej przygotować. Wejdzie od tyłu. Logika dyktuje, żeby w przypadku kogoś takiego jak Frank nie próbował wejść od frontu. Zbyt wielkie ryzyko. Do drzwi się puka, gdy ofiara niczego nie przeczuwa. Drzwi się otwierają, a ty wpadasz do środka. Dobry sposób na wejście bez konieczności forsowania drzwi lub okien. Calum będzie wiedział, że Frank jest w najwyższym pogotowiu. Wejdzie od ogrodu. Może użyje łomu; drzwi są stare, cienkie. Klucz. Jezu, jasne. Dadzą mu klucz. Young się tym zajmie. Ten mały gnojek

dorobił go już dawno, któregoś dnia, gdy miał pewność, że Franka nie ma w domu. To charakterystyczne dla dużej organizacji. Chcą mieć łatwy dostęp do swoich ludzi. Frank podchodzi do tylnych drzwi. Uprząta wszystko. Przygotowuje. Mieszkanie ma wyglądać na porzucone przez kogoś, kto nie ma zamiaru wracać. Chodzi o to, by jego zniknięcie wydało się mniej nagłe, niż będzie w rzeczywistości. Wyciera blaty, wszystko porządkuje. Zabiera kilka drobiazgów, które wzięłby ze sobą uciekający człowiek.

Z powrotem na górę, do łazienki. Nie najlepsze miejsce na coś takiego – znacznie oddalone od tylnych drzwi, wymaga dodatkowej roboty, ale to tu Calum będzie się spodziewał go zastać. Dom jest mały, liczba możliwości – ograniczona. Tylne drzwi otwierają się na kuchnię. To oznaczałoby konieczność pociągnięcia za spust od razu, a strzał przy otwartych tylnych drzwiach jest wykluczony. Lepiej nie robić tego we frontowym pokoju. Frank potrzebuje trochę światła. Więcej ludzi zobaczy światło od frontu. Zatem tylna sypialnia. Wyjmuje z szafki zapasową poduszkę, kładzie w nogach łóżka. Paszport, książeczkę czekową, kartę kredytową, portfel, telefon komórkowy, prawo jazdy, notes z zaszyfrowanymi kontaktami i kilka starych zdjęć układa starannie na komódce naprzeciwko łóżka. Tak, by móc potem szybko sięgnąć i wrzucić wszystko do podróźnej torby. Ostatnia rzecz, zanim zacznie się oczekiwanie. Zasłony są zaciągnięte i dość grube, ale nie zaryzykuje włączenia światła. Trochę widzieć jednak potrzebuje. Przyciska klosz nocnej lampy do parteru i ją włącza. Niewiele światła ucieka. Dość, by się rozeznąć w półmroku, ale nie tyle, by wydostało się przez zasłony na zewnątrz.

To wszystko. Całe przygotowania. Nie wybiła jeszcze północ. Calum zjawi się najwcześniej o pierwszej. Zwykle byłoby to po drugiej – godzina, kiedy cyngle pracują najintensywniej. O tej porze jest o wiele mniejsza szansa spotkania przypadkowego pijaka czy nocnego marksa. Muszą jednak zaplanować usunięcie ciała. To nie jest zabójstwo ostrzegawcze. Będą mieli samochód do przewiezienia zwłok, upatrzone miejsce pogrzebu. Frank siada na krześle przy szafie, twarzą do otwartych drzwi. To stare krzesło na sprężynach. Podniszczone – ma je od trzydziestu lat – ale to najwygodniejsze krzesło w domu. Dobre miejsce, by usiąść i pomyśleć. Skoro muszą pozbyć się ciała, to przyjdą wcześniej. Będzie im zależało, by wszystko było posprzątane, a oni znaleźli się w domowych pieleszach, zanim wstanie słońce. Będą przeklinać deszcz. Frank myśli o wielu rzeczach, wielu ludziach. Większość to ludzie z branży. Od tak dawna w tym siedzi. W tym i niczym innym. Poznał trochę interesujących osób, robił rzeczy, w które dzisiaj trudno mu uwierzyć. Gdy wskazówka godzinowa mija pierwszą, na wargach Franka błąka się uśmiešek.

Wchodzi tylnymi drzwiami. Porusza się bezszelestnie. Zamyka drzwi za sobą powoli i ostrożnie. Oddycha płytko, powoli. Mija kuchnię i wchodzi do przedpokoju.

Panuje mrok. Cisza. Bezruch. Delikatnie lewą ręką naciska drzwi do dużego pokoju, pistolet ma w prawej. Nikogo. Powoli przechodzi do sypialni dla gości. Pusto. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jest we własnym łóżku, ale sprawdzić trzeba. Koszmarem byłoby wejść tam tylko po to, by dać się zaskoczyć od tyłu. Żadnych niespodzianek za plecami. Teraz po schodach. Szeroko rozstawia nogi. Stopnie zawsze bardziej skrzypią pośrodku. Mimo to skrzypią cicho przy każdym kroku. Pierwszy hałas, jaki spowodował. Krzywi się lekko, pokonując ostatnich kilka stopni i skręcając w korytarz na szczycie schodów. Zbyt wiele hałasu jak na próbę zaskoczenia kogoś takiego jak Frank. Obróciwszy się, zdaje sobie sprawę, że na to ostatnie jest już o wiele za późno.

Frank siedzi na krześle naprzeciwko drzwi i spogląda w głąb korytarza. Skądś dobiega blady poblask. Stary człowiek, siedzący w półmroku i wpatrujący się w Caluma. Twarz ma smutną. Calum podnosi pistolet. Pierwszy odruch – mieć faceta na muszce. Frank uśmiecha się i podnosi rękę.

– Nie musisz tego robić – mówi. – Wejdz.

Calum się nie porusza. Wciąż celuje, próbując rozeznaczyć się w sytuacji. Frank na pewno wie, że to on, nawet w kominiarce. Jaką zastawił pułapkę? Bezpieczniej byłoby strzelić już stąd i w ten sposób wykonać zadanie. Linii strzału nic nie blokuje. Za drzwiami może ktoś być. Ale to mało prawdopodobne. Frank nie wynająłby kogoś innego. To nie w jego stylu. Zbyt wielkie ryzyko. Ale zupełnie wykluczyć się tego nie da. Ma do czynienia z człowiekiem niebezpiecznym i zdesperowanym. Wiszącym nad przepaścią, trzymającym się dosłownie jednym palcem. Calum robi krok naprzód. Walczą w nim dwa rodzaje ostrożności. Pierwsza myśl jest taka, żeby strzelać, ale zwycięża instynktowna podpowiedź, żeby się nie spieszyć. Staje w drzwiach. Nie widzi żadnej zasadzki.

Frank wstaje z krzesła, z rękami wciąż w górze. Calum ryzykuje szybkie zerknięcie za drzwi. Nic tam nie ma. Spogląda z powrotem na Franka. Półmrok. Osobiste rzeczy na komódce. Zaczyna rozumieć. Spogląda na Franka zdeorientowanym wzrokiem. Pomimo ciemności i kominiarki widać jego niedowierzanie.

– To koniec – mówi Frank. Wstaje i podchodzi do łóżka, odwraca się. Opada na kolana, splatając ręce za plecami. Maksymalnie ułatwia sprawę Calumowi. Klęczy, więc daleko nie upadnie. To powinno znacznie ograniczyć ilość krwi na podłodze. Calum widział poduszkę. Frank zrobił, co się dało, by rzecz odbyła się czysto i bez komplikacji. Naprawdę się poddał. To samobójstwo cyngla.

Wszystko ma podane jak na tacy. Rzeczy osobiste do zabrania, by wyglądało to jak przypadek typu „wyszedł z domu i nie wrócił”. Poduszka, by stłumić odgłos

wystrzału i zmniejszyć ilość krwi, jaka tryśnie z rany wylotowej. Czuje, że powinien coś powiedzieć, ale nie robi tego. Instynkt zawodowca. Nadchodzi chwila i trzeba ją wykorzystać. Bierze poduszkę. Ten gest sprawia, że ręka przypomina o sobie ukłuciem bólu. Staje za Frankiem. Przyciska poduszkę do jego potylicy. Kompletna cisza. Przyciska lufę do poduszki. Lewą ręką zawija materiał wokół pistoletu. Pociąga za spust. Stłumiony trzask. Żadnej fontanny krwi. Frank pochyla się do przodu. Upada na podłogę. Calum automatycznie klęka obok niego, mocno przyciska poduszkę do rany. Nie zastanawia się. Nie myśli o tym, że to Frank właśnie rozstał się z życiem. Że to Franka będą stąd wywozić. Myśli tylko o zadaniu. O tym, jak bardzo w tym momencie tego nienawidzi.

Niewiele minut później, skradając się, nadchodzi George. Calum, wciąż przyciskając poduszkę, spogląda na niego.

– Przynieś worek – mówi cicho – i torbę na jego rzeczy.

George stoi i patrzy na niego. Wygląda na niezadowolonego. Kiwa głową, odwraca się i schodzi po schodach. Kolejna osoba, której nie można ufać. Tylko od niego Emma mogła się dowiedzieć, czym naprawdę Calum się zajmuje. Nikomu nie można ufać. Wcześniej, jako wolny strzelec, nie musiał ufać nikomu. Kiedyś był to luksus, dzisiaj to konieczność. Dzisiaj musi ufać innym, a nie może. Nie da się tak żyć i przeżyć. Zawsze się to zemści. Prędzej czy później. Frank przetrwał dłużej niż ktokolwiek inny. Nikt nie pozostaje aktywny zawodowo do samego końca.

Calum klęka obok niego, spogląda na ciało człowieka, który robił to samo co on. Patrzy na swoją przyszłość.



Wydawnictwo Akurat  
imprint MUZA SA  
ul. Marszałkowska 8  
00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz